

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
ISSN 2392-2753
Rok IV • Nr 3 (18)
2019

J. Andrzejczak
K. Bielecki
J. Binkowski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń
K. Boruń-Jagodzińska
A. Chąciński
K. Döbrenstei
A. Duda
P. Dunin-Wąsowicz
J. Durski
B. Dylan
P. Gliński
J.W. Goethe
J. Jagiełło
F. Kafka
A. Książek
G. Kurylewicz
A. Lizakowski
G. Łatuszyński
W. Mandryka-
-Bukowiński
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski
M. Orlic
J. Pankiewicz
M. Parowski
A. Patey-Grabowska
M. Patino
M.J. Piasecka

J.K. Piasecki
K. Piechowicz
M.K. Piekarska
A.G. Plaza
R.M. Rilke
K. Rodowska
F. Schiller
I. Schneedorfer
A. Schnitzler
K.S. Schreyer
J. Seipp
D. Sękalska
B.L. Surowska
K. Sutarski
J. Śleszyński
K. Świegocki
J. von Eichendorff
G. Walczak
M. Wolski
A. Zimniak



Maciej Parowski



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 3 (18) 2019

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Krzysztof Beśka, Manula Kalicka,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Teksty wciąż aktualne 3

Marcin Wolski

Pożegnanie Macieja Parowskiego

(1946-2019). Maciek 5

Andrzej Duda

List Prezydenta Rzeczypospolitej na

uroczystości pogrzebowe śp. Macieja

Parowskiego 7

Piotr Gliński

List Wicepremiera, Ministra Kultury

i Dziedzictwa Narodowego na

uroczystości pogrzebowe

śp. Macieja Parowskiego 9

Piotr Müldner-Nieckowski

Maciej Parowski (1946-2019) 11

Andrzej Zimniak

Osobiste wspomnienie

o Macieju Parowskim 13

Maciej Parowski o sobie

Farciarz, grzybiarz, cicerone,

pieniacz, grabarz! 17

Danuta Sękalska

Wspomnienie o Irenie Harasimowicz

Zarzeckiej (1935-2019) i Krzysztofie

Zarzeckim (1926-2019) 22

Grzegorz Walczak

Z Wilna powiało poezją 25

W Ostrej bramie 28

Małgorzata Karolina Piekarska

List na spotkanie autorskie Marka

Sołtysika 29

DRAMAT

Krzysztof Piechowicz

„Tatus” 31

ESEJ

Kazimierz Świądecki

Gnothi seauton, cz. 6 39

KRYTYKA

Jerzy Binkowski

Z przepaści niebytu 45

Paweł Dunin-Wąsowicz	
Sadyba Grochowiaka.....	51
Maciej Parowski	
Kwadrans z grafomanem	58
Grzegorz Walczak	
O poezji Janka Vujinovicia.....	66
POEZJA	
Janusz Andrzejczak	
Pośród drogi	72
Jerzy Binkowski	
70-letni mężczyzna na poziomkach, Dzień dobry	73
Krzysztof Boruń	
Sierpniowa noc.....	74
Joanna Jagiełło	
Requiem, Czynny żal, Granica	76
Andrzej Książek	
Szum wiatru, myślenie, Na zawsze, Wiara, Rozum i wiara, Znaki zapytania.....	80
Gabriela Kurylewicz	
Potęga idealizmu, Francowata kolej, Jak można?, Nie do wy tłumaczenia.....	83
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
To była pomyłka, Wyznanie..., Rozmowa z Bogiem....	86
Jerzy Marciniak	
Pieśń milcząca	89
Piotr Müldner-Nieckowski	
Chodzi po lesie, Nie powinno mnie martwić, Pies wybiega	91
Alicja Patey-Grabowska	
Ballada o stokrotce, Szept Gai, Poeta i historia	93
Maria Jolanta Piasecka	
Haiku.....	96
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Dziwne spotkanie, Jesteś mi stale potrzebna	97
Jerzy Seipp	
Pożegnanie	100
Jerzy Śleszyński	
Wielka noc 2019, Sen i jawa	101

Konrad Sutarski	
Pali się Notre Dame, Ég a Notre-Dame	103
Kazimierz Świągocki	
Cień nad Europą (Wschód – Zachód)	105
Grzegorz Walczak	
Dzieciństwo	106
PROZA	
Janusz Andrzejczak	
Rzeki nieujarzmione, Mędrzec i wieśniak	109
Krzysztof Bielecki	
Nóż.....	112
Tamara Bóldak-Janowska	
Krótki dialog położniczy	116
Andrzej Chąciński	
Na rozstajnych drogach	122
Jacek Durski	
Dla Jutrosina.....	130
Wiesław Mandryka-Bukowiński	
Jom Kippur. Podróż w nieznane	135
Jacek Pankiewicz	
Na motywach własnych	149
Jan Krzysztof Piasecki	
Trzej poeci.....	155
PRZEKŁADY	
Katarzyna Boruń-Jagodzińska	
Ivan Schneedorfer	160
Adam Lizakowski	
Bob Dylan.....	164
Grzegorz Łatuszyński	
Milan Orlić	175
Krystyna Rodowska	
Arturo Gutierrez Plaza, Maricruz Patino	180
Barbara L. Surowska	
Friedrich Schiller, Johann Wolfgang Goethe, Joseph von Eichendorff, Rainer Maria Rilke, Franz Kafka, Arthur Schnitzler.....	186
Konrad Sutarski	
Kornél Dobrenței	196

Małgorzata Karolina Piekarska

Teksty wciąż aktualne

Oddajemy w Państwa ręce specyficzny zeszyt kwartalnika. Żegnamy w nim Macieja Parowskiego. Po raz pierwszy żegnamy kogoś spośród naszego redakcyjnego grona. Gdy w 2015 roku startowaliśmy z pierwszym numerem, jednym z jego redaktorów został właśnie on, aż do końca kadencji zarządu oddziału, a co za tym idzie redakcji. Wcześniej, gdy zaczynała się kadencja zarządu Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w latach 2014-2017, startował wraz ze mną w wyborach na stanowisko prezesa. Koleżanki i koledzy byli świadkami, jak po jego przegranej kilka osób wyszło z sali i powiedziało, że to, iż to ja zostałam wybrana, jest skandalem. Jednak Maciek, który natychmiast został przeze mnie zaproszony do współpracy i któremu wraz z całym zarządem powierzyliśmy funkcję wiceprezesa, dał mi swoje błogosławieństwo, mówiąc, że jednak z perspektywy czasu stwierdza, iż sam nie miałby tyle siły i energii.

Jego pomoc i zaangażowanie w tworzenie naszego kwartalnika były nieocenione, podobnie jak poczucie humoru i zdolność opowiadania różnych historii – przeważnie literackich. Szkoda, że większość tych opowieści nie bardzo nadaje się do publikacji. Nieoceniona była też literacka wiedza Maćka. Szczegółowo pamiętał opublikowane nawet przed ćwierćwieczem opowiadania czy powieści, i to nie tylko te z gatunku fantastyki. Nasza redakcyjna skrzynka pocztowa zawiera liczne listy kończone przez niego zawsze słowami „silne pozdrowienie”.

Do jednego z nich Maciej załączył tekst o grafomanii (patrz strona 58). Był to temat powracający w naszych redakcyjnych i stowarzyszeniowych dysputach, spowodowany między innymi tym, że każdy z nas – redaktorów kwartalnika – ma dość bogate doświadczenie z pracy w innych pismach i pamięta przygody z autorami pragnącymi drukować za wszelką cenę, mimo nieznajomości warsztatu lub braku talentu. Tekst Maćka to rozbudowana wersja referatu wygłoszonego przez niego w czerwcu 1998 na V Festiwalu Fantastyki w Nidzicy, czyli ponad 20 lat temu. Niesamowite jest

nie tylko to, że widać w nim humor autora i jego dystans do otaczającego świata, ale też fakt, iż jest to tekst mimo upływu lat nadal aktualny.

„Podgląd” jest zresztą kwartalnikiem w większości z tekstami ponadczasowymi. I to nawet wtedy, gdy zawiera wiersze wielkanocne czy bożonarodzeniowe (bo przecież są to święta powtarzające się), bądź jak w tym numerze, znajduje się w nim kilka wierszy poświęconych pożarowi Katedry Notre Dame, czyli powstałych pod wpływem jakiegoś niedawnego wydarzenia. Aktualności nigdy nie tracą wygłoszone na pogrzebie Macieja Parowskiego mowy Prezydenta RP Andrzeja Dudy, Wicepremiera i Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotra Glińskiego, Marcina Wołoskiego, Piotra Müldnera-Nieckowskiego, a także wspomnienie Andrzeja Zimniaka.

Na tym właśnie polega zaleta niemal wszystkich pism literackich. Rejestrują to, czego inne źródła już nie zawrą. Zapraszam do lektury „Podglądu” numer osiemnaście. Gdybyśmy byli rocznikiem, osiągnęlibyśmy pełnoletniość, a tak... trwamy dopiero czwarty rok i w przełożeniu na lata życia ludzi oznacza to, że... jesteśmy w przedszkolu. Wbrew pozorom dobre i to, bo przedszkole oznacza szersze wychodzenie do ludzi. Wychodzimy do nich z pamięcią o Maćku, ale także o Irenie i Krzysztofie Zarzeckich, równie dla nas ważnych jako pisarzy, tłumaczy, ludzi niosących kaganek naszej kultury w kraju i na obczyźnie.

Małgorzata Karolina Piekarska

Marcin Wolski

Pożegnanie Macieja Parowskiego (1946-2019)

Maciek

Siła wspomnień. Tysiące fragmentów składających się na bukiet dźwięków, smaków i zapachów przyjaźni. Żywiczna woń sosen wokół anińskiego liceum, smak piwa na konwencie w Staszowie, zakurzone przyzmy gazet w redakcji „Fantastyki”, lodowaty chłód nocy w Niedzicy i szmer nigdy nie skończonych rozmów aż po świt. O przyszłości, o Polsce!



Maciej Parowski. Fot. P. Müldner-Nieckowski

Parowski był moim przyjacielem i w pewnym sensie mentorem, jeśli można tak mówić o człowieku ledwie pół roku starszym. Kolega z równoległej, a potem, gdy zostałem na drugi rok, ze starszej klasy. Wielki, rudy, poważny. Z podziwem czytałem jego recenzje filmowe w latach siedemdziesiątych. Mądre i przenikliwe. Wiedziałem, że w okresie Solidarności zespół „Politechnika” demokratycznie wybrał go na swojego naczelnego. A potem przypadkowe spotkanie z nim w samym dołku stanu wojennego zmieniło moje życie, i nie tylko moje. Maciek współtworzył „Fantastykę”, zachęcał do współpracy. Żartobliwie nazywałem go „papieżem polskiej fantastyki”.

Dookoła kłębiło się mnóstwo przednich autorów – Zajdel, Snerg-Wiśniewski, Sapkowski, Oramus. Maciek, choć sam napisał tylko dwie

* Przemówienie wygłoszone dn. 11 czerwca 2019 r. na pogrzebie Macieja Parowskiego na warszawskim Cmentarzu Bródnowskim.

powieści, był przede wszystkim Redaktorem. Jak Grydzewski, jak Giedroyc! Czytał cudze teksty, poprawiał, czasem dopisywał, nie licząc na niczyją wdzięczność. Wyprodukował ponad pół tysiąca autorów. Stworzył na polskim gruncie gatunek pn. „historia alternatywna”, choć ze swoją *Burzą* kokosił się przez kilkanaście lat. Dostał za nią zasłużenie wyróżnienie im. Józefa Mackiewicza.

Gdzieś koło 2005 roku zarekomendowałem go do „Gazety Polskiej” i odtąd na stronach kultury był *naszym* towarzyszem nieodstępnym. Nigdy nie zawałił terminu, i mimo upływu lat wobec tego, co robił, pozostawał nieustannym pasjonatem. Nie wiem, wobec ilu ludzi mogę użyć przymiotnika dobry. Maciek był dobry w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa – uczciwy, uczynny, bez reszty zakochany w jedynej kobiecie swego życia – Joli. I wierny wartościom. Jeśli z rozmaitych rozdroży zawróciłem ku Bogu, Parowski ma w tym niemałą zasługę. Pozostawił trwałą ślad wśród nas i jestem przekonany, że także z góry będzie nas dobrotliwie prowadził po tych śladach do świata lepszego niż ten doczesny.

Do zobaczenia, Przyjacielu!

Marcin Wolski

List Prezydenta Rzeczypospolitej na uroczystości pogrzebowe

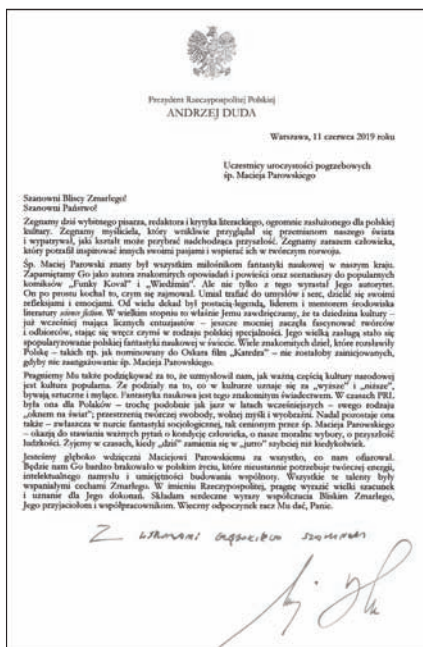
śp. Macieja Parowskiego

*Uczestnicy uroczystości pogrzebowych
śp. Macieja Parowskiego*

*Szanowni Bliscy Zmarłego!
Szanowni Państwo!*

Żegnamy dziś wybitnego pisarza, redaktora i krytyka literackiego, ogromnie zasłużonego dla polskiej kultury. Żegnamy myśliciela, który wnikliwie przyglądał się przemianom naszego świata i wypatrywał, jaki kształt może przybrać nadchodząca przyszłość. Żegnamy zarazem człowieka, który potrafił inspirować innych swoimi pasjami i wspierać ich w twórczym rozwoju.

Śp. Maciej Parowski znany był wszystkim miłośnikom fantastyki naukowej w naszym kraju. Zapamiętamy Go jako autora znakomitych opowiadań i powieści oraz scenariuszy do popularnych komiksów „Funky Koval” i „Wiedźmin”. Ale nie tylko z tego wyrastał Jego autorytet. On po prostu kochał to, czym się zajmował. Umiął trafić do umysłów i serc, dzielić się swoimi refleksjami i emocjami. Od wielu dekad był postacią-legendą, liderem i mentorem środowiska literatury *science fiction*. W wielkim stopniu to właśnie Jemu zawdzięczamy, że ta dziedzina kultury – już wcześniej mająca licznych



entuzjastów – jeszcze mocniej zaczęła fascynować twórców i odbiorców, stając się wręcz czymś w rodzaju polskiej specjalności. Jego wielką zasługą stało się spopularyzowanie polskiej fantastyki naukowej w świecie. Wiele znakomitych dzieł, które rozślały Polskę – takich np. jak nominowany do Oskara film „Katedra” – nie zostałyby zainicjowanych, gdyby nie zaangażowanie śp. Macieja Parowskiego.

Pragniemy Mu także podziękować za to, że uzmysłowił nam, jak ważną częścią kultury narodowej jest kultura popularna. Że podziały na to, co w kulturze uznaje się za „wyższe” i „niższe”, bywają sztuczne i mylące. Fantastyka naukowa jest tego znakomitym świadectwem. W czasach PRL była ona dla Polaków – trochę podobnie jak jazz w latach wcześniejszych – swego rodzaju „oknem na świat”; przestrzenią twórczej swobody, wolnej myśli i wyobraźni. Nadal pozostaje ona także – zwłaszcza w nurcie fantastyki socjologicznej, tak cenionym przez śp. Macieja Parowskiego – okazją do stawiania ważnych pytań o kondycję człowieka, o nasze moralne wybory, o przyszłość ludzkości. Żyjemy w czasach, w których „dziś” zamienia się w „jutro” szybciej niż kiedykolwiek.

Jesteśmy głęboko wdzięczni Maciejowi Parowskiemu za wszystko, co nam ofiarował. Będzie nam Go bardzo brakowało w polskim życiu, które nieustannie potrzebuje twórczej energii, intelektualnego namysłu i umiejętności budowania wspólnoty. Wszystkie te talenty były wspaniałymi cechami Zmarłego. W imieniu Rzeczypospolitej, pragnę wyrazić wielki szacunek i uznanie dla Jego dokonań. Składam serdeczne wyrazy współczucia Bliskim Zmarłego, Jego przyjaciółom i współpracownikom. Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie.

Z WYRAZAMI GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

Andrzej Duda

*List podczas uroczystości pogrzebowych
odczytał prof. dr hab. Andrzej Waśko, Doradca Prezydenta RP.*

List Wicepremiera, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego na uroczystości pogrzebowe śp. Macieja Parowskiego

Spotykamy się dzisiaj w smutku i skupieniu, aby pożegnać Macieja Parowskiego. W gronie jego bliskich, przyjaciół i oddanych czytelników wspominamy wspańiałego człowieka i wielką postać polskiej literatury i kultury popularnej.

Z wykształcenia inżynier elektryk, absolwent Politechniki Warszawskiej, Maciej Parowski już w czasach studenckich zajmował się działalnością redakcyjną, a od 1982 roku był redaktorem polskiej fantastyki – do 2013 roku jako kierownik działu literatury polskiej i przez ponad dekadę redaktor naczelny w miesięczniku „Fantastyka” i „Nowa Fantastyka”, później redaktor naczelny kwartalnika „Czas Fantastyki”. Poza pracą redakorską sam również był autorem m.in. dwóch powieści, *Twarzą ku ziemi* i – 28 lat później – *Burza. Ucieczka z Warszawy '40*. Za tę drugą wyróżniony został przez kapitułę Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Duże uznanie w środowisku zdobył również jako autor-scenarzysta komiksów – legendarnego *Funky Kovala*, a także *Wiedźmina*.

Znacznie liczniejsze były jednak jego prace krytyczne, recenzenckie czy teoretyczne. Liczne zbiory esejów i felietonów, komentujących bieżącą sytuację literacką, kulturalną i społeczną w Polsce, w tym monumentalne trzytomowe *Małpy Pana Boga*, stanowią obowiązkową lekturę z zakresu kultury popularnej w Polsce. One, obok wielu lat prowadzenia i redagowania najważniejszych pism o fantastyce w kraju, zbudowały pozycję Parowskiego i sprawiły, że nie sposób dziś przecenić jego roli w kształtowaniu się szeroko rozumianej literatury fantastycznej i komiksu w Polsce. Z jego opinią liczyli się wszyscy, nawet jeśli nie zawsze się z nim zgadzali. On zaś pozostawał wierny swoim zasadom, temu, że literatura ma dawać coś więcej niż prostą rozrywkę, ma skłaniać do namysłu nad światem i kondycją człowieka. Nawet w toczonych przez niego sporach zawsze chodziło o literaturę, miał w niej swoją misję, którą realizował do samego końca.

Maciej Parowski nie był tylko wybitnym, niezwykle uważnym i czułym redaktorem i krytykiem. Był wychowawcą całych pokoleń twórców i odbiorców kultury. Często publikował teksty autorów młodych, bo wyżej cenił świetną jakość literacką niż znane nazwisko. Debiutowała u niego plejada polskich pisarzy współczesnych, jak Marek Huberath, Wit Szostak, Jacek Dukaj czy Szczepan Twardoch. Drukował Sapkowskiego, Kuczoka, Orbitowskiego, Grzędowicza, Ziemiańskiego.

Spotkanie z Maciejem Parowskim było marzeniem wszystkich młodych twórców gatunku. Mógł otworzyć drzwi do kariery literackiej, ale przede wszystkim inspirował, uczył, wskazywał drogę i zachęcał do dalszych prób. Był zawsze otwarty, chętnie rozmawiał i spotykał się z czytelnikami i początkującymi pisarzami, pojawiał się regularnie na wszystkich ważnych wydarzeniach świata fantastyki. Jak nikt uważnie obserwował rozwój tej gałęzi polskiej kultury, jak nikt znał ją i z zaangażowaniem wspierał całe pokolenia odbiorców, czytelników wychowujących się na lekturze „Fantastyki” i „Nowej Fantastyki”, uczył krytycznego spojrzenia, interpretacji.

Za swoją działalność został odznaczony Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, a także m.in. Nagrodą im. Papcia Chmiela za zasługi dla polskiego komiksu.

Wiadomość o Jego śmierci pogrążyła w smutku bardzo wielu ludzi w Polsce. Wszyscy zgodnie wspominają go jako wielkiego redaktora, znaczącego twórcę, wielkiego fana fantastyki i serdecznego człowieka. Był postacią szanowaną i darzoną ogromnym uznaniem przez wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zainteresowani byli twórczością z dziedziny fantastyki.

Jego opinie wyznaczały standardy tego, jak się o popkulturze pisze i myśli. Miał – i na zawsze mieć będzie – rzeszę wiernych czytelników, słuchaczy, uczniów. Bo jego lekcje pozostaną z nami na zawsze, w formie jego książek, zredagowanych przez niego czasopism, dzieł pisarzy, których ukształtował i na których wpłynął.

Jego śmierć to wielka strata dla polskiej kultury. Pozostanie na zawsze w naszej wdzięcznej pamięci.

Piotr Gliński

Wiceprezes Rady Ministrów

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Piotr Müldner-Nieckowski

Maciej Parowski (1946-2019)

Znałem go przez całą dorosłą młodość i początki starości, od roku 1969, kiedy pokazała mi Go na ulicy Żegańskiej w Międzyzlesiu znajoma Macieja, a moja przyszła żona Małgosia (1948-1999) i powiedziała: „Inżynier i pisarz, ciekawe zestawienie, poznajcie się, fajny gość”. Podszedłem i tak się zaczęło. Mieszkaliśmy bardzo blisko siebie. Rówieśnik.

Dość szybko zrozumiałem, że mam do czynienia z kimś niezwykle nie tylko z racji tego, czym się zajmuje (a zajmował się wtedy głównie nakłanianiem, aby niektórzy ważni uznali fantastykę za literaturę równoprawną z tak zwaną artystyczną), ale jak potrafi myśleć i jakim jest człowiekiem. Widać to było po jego oczach. Zatrzymywały się na wzroku rozmówcy.

Cały czas dociekał czegoś silniej niż inni. Nawet mówiąc, oglądając film czy słuchając radia, opracowywał odległe krainy problemów, których istnienia pozostali jeszcze nie całkiem doświadczała. Jedną z takich dziedzin było grząskie boisko godzenia religii z niereligią, zestawiania nauki z nienauką i poszukiwania tego, co nielogiczne w logice oraz nienaukowe w nauce, tudzież czy ewolucjonizm już się zatrzymał w rozwoju, czy może raczej jeszcze nie ruszył przyzwoicie naprzód, albo czy w fizyce nadal duży jest margines spekulacji i domysłu zamiast dowodu i argumentu, lub co w medycynie ważniejsze, leczenie ciała, czy umysłu. I wiele innych, bez końca. Rozmawiając o takich sprawach, potrafiliśmy bardzo długo stać na stacji kolei dojazdowej, na przystanku autobusów albo w drzwiach klatki schodowej.

Pewnego dnia padło obowiązkowe pytanie: dlaczego fantastyka jest spychana na bok przez tych, którzy piszą niefantastykę? Czy to jest tak, jak z synkopą, która musiała czekać pół wieku albo i dłużej, zanim została uznana za składnik muzyki prawdziwej? Jazz jest raczej sposobem interpretowania muzyki niż jej stylem, więc czy nie jest podobnie z fantastyką? A jeśli tak, to czy fantastyka nie jest jeszcze lepszym sposobem interpretowania świata niż literatura modernistyczna?

Myślę, że wśród takich pytań (i własnych, często tajnych odpowiedzi) zrodziła się nowa odmiana fantastyki historycznej w najlepszym dziele Parowskiego – powieści *Burza*, dziele tyleż znakomitym, co nie zawsze rozumianym i docenianym (wyróżnienie nadane jej przez jury dorocznej Nagrody im. Józefa Mackiewicza nie wystarczyło!). Ma strukturę treści i funkcje

leksykalno-składniowe inne niż zastane w prozie dotychczasowej. „Trzeba przywrócić to, co z historii i naszej o niej wiedzy odcięła zbyt łatwo stosowana brzytwa Ockhama” – tak mniej więcej powiedział w czasie naszej rozmowy o tej księdze na jednej z Biesiad Literackich w SPP, co zresztą zarejestrowała kamera i co jest pokazywane w Internecie – „historia to głównie psychologia. A żeby do tego dojść, musimy rozpatrywać wszystkie znane i nieznane (wzorcowe) osoby, fakty, rzeczy i ruchy ze wszystkich stron; zajrzeć, co jest na drugiej stronie Księżyca”. Dodam: i co widzieli ci, którzy jej nie widzieli. Najpierw więc trzeba to napisać, odtworzyć tamten świat, skoro nie ukazuje się samoczynnie. Dopiero wtedy będziemy rozumieć, czym jest to, co chcemy badać. Maciej uważał więc, że naszym zadaniem jest tworzenie obszarów obserwacji, ale nie z niczego – materiał jest bowiem na wyciągnięcie ręki. To nasza rzeczywistość, to zapisy historyczne lub – parahistorczne.

Taki był Maciej Parowski jako pisarz. Poszukujący, wymagający – najwięcej od siebie – do bólu precyzyjny w operowaniu znaczeniami słów i dobieraniu ich brzmień w zdaniu i akapicie.

Był ruchliwy, szybki w gestach i mowie, co powodowało wrażenie zacinania się, połykania wyrazów czy seplenienia, ale to wynikało z potrzeby niezwalniania tempa. Kiedy mówił (na prośbę) wolniej, już nie seplenił. Nie znosił pustki w dzianiu się i byciu. Musiał ją czymś wypełniać, miał poczucie, że czas, który minął, mógł być bezproduktywny, zmarnowany. Chyba najważniejszą cechą, która mu ułatwiała utrzymywanie tempa, była szczerość, nieraz wręcz weredyczna, ale mimo wszystko zjednująca mu ludzi nawet krańcowo różniących się poglądami. Był chyba jedynym znanym mi człowiekiem, którego mimo twardości poglądów filozoficznych i politycznych, siły wiary i wyznania, inni tolerowali, więcej: doceniali, i to nawet ci, którzy są znani ze skłonności do nienawiści, do segregowania ludzi, dzielenia na swoich i obcych, naszych i nie naszych, słusznych i niesłusznych, elitę i tłum. W każdej gazecie, każdym tygodniku Maciek mógł publikować i nikomu, od lewa do prawa, to nie przeszkadzało. Po pierwsze pisał teksty doskonałe, ale po drugie to On je pisał, osoba, na której prawdzie można było polegać. Na tym pogrzebie, tu w murowanym kościele na warszawskim Bródnie, aby uczcić pamięć Macieja, także zebrali się ludzie – przyznają państwo – z bardzo różnych środowisk. Bo żegnamy Macieja Parowskiego, który był Obywatelem nie tylko z nazwy.

Piotr Müldner-Nieckowski

Andrzej Zimniak

Osobiste wspomnienie o Macieju Parowskim

Parowskiego na pewno nie zapomnę – znaliśmy się od dawna, a nasza znajomość była stale podtrzymywana przez wspólne zamierzenia, przedsięwzięcia, pracę nad tekstami literackimi, uczestnictwo w konwentach, panelach i debatach. Nadto od początku wytworzyła się między nami atmosfera życzliwości, otwartości i tolerancji.

Maćka zapamiętam jako energicznego człowieka czynu, który niczego nie odkładał na później. Jego mentalność dobrze korespondowała z fizycznością – poruszał się gwałtownymi rzutami ciała i kończyn, samochód prowadził podobnie, ostro skręcając kierownicą. Zawsze miał coś do powiedzenia, lecz zwykle w tych wypowiedziach była oryginalna i ciekawa myśl. Niestety mówił szybko i do tego seplenił, więc ta myśl nieraz bywała ukryta. Zawsze wygarniał wprost to, co myśli, bez gier i politykowania. Pozostał do końca na zabój zakochany w fantastyce, zwłaszcza w redaktorskim selekcionowaniu i poprawianiu tekstów literackich. Nadto był zasłużonym popularyzatorem literatury, felietonistą, filmoznawcą i komiksiarzem, bywalcem niezliczonych konwentów, człowiekiem życzliwym i do niemal wszystkich „na wejściu” nastawionym przyjacielsko. Niewątpliwie swoją postawą i działaniem łączył, a nie dzielił. Jednak trzymał się zwykle swojego zdania, choć dało się z nim dyskutować. Bywał czasem uparty, nawet swarliwy, lecz kto z nas jest bez wad?

Poniżej przedstawiam garść wspomnień, związanych z Maćkiem – bez wylizywania dorobku, zasług, podawania życiorysu, te dane można znaleźć wszędzie w sieci.

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć – jak to? Przecież był w dobrej formie, ostatnio ostro pracował nad leksykonem swoich autorów, kontaktował się ze mną w tej sprawie jeszcze dwa miesiące przed śmiercią. Zawał, wylew? Okazało się, że w dobrej formie nie był, bo właśnie przegrywał walkę z nowotworem. Pracował do końca, ścigał się z czasem. Nie zdążył, zmarł nad ranem 3 czerwca 2019. Podobno jednak podciągnął

robotę na tyle, że da się książkę wydać, tak przynajmniej obiecują w wydawnictwie (SQN). Będzie to należne mu zwieńczenie wieloletniej i wielostronnej aktywności.

Maciek pokazywał się w fantastycznym fandomie wszędzie, bo był uniwersalny i chętnie się udzielał. Miał rozległą wiedzę i własne, oryginalne opinie. Wzięty prelegent, a przy tym ważny łącznik, inicjujący i katalizujący fandomowe kontakty i przedsięwzięcia. W obrazie naszej społeczności był rozpoznawalną i ważną ikoną, którą niełatwo będzie zastąpić.

Od początku znajomości nawiązała się między nami jakaś nić zrozumienia, a nawet serdeczności, chociaż słowo „przyjaźń” pewnie jest zbyt pompatyczne. Zналиśmy się blisko 40 lat (!) i w tym czasie sporo wspólnie działaliśmy na fantastycznej niwie, zwłaszcza jeśli chodzi o zagospodarowanie moich tekstów. Zainicjował moją współpracę z czasopiśmem „Fantastyka” (F), potem jako naczelnny i selekcjoner polskiej prozy na przestrzeni lat przyjął do druku w F i „Nowej Fantastyce” (NF) 13 moich opowiadań (jestem do dziś ilościowym rekordzistą pisma!). Uczestniczył w wydaniu *Klatki pełnej aniołów* u Prószyńskiego, umieszczał moje opowiadania w antologiach, zapraszał na łamy „Czasu Fantastyki”. Nie miejsce tutaj na wyliczanki, chcę tylko podkreślić, że jako pisarz, który kiedyś sporo publikował, zawdzięcza mu wiele.

Nasza znajomość była pewnie jednak rodzajem przyjaźni, bo wciąż wracają wspomnienia o Maćku – koledze, fantaście, redaktorze, towarzyszu w wyjazdach i przedsięwzięciach, wliczając w to piwne dyskusje, człowieku inteligentnym, na którego zawsze można było liczyć w intelektualnej potrzebie. Maciek był też chodzącą bazą danych – jeśli potrzebowaleś złapać kontakt do kogoś, on go miał, zwykle natychmiast, najpóźniej na jutro. Jeszcze jedno – jak sięgam pamięcią, nie mogę na przestrzeni naszej znajomości znaleźć wydarzenia, o które mógłbym mieć do Macieja prawdziwą pretensję, innymi słowy – nigdy nie zrobił mi tzw. świństwa. Owszem, nieraz ścieraliśmy się w merytorycznych dysputach, bywało że ostro, kiedyś poróżniliśmy się o nieuzgodniony skrót w moim artykule do NF, który zmienił jego sens (to była najpoważniejsza sprawa), ale jego stanowisko zawsze byłem w stanie zrozumieć, wytłumaczyć i w końcu uznać za akceptowalne. Zwracając się do Maćka z czymkolwiek, miałem pewność, że zostanę potraktowany poważnie i uczciwie. Podkreślałam to dlatego, że takich ludzi widzę dziś wokół siebie naprawdę niewielu.

Przychodzą mi także na myśl różne drobne wydarzenia z czasu naszej znajomości, które – nie wiem dlaczego akurat te – szczególnie utkwiły

mi w pamięci. Kilka z nich przedstawiam bez porządkowania, tak jak je sobie przypominam.

Maćka poznałem zdalnie, przez telefon. Zadzwoił do mnie bodajże w 1983 roku (daty już nie ma komu zweryfikować), po nocy, koło godziny 23, i seplenił coś po swojemu z taką szybkością, że zrozumiałem tylko, że już jesteśmy po imieniu i że chodzi o jakieś opowiadanie. Chwilami udawało mu się trochę zwolnić, i wtedy słowo po słowie dogadaliśmy się, że jest redaktorem powstającego czasopisma i że chce otrzymać jakiś mój nowy tekst do opublikowania tamże. Byłem już wtedy po debiucie (1980 r.), miałem też kilka opublikowanych opowiadań rozsypanych po takich czasopiśmach jak „Problemy” czy „Młody Technik”, bo wówczas pisałem naprawdę sporo. Całkowicie mnie zaskoczył i zacząłem się wykręcać, że teraz nie mam niczego gotowego, ale okazał się nieustępliwy. Wreszcie przypomniałem sobie, że właśnie kończę (a może leżał już gotowy w szufladzie?) lekki, humorystyczny tekst *Umarł w butach*, którego jednak jako krytyczny autor nie byłem pewien w stu procentach. Redaktor-selekcjoner prozy polskiej do F jednakże nie chciał się rozłączyć, dopóki mu tego opowiadania nie obiecałem. I nie żałuję, bo okazało się to całkiem niezłe. No i zaistniałem w drugim numerze w historii kultowego czasopisma.

Nie pamiętam, kiedy Maćka poznałem osobiście – zapewne spotkał się w redakcji F, która wtedy mieściła się przy ul. Mokotowskiej 5, na trzecim piętrze, w starym, wielopokojowym, przedwojennym mieszkaniu. Wchodziło się tam szeroką, chłodną klatką schodową o wysokich półpiętrach, których podesty wyłożone były żółtą i bordową terakotą. Później bywałem tam częstym gościem – przegadałem w tej redakcji niejedną godzinę z Maćkiem, Markiem Oramusem, Lechem Jęczykiem i innymi.

Równoległe do pisarstwa uprawiałem w tych czasach nauki ściśle (chemię eksperymentalną) i jeździłem na konferencje naukowe, także międzynarodowe. Polskich badaczy chętnie wtedy dofinansowywano, jako „tych biednych, wychodzących z komunizmu”, więc *per analogiam* jak zobaczyłem w F zachęcające ogłoszenie o konwencie „Conscience 1993” w Sztokholmie, zwróciłem się do Maćka z propozycją wspólnego wyjazdu. Maciek podchwycił temat, w wyniku czego znaleźliśmy się na promie, prującym fale Bałtyku. Podczas podróży i w Sztokholmie prowadziliśmy niekończące się rozmowy o wszystkim: fantastyce, literaturze, światopoglądzie, społeczeństwie, technologii i komputerach. Wtedy, sam już będąc przekonany do komputerów, przekonywałem do nich Maćka, a on dzielnie dawał mi odpór, dowodząc, że plik kartek i ołówki zupełnie wystarczą. Podczas

konwentowych prelekcji i dyskusji usiłowałem wykonywać równoległe tłumaczenia, co nie zawsze wychodziło i Maćka denerwowało. Przy zwiedzaniu Wenecji Północy ciągle się gubiliśmy jako dwa samce alfa (każdy uważał, że drugi powinien iść za nim). Ale do muzeum żaglowca Vasa dotarliśmy i było bardzo ciekawie.

Maćka zapraszałem także na Festiwal Nauki, które rokrocznie organizowałem w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich w latach 2000-2017. Np. w 2004 roku odbyła się dyskusja panelowa „Słowo i obraz w kulturze XXI wieku”, podczas której filmoznawcy z Parowskim na czele atakowali mój pogląd dotyczący bardziej pierwotnej funkcji obrazu względem słowa. Niezależnie od tematyki, dysputy z Maćkiem zawsze były ciekawe i inspirujące, najważniejsze że niebanalne.

Kiedy ostatni raz widziałem Maćka? Na pewno spotkaliśmy się w trakcie Kongresu Lemologicznego (poświęconemu twórczości Stanisława Lema – *przyp. red.*) we Wrocławiu w listopadzie 2016 r., jedliśmy wtedy kolację i rozmawiali o oryginalnym wystroju pełnej suszonych ziół i ozdobnych roślin restauracji. Widzieliśmy się także na Festiwalu Fantastyki w Nidzicy i jestem niemal pewien, że było to w czerwcu 2017 – pochłanialiśmy wtedy kiełbaski pieczone w ognisku i rozmawiali z Waldkiem Chomickim o e-bookach. I to by była ostatnia klatka mojego filmu z Maciejem Parowskim, zwanym przez jednych Parówkarzem, a przez innych Maciejką lub Maciusiem.

Silne pozdro, Maciuś!

Andrzej Zimniak

Losy fantastyki w Polsce oczami jej guru

Maciej Parowski o sobie

Farciarz, grzybiarz, cicerone, pieniacz, grabarz!

Miałem sporo szczęścia. Marzyłem o tzw. wysokiej literaturze, lecz studiowałem na Politechnice Warszawskiej (1964-1970) i brałem się za branżę mało szacowne, które dopiero potem nabierały znaczenia. Dobre koniunktury przychodziły same, a i tak nie od razu umiałem je dostrzec. Pojawiałem się na różnych działkach w dobrym momencie, gdy ogarniał je prąd wznoszący i zewsząd ciągnęło dobre towarzystwo. Te działki to Tygodnik Studencki „Politechnik”, „Fantastyka”, komiks. Na każdej z tych działek towarzyszyło mi kino – jako rozrywka, obiekt badań, ale też źródło inspiracji i wielu życiowych wtajemniczeń.

Czterdzieści lat temu, ok. 1973 r., w PRL prasa studencka uchodziła za medium niepoważne i peryferyjne, ale im bliżej Sierpnia '80, tym lepiej było widać, gdzie gromadzą się wolne umysły. Był stamtąd dobry widok na cuda studenckiej kultury. Teatry takie jak STU, Ósmego Dnia, łódzkie Siódemki, Pleonazmus, Scena Plastyczna KUL Leszka Mądzika. Kabarety jak Salon Niezależnych, bardowie jak Jacek Kaczmarski i Przemek Gintrowski. Aktywny ruch DKF czy buntownicze festiwale – świnoujskie Famy, festiwale teatru otwartego we Wrocławiu i studenckiego w Łodzi, festiwale studentów szkół artystycznych na Śląsku i Wybrzeżu. Obozy tygodnika „ITD” dla studenckich dziennikarzy w Soczewce. Tam uzupełniało się artystyczną edukację, zawierało pokoleniowe przyjaźnie i czerpało nieobecną w oficjalnych obiegach wiedzę o Polsce.

W stan wojenny wkroczyłem jako 35-letni elekcyjny (solidarnościodowy) naczelny „Politechnika”, z tomikiem młodokulturowych i filmowych felietonów *Bez dubbingu* oraz cienką para-orwellowską powieścią *Twarzą ku ziemi*. W jedną grudniową noc straciłem pismo, perspektywę i dużo kontaktów – jasne było, że na odrodzenie ruchu w poprzedniej formie władza nie pozwoli. Wyglądało to na totalny krach, a stałem na progu największej i najdłużej trwającej przygody życia. Nie tylko swojej.



Andrzej Wójcik i Tadek Markowski, założyciele „Fantastyki”, musieli mnie namawiać. Naczelny tygodnika miałyby wziąć dział polski w miesięczniku? Co za upadek! Trochę znałem młodą prozę, bo drukowałem ją w „Razem” – żadnych sensacji. Wójcik, na którym wielu wiesza dziś psy, a który to wszystko rozkręcał, podrzucił mi kilkaset stron z antologii *Spotkania w przestworzach*, zestawianych dla Krajowej Agencji Wydawniczej. W październiku poszły wybrane stamtąd *Co większe muchy* Krzysztofa Lipki i *Zabawa w strzelanego* Andrzeja Drzewińskiego. Do numeru listopadowego wzięłem *Zakład zamknięty* Andrzeja Ziemiańskiego, ale to jeszcze nie była *Bomba Heisenberga*. Opowiadania *Pi = 3,13* Andrzeja Zimniaka nie kupiłem, błędnie uznając tekst za beznamietną fizyczno-chemiczną igraszkę ze stałymi matematycznymi i fizycznymi, zmieniającymi wartość, a chodziło o metaforę świata, który trzeszczy w szwach.

Mój ówczesny świat też wyszedł z formy. Mimo że stan wojenny słabł i malał, „Politechnika” nie odwieszano. Fantaści, do których dotarłem (Snerg, Boruń, Sawaszkiewicz), nie mieli nowych tekstów, miniaturę Zajdła zdjęli ze strachu koledy, bo Janusz niebezpiecznie przedrzeźniał stan wojenny. Druk gotowych socjologicznych powieści (Zajdła, Oramusa, Żwikiewicza) wydawał się zagrożony. Proza z poczty była niedobra, ale już w pierwszym numerze poszedł anons konkursu na opowiadanie. Bardzo dobry pomysł, choć nie mój, jak wiele innych. A.D. 1982 wierzyłem w zawodowców, bo pierwsze teksty z konkursu traktowały o robotach, śrubkach, sprężynkach.

*

Dopiero po roku powiedziałem żonie, że chyba lubię to, co robię. Kończyliśmy z Rodkiem i Polchem pierwszego Funky’ego Kowala – nam się komiks podobał, czytelnicy zaskoczyli od połowy.

Przedstawiłem w wywiadach dziesiątkę wydawców – opowiadali o stanie fantastyki i filozofii gatunku, ale znów to nie ja wymyśliłem ten cykl. Zacząłem od osób, które tworząc serie SF nadali gatunkowi kulturową rangę, Od Ewy Troszczyńskiej z Naszej Księgarni, potem był Lech Jęczmyk z Iskier i Czytelnika, Bronek Kledzik z Wydawnictwa Poznańskiego, Janina Zielonko z Iskier, Andrzej Wójcik z KAW, Katarzyna Krzemuska z Wydawnictwa Literackiego, Maria Przybyłowska z PIW, Adam Kaska z MON... Zbigniew Przyrowski, wielki promotor SF z „Młodego Technika” wystąpił na spotkaniu z „Nowej Fantastyki” w Mazowieckim Centrum Kultury przy Elektoralnej 12 w Warszawie dopiero w trzecim tysiącleciu.

Szybko zjawiły się następne literackie asy. Andrzej Zimniak, Marek Baraniecki, Emma Popik, Krzysiek Kochański, Jacek Piekara. W konkursowej poczcie czaił się Feliks W. Kres. W 1984 roku miał się odezwać Oramus i powinny były się pojawić *shorty* Ziemkiewicza. Oramus, Baraniecki, Zimniak też byli z „Politechnika”, w tej samej paczce tkwił Mirek Kowalski, spiskował w Nowej, zatrudnił się w Iskrach (a w 1991 wypłynął jako wydawca AS-a). W 1986 w konkursie „Fantastyki” wybuchły gwiazdy Sapkowskiego i Huberatha, jesienią 1989 poczta przyniosła *Złotą Galerę* Dukaja.

Dużo dobrej fantastyki światowej ściągnął Rodek, później Jęczmyk, a już za wolności Dorota Malinowska. Pomagali im bądź kierowali działem zagranicznym Wiktor Malski, Darek Toruń, Sławek Kędzierski, Arek Nakoniecznik, Danusia Górską, Anna Dorota Kamińska, Paweł Ziemkiewicz.

Marcina Zwierzchowskiego, który kieruje działem dzisiaj, nie było wtedy na świecie.



Młodzi autorzy wyobrażają sobie kierownika działu prozy jako kapryśnego demiurga i przypisują mu władzę nadludzką. Takie to władanie jak meteorologa nad chmurami i piorunami. Poprawiałem teksty, kiedy musiałem, bo sekretarze redakcji gonili, ale szkodziłem im mniej niż parasole ulewie. Leszek Jęczmyk porównuje zajęcie redaktora do grzybiarza, człowiek bierze, co las daje, i Boga chwali. Od historii dostałem rewolucyjny moment i trwającą dekady sytuację wielkiej przemiany; a od poprzedników, którzy przeorali ten las i wydeptali w nim redaktorskie ścieżki, zaczątek literackiego poruszenia. Także dzięki nim las dawał coraz lepsze rzeczy. Tysiąc nowych nazwisk, setki zachwycających opowiadań i kilka firmowych antologii pisma: *Trzecia brama* (1987), *Pożeracz szarości* (1991), *Co większe muchy* (1992), *Miłosne dotknięcie nowego wieku* (1998).

W 1982 roku miałem ambicje literackie, a nawet rozgrzebaną drugą powieść. Coraz lepsi autorzy szybko odebrali mi śmiałość robienia prozy, za to dali materiał i ochotę do pisania o innych. Od początku drukowałem recenzje, później większe szkice, także wstępy i noty do antologii. Wszystkim chciało się gadać o gatunku, więc trochę jeździłem po klubach, po konwentach. Stąd znajomości z fanami, którzy odwalali wspaniałą robotę. Między innym z Krzyskiem Papierkowskim, Kozubskimi (Dziadkiem i Harcerzem), Januszem Monte, który wystrugał nam w Staszowie i Połańcu cztery piękne festiwale (dni) fantastyki, z Elą Gepfert i Piotrami – Cholewą i Rakiem, z Wojtkiem Sedeńko, z Kamilem Śmiałkowskim,

który dwukrotnie zgromadził komikarzy na debaty w krakowskiej Rotundzie, z Maćkiem Witkowiakiem i wszystkimi działającymi przed nim w Poznaniu. Były z tego nowe znajomości, stopy notatek, a i szkice powstałe z prelekcji, zapisy wielkich dyskusji (także naszych redakcyjnych w Dzierżonowie, Staszowie, w Polskim Radiu, w firmie na Mokotowskiej, na Uniwersytecie Warszawskim)... Po pięciu latach miałem z tego pierwszą krytyczną książkę.

Po 21 latach drugą, *Małpy Pana Boga. Słowa*, a teraz jeszcze jedną – *Małpy-Obrazy*. Nazywałem tam tak, jak szły u nas po sobie – fantastykę socjologiczną (polityczną), fantastykę w stylu punk, oniryczną, holistyczną, religijną, bliskiego zasięgu czy wręcz fantastykę rzeczywistości, fantastykę artystyczną, postmodernistyczną, historie alternatywne... Ważna sprawa – ani jednego z opisanych zjawisk nie narzuciłem autorom. Przełomowe teksty same pchały mi się w ręce. Przemianę zwiastowały też nieudane, ale namiętne opowiadania, które musiałem odrzucić. Ale *de facto* nie wykreowałem żadnej nowości czy przełomu. Nie podyktowałem *Karlgoro godzina 18.00* Baranieckiemu, *Wiedźmina* Sapkowskiemu, *Jeruzalem* Cyranowi, *Kary większej* Huberathowi, *Melomanów* Górskiemu, *Opuścić Los Raques* Żerdzińskiemu, *Noteki 2015* Lewandowskiemu, *Zapachu szkła* Ziemiańskiemu, *Popiela* Armeńczyka Orbitowskiemu... Chociaż chciałym, żeby tak było.

Gorzej. Dałem zrazu dowód głuchoty na postmodernistyczne igraszki, zmieniając Sapkowskiemu w *Kwestii ceny* słowo „inteligencja” na staromodną „mądrość” oraz „arogancję” na bardziej stylową „pychę”. Do dziś Andrzej skarży się na to przed międzynarodową publicznością we wstępie do zbioru *Coś się kończy, coś się zaczyna*. Tyle dobrze, że nie zbłaźniłem się jak inni puryści, robiący AS-owi awantury o Renfri i jej batystowe majtki.



Ewoluuowały w tym czasie moje wyobrażenia o istocie gatunku. Pisząc z Oramusem w połowie lat 70. petycje do władz o papier na fantastyczną wkładkę do „Politechnika”, wybijaliśmy cywilizacyjne, naukowe funkcje *science fiction* (SF). Minęło pięć lat i radośnie odkrywaliśmy jej zadania socjalne i polityczne. Długo patrzyłem na fantastykę przez pryzmat trzech odmian (*fantasy*, SF, horror), by odkryć przy *Gwiezdnych wojnach*, że istnieją dobre artystycznie formy złączone (łącznie).

Lokowało się też fantastykę w rejonach baśniowego marzenia, rewindykacji moralnej. Opóźniona recepcja Tolkiena, inwazja polskiej *fantasy*

i *klerykal-fiction* kazała myśleć o funkcjach mitologicznych i religijnych gatunku. Po lekturze Campbella i krytycznych tekstów polonistów i anglistów, którzy (np. w osobach Grażyny Lasoń, Kasi Kaczor, czy Dominiki Materskiej) wtargnęli na działkę prostodusznych fanów, zaczęliśmy ekstrahować z fabuł fantastyki odwieczne struktury o wybrańcach, przeznaczeniu, misji. Pomny lekcji *science fiction* socjologicznej, prosiłem autorów o świadectwa doświadczeń pokoleniowych i indywidualnych; zresztą – również bez specjalnych zamówień znajdowałem je w ich prozie.

Później, po sporze z psychologami na UW definiowałem fantastykę jako „język pierwszy”, bo spostrzegłem, że istnieje silna więź między bajkami z dzieciństwa, opowieściami o mechanicznych jeźcach, nakręcanych słowikach i drewnianym Pinokiem a zbuntowanymi robotami czy obcymi z kosmosu. Z kolei komputery, Sieć, i ich wizja w twórczości Gibsona i Sterlinga, znów pokazywały fantastykę jako godną uwagi projektantkę nowych światów. Natomiast refleksja nad dziełami wyobraźni w różnych czasach, pozwoliła doszukiwać się źródeł fantazji także we śnie, narkotykowym odurzeniu, defekcie, chorobie.

Podobne przemyślenia i idące za nimi redaktorskie wymagania, musiały onieśmielać kandydatów na autorów, którzy chcieli pisać proste wartkie opowieści. Nazywany byłem więc szkodnikiem polskiej *science fiction*. Po opublikowaniu komiksu o Wiedźminie, okazałem się też, w opinii konkurentów, grabarzem polskiego komiksu. Mój spór z Klubem Tforców, wielkie zmaganie fantastyki rozrywkowej z problemową, trwał nie mniej niż dwie dekady. W jego apogeum, w roku warszawskiego Polconu (1999) wdałem się ostrą kłótnię z organizatorami w obronie moich autorów, którzy nie dostali nagrody im. Zajdla. Oberwałem za to od Śląskiego Klubu Fantastyki, kibicującego innym autorom, antynagrodą Złotego Meteora. Szczęśliwie później zrezygnowano z tego dwuznacznego wyróżnienie, będącego zarazem orężem, nowe władze klubu uznały, że przynosi więcej złego niż dobrego. Też tak uważam.

Po latach się okazało, że zamiast gruzów i resentymentów, zostało z owych kłótni trochę publicystycznego kurzu, wiele nostalgicznych wspomnień i mnóstwo dobrych tekstów, które godzą sprzeczne postulatory. Natomiast naprawdę nieliczne konflikty, urazy, które przetrwały, mają przede wszystkim charakter ambicjonalny, personalny.

Maciej Parowski
Styczeń 2013

Danuta Sękalska

Wspomnienie

o Irenie Harasimowicz-Zarzeckiej (1935-2019)

i Krzysztofie Zarzeckim (1926-2019)

Po raz pierwszy spotkałam Irenę i Krzysia w 1990 roku w Toronto. Przyjechaliśmy wtedy z mężem na zaproszenie przyjaciół do Kanady, dumni obywatele wolnego kraju, nie tak dawno na próżno dopraszający się o paszporty. Zaproszono nas do klubu tamtejszej Polonii, gdzie zaprezentowałam fragment mojej książki *Kobieta wyzwolona?*, opowiadający o zwycięstwie zasady patriarchalnej nad matriarchalną na podstawie Bachofenowskiej interpretacji mitów greckich. Cytaty z *Eumenid* Ajschylosa, symbolizujące ów dramat, czytała pani profesor Tamara Trojanowska. W trakcie dyskusji podeszła do mnie piękna, posągowa kobieta, której towarzyszył pan o miłej, wyrazistej twarzy. To byli państwo Zarzeccy, ważne postaci życia kulturalnego Polonii, na emigracji w Kanadzie od 1987 roku.

Irena Harasimowicz, wszechstronnie wykształcona tłumaczka literatury rumuńskiej i eseistka, po pobycie u ojca w Londynie i pracy w Instytucie Sikorskiego wróciła do kraju i podjęła pracę redaktorki w Państwowym Instytucie Wydawniczym w Warszawie. Tam poznała przyszłego męża, Krzysztofa Zarzeckiego, wybitnego tłumacza angielskiego obszaru językowego, znawcę literatury amerykańskiej, wówczas szefa redakcji anglosaskiej w tym wydawnictwie.

Irena uzyskała stopień doktora filologii rumuńskiej na uniwersytecie w Bukareszcie za rozprawę o prozie rumuńskiej poświęconej tragedii tzw. zagubionego pokolenia intelektualistów, uczestników pierwszej wojny światowej. Jest autorką wielu przekładów poezji i prozy rumuńskiej, m.in. powieści Mircei Eliadego *Majtreji*, którą poprzedziła esejem o jego twórczości literackiej, tłumaczyła też Tadeusza Różewicza, Wisławę Szymborską i Zbigniewa Herberta na rumuński. Jest również, a może przede wszystkim, autorką *Antologii poezji rumuńskiej*, w której zaprezentowała we własnym wyborze i w znacznej części we własnych przekładach twórczość poetów, tworzących w tym kraju w latach 1939-1980. *Antologia* została wysoko oceniona przez czołowych krytyków literackich i przyniosła

Irenie wiele nagród krajowych oraz nagrodę Fundacji Turzańskich, która uznała tę księgę za wyjątkowej wartości dzieło, zapewniające autorce trwałe miejsce wśród najwybitniejszych polskich tłumaczy poezji rumuńskiej i najwnikliwszych jej znawców.

„Pracowałam nad tą antologią jakby wbrew nieufności, którą coraz częściej okazywano narodowi rumuńskiemu pod rządami Ceausescu – wyznała Irena w rozmowie z Krystyną Starczak-Kozłowską w sierpniu 2014 roku – lecz z absolutną wiarą, że ówczesna poezja rumuńska była niepowtarzalnym zjawiskiem artystycznym w kontekście poezji europejskiej”. Poeci rumuńscy tworzyli w dotkliwszych niż nasze warunkach zniewolenia. I w tych warunkach, jak mówi Irena, wielu z nich wydobywało z siebie najgłębszy ton zarówno pod względem moralnym, jak i artystycznym.

Krzysztof Zarzecki, za okupacji żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego, był jeńcem hitlerowskich stalagów. Studiował germanistykę i anglistykę, w roku 1950 roku debiutował jako publicysta. Był wydawcą polskich edycji wielu najwybitniejszych utworów literatury światowej, od klasycznych poprzez współczesnych po zbiory tłumaczeń poetyckich, redaktorem wielu ważnych antologii i wyborów, autorem antologii prozy amerykańskiej, tłumaczem ponad trzydziestu pozycji z literatury anglosaskich, w tym Johna Steinbecka, Trumana Capote’a, Erskina Caldwella, Johna Dos Passosa, Williama Faulknera.

Szczególnym uznaniem cieszył się przekład Krzysztofa trylogii Dos Passosa *USA*, na którą składają się *42 równoleżnik* oraz *Rok 1919* i *Ciężkie pieniądze*. Pisała profesor Maria Janion: „Przeczytałam jeszcze raz z wielkim upodobaniem i wszystkim polecam coś klasycznego – wznowienie arcydzieła Johna Dos Passosa *42 równoleżnik* w znakomitym tłumaczeniu i opracowaniu Krzysztofa Zarzeckiego”. Pani profesor uznała, że jest to „doprawdy wyjątkowe dzieło do estetycznego smakowania i intelektualnego namysłu”. A umieszczone na końcu książki obszerne przypisy tłumacza tworzą, zdaniem pani profesor, swoistą encyklopedię amerykańską. Fundacja Turzańskich, przyznając Krzysztofowi nagrodę za całokształt twórczości, podkreśliła, że jego tłumaczenie trylogii Dos Passosa *USA* jest jednym z najwybitniejszych polskich osiągnięć przekładowych w dziedzinie prozy.

W czerwcu 2014 roku Irena i Krzysztof po 28 latach spędzonych w Kanadzie wrócili do Polski. Popularne pisma polonijne zamieściły pożegnalne reportaże i fotografie. Krystyna Starczak-Kozłowska cytowała poświęconą obojgu notatkę z „Merkuriusza” (19-25 czerwca 2014): „Przez blisko 30 lat

swojej emigracji w Kanadzie państwo Zarzeczy byli animatorami życia kulturalnego i patriotycznego, uczestniczyli w większości ważnych dla naszej społeczności wydarzeń, nadając ton, wnosząc w torontoński krajobraz swój zapał, talent i swoje niezwykle barwne osobowości [...] propagowali w różnej formie polską kulturę, nieśli bezinteresowną pomoc Polakom, wspierali duchowo i materialnie wiele projektów kulturalnych i patriotycznych – sponsorowali spektakle teatralne, wydawnictwa, a także rodaków będących w potrzebie. Byli przez lata małżeństwem-instytucją”.

I Irenie, i Krzysztofowi bliska była idea pomocy. Wynieśli tę tradycję z domów rodzinnych. Krzysztof w Kanadzie pomagał bezinteresownie polskim emigrantom jako tłumacz emigracyjny i sądowy, był redaktorem Polskiego Funduszu Wydawniczego. Kiedy Zarzeczy odziedziczyli spadek, nie przenieśli się do większego mieszkania, nadal korzystali z miejskich środków lokomocji, ale zaczęli przeznaczać pieniądze na wspieranie wydarzeń kulturalnych, czasopism polonijnych, zapraszać twórców z kraju.

Irena była kobietą o niezwyklej osobowości. Jej misją była pomoc ludziom. Sama tego niejednokrotnie doświadczyłam. Najwyższy podziw budził stosunek Ireny do chorych i potrzebujących. Była bardzo otwarta, pogodna i serdeczna. Człowieka dopiero poznanego potrafiła obdarzyć takim ciepłem, jakby odnalazła kogoś od dawna oczekiwanego.

Irena zmarła 28 kwietnia 2019 roku, Krzysztof podążył za nią wkrótce, bo 18 lipca.

Danuta Sękalska

Grzegorz Walczak

Z Wilna powiało poezją



Stowarzyszenie Pisarzy Polskich reprezentowali: Małgorzata Karolina Piekarska, Adam Lizakowski, Grzegorz Walczak i Zofia Zarębianka

Bardzo mile wspominam niedawno (25-30.05.2019) zakończony w Wilnie XXVI Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią”, którego pomysłodawcą, organizatorem, dyrektorem absolutnym, po prostu duszą Festiwalu, jest od ponad półwiecza Romuald Mieczkowski, poeta i animator kultury, uparty jak Litwin w swym pozytywnym działaniu, miłujący Rzeczpospolitą Poezję i jej twórców, Polak, któremu zależy na przerzucaniu mostów kulturowych między krajami połączonymi niegdyś unią. Żartuję sobie mówiąc, że dyrektor absolutny. Absolutnie wszechorganizator, ale niedający zaproszonym gościom odczuć swej dyktatorskiej władzy.

Festiwal był wielce intensywny i niejednoaspektowy. Oczywiście rzeczą główną była poezja. Codziennie w innym urokliwym miejscu prezentowaliśmy swoje dzieła poetyckie, poeci polscy nie tylko z Korony i Litwy,

ale z różnych zakątków świata, różnych kontynentów, z Europy, Ameryki, Australii.

Różniły nas motywy wierszy, ich stylistyka i typ poetyzowania, z przewagą wiersza frazowego (białego) – zbliżonego do artykulacji prozatorskiej – nad wierszem o formach klasycznych, tj. rymowanych, zrytmizowanych, o bardziej lub mniej regularnych zestrojach akcentowych i powtarzalnych ilościach sylab. Dla tego drugiego typu nie mniej od treści utworu istotna jest sama forma stroficznego wiersza.

Łączyła nas natomiast idea zbliżenia się „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”, do Mickiewicza, do Miłosza, do tej naszej tradycji wileńskiej. Nic więc dziwnego, że zamieszkaliśmy w hotelu „Pan Tadeusz”, spotkaliśmy się po mszy św. u Franciszkanów, by *dzielić się słowem poetycko-lirycznej refleksji*. Drugi dzień rozpoczął się *Przywitaniem z Adamem* i sesją zdjęciową przy jego pomniku. Potem by go zadziwić, może mniej siebie, raziliśmy chyba z trzydziestu łuf poetyckich w Muzeum Mickiewicza swoimi dziełami. Następnego dnia wynieśliśmy się z Wilna w równie znane, pełne pamiątek polskiej kultury podwileńskie okolice. Nawiedziliśmy Borejkwoszczyznę, buszowaliśmy dość długo w Domu Syrokomli, po obiedzie w Jaszunach w Pałacu Balickich, w niespodziewanym deszczu dreptaliśmy po niewielkim obszarze Republiki Pawłowskiej – niemal najmniejszego „państwa” (autonomii) w państwie, by w końcu wylądować w Solecznikach.

Dzień pełny wrażeń dopełnił nam Tadeusz Woźniak, który wraz ze swoim zespołem dał koncert już dnia poprzedniego. Tym razem było to wyjątkowo osobiste spotkanie z tym niezwykłym artystą. Wywiad z nim, inspirowany filmem *Pan Tadeusz* z 1928 r. w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego, do którego po latach muzykę stworzył pan Tadeusz... Woźniak, w moim odczuciu przekształcił się w spotkanie z prawdziwym, choć metaforycznym *Zegarmistrzem Światła*. Przychodzi on do nas niespodzianie, i to nie tylko by nas zabrać w nieskończoną podróż, ale się też uobecnia w chwili szczerości Mistrza, w artystycznym pobudzeniu, w kontakcie z tym drugim współodczuwającym (w tym wypadku z publicznością), niosąc ze sobą cały bagaż czasu minionego, jego dramatu, miłości i nadziei. Nasza rozmowa w Pałacu Wagnerów w Solecznikach nie ograniczała się do postkoncertowych interpretacji. Dotykała filozofii życia i sztuki, dotykała metafizyki. Może pod jej wpływem pozwoliłem sobie na przeczytanie, po przerwie, już w trakcie naszych codziennych popisów literackich, mojego, jak się okazuje, jednego z ważniejszych dla mnie utworów poetyckich pt. *Dzieciństwo*,

który niedawno odkopałem z zapomnienia, by złożyć go na jeden z wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich i dostać pierwszą nagrodę.

Wiele momentów mojego spotkania z Wilnem, podobnie jak to opisywane, działo się jednocześnie – w aktualnym, linearnym planie obiektywnych wydarzeń i w wewnętrznym planie duchowym. W tym pierwszym kroczyłem z wycieczką po Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego i konferencję w 440-lecie jego założenia, a w 100-lecie jego odrodzenia. Utrwaliła mi się też w pamięci nieco odmienna od pozostałych, impreza festiwalowa. Pod koniec naszego pobytu w gościnnym Wilnie, w trakcie degustacji potraw wileńskich w Polskiej Galerii Artystycznej „Znad Wili”, już w zupełnie luźnej atmosferze przeszliśmy do popisów poetycko-kabaretowych, często wokalnych, w czym wraz z poważnym z urzędu, dyrektorem Polskiego Instytutu Kultury, Pawłem Krupką, wziąłem udział, wykonując autoironiczną piosenkę *Gdybym był Ładyszem* i wyraziste, pikantne, poetyckie *Roznamięty*, którymi kiedyś jako autor-wykonawca cieszyłem razem z nieodżałowanym Wojciechem Siemionem uszy publiczności. W ostatnim dniu Festiwalu szczególnie ważne okazały się dla mnie, a myślę, że i dla innych uczestników „Maju nad Wilią”, rozmowy na tematy translatorskie w Pałacu Ogińskich, gdzie miałem okazję wraz z całą naszą grupą spotkać się z Birutą Jonuskaite, przewodniczącą Związku Pisarzy Litwy i z redaktorem Andriusem Konickisem – tłumaczami literatury polskiej.

Czasem w dziwny sposób przewartościowuje się nasze myślenie czy też reakcje na coś, o czym niby wiedzieliśmy, niby było oczywiste. Genius loci, przypadkowo napotkani ludzie, może przypadkowa okoliczność, powodują wypełnienie w naszej wyobraźni brakującego ogniwa, i nagle przychodzi olśnienie, nagle coś zaczynamy rozumieć albo ożywa w nas coś, co było zapomniane, uśpione, niezauważone. Coś podobnego przytrafiło mi się w Wilnie. Kiedy po raz pierwszy w szkole zetknąłem się z *Kordianem*, *Nieboską komedią*, *Panem Tadeuszem*, *Dziadami*, zwłaszcza ich trzecią częścią (drugą, będąc w dziesiątej klasie, jako reżyser i Guślarz wystawiłem w swoim mieszkaniu), byłem wtedy zapamiętałym romantykiem. Później „odromantycznił” mnie Gombrowicz, a pewnie i samo życie, nie takie proste i piękne, jak natchniony poemat. Kiedy staliśmy *pod celą Konrada* przy Klasztorze Bazylianów, mimo że przechwyciły ją sępy skomercjalizowanego świata i już nie mogliśmy osobiście dotknąć od wewnątrz murów, co broniły wyjścia zamkniętym w nich Filomatom, coś mi się jednak otworzyło w głowie i wzbudziły się jakieś odległe tony z mej

licealnej młodości, z czasów pierwszej, jakże niewinnej miłości. Poczułem jakbym zatoczył jakieś niewidoczne koło. Poznawałem Wilno i poznawałem siebie, trochę lepszego niż jestem, trochę zapomnianego. Ale znaczące były przede wszystkim spotkania z artystami, z pomnikami kultury, z tradycją polskości, z pejzażem, który znałem z literatury.

Jednak tylko spotkanie z Matką Bożą Ostrobramską, na które od wielu lat czekałem, podobne do cichej spowiedzi w myślach, wyzwoliło we mnie jakiś tajny głos w zakamarku duszy, poruszyło strunę, na której zagrałem. Wiersz tak powstały nosi tytuł w *Ostrej Bramie*:

Grzegorz Walczak

W Ostrej Bramie

Skrzyżowałaś ręce, jakbyś swoje Dziecię
chciała w nich jeszcze poczuć i podtrzymać,
ale Twoje oczy na krzyżu rozpięte
widzą na Golgocie przyszłą mękę Syna.

Długo do Ciebie szedłem, Matko, w Ostrej Bramie,
by się pokłonić Twojemu obliczu
i Cię poprosić, byś zechciała na mnie
spojrzeć i mi darować. Nawet dla grzeszników

otwarte są tutaj pobożne pokoje
i ścieżki, po których chadza Syn Twój dobrotliwy.
Może mu przypomnisz strofy Adamowe
i Psalmi Miłosza, by kraj nasz zwaśniony ożywić.

Niechby moja modlitwa, choć ja nie ze sławy,
popłynęła ku Tobie jakimś nurtem skromnym,
by to moje serce niby ptak struchlały
znów się odrodziło, bym był mniej bezbronny.

Małgorzata Piekarska
List na spotkanie autorskie
Marka Sołtysika
w Oddziale Warszawskim SPP



Dom Literatury w Warszawie, 3.09.2019. Od lewej: Piotr Wojciechowski, Marek Sołtysik

Drogi Marku, Szanowni Państwo,

Ponieważ nie mogę uczestniczyć w spotkaniu, gdyż dosłownie w tym momencie, w którym Państwo siedzą w Sali Domu Literatury, dojeżdżam do Krzemieńca na Ukrainie, gdzie przez najbliższe dni odbywać się będzie festiwal Dialog Dwoch Kultur, przesyłam tych kilka słów, które chcę skierować i do bohatera dzisiejszego spotkania, i do wszystkich Państwa.

Spotkanie z Markiem Sołtysikiem to niebываła okazja, by poobcować zarówno z nietuzinkowym człowiekiem, jak i twórczością, która łączy

różne dziedziny sztuki. Mamy bowiem do czynienia z piszącym malarzem lub jak wolą inni, z malującym pisarzem.

Marka poznałam ponad 30 lat temu na warsztatach literackich na kielecczyźnie. Był jednym z tych, którzy uczyli mnie pisać i pochylali się nad moją wczesną prozą. On też zamieścił w swoim czasie w „Życiu Literackim” mój wiersz. Rozumieją więc Państwo, że jest dla mnie twórcą ważnym z powodów osobistych. Ale nie tylko dlatego.

Zaciekawiona bowiem tym, co też tworzy ten, który mnie poucza i naucza, sięgnęłam potem po jego książki. Szybko okazało się, że to co nas łączy, to nie tylko słowo i literatura, ale i sztuka – choć Marek wybrał czynne jej uprawianie, jako malarz, a ja bierne jako historyk sztuki.

Jedną z pierwszych najważniejszych dla mnie jako czytelniczki książek Sołtysika, była powieść *Białe okno* poświęcona malarzowi Andrzejowi Grabowskiemu, który dziś jest niemal zapomniany. Czytałam ją w momencie, w którym połykałam jednym tchem biografie różnych malarzy, zachwycając się, że można o czymś życiu pisać tak jak Marek, w sposób tak niekonwencjonalny. Potem były inne jego książki. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie publikacja *Piękni szaleńcy*, w której autor opisał m.in. sprawę mojego powinowatego Eligiusza Niewiadomskiego – zabójcy Gabriela Narutowicza. Było to zupełnie inne spojrzenie na Niewiadomskiego. Mniej przez pryzmat polityki, a bardziej sztuki.

Przedostatnią książką Marka był *Klan Kossaków*, z której bohaterami zetknął się każdy Polak. Teraz mamy *Klan Matejków*. Do tej książki jeszcze wprawdzie nie zajrzałam, ale sięgnę na pewno, bo wiem, że nikt tak barwnie jak Marek Sołtysik nie opowiada o życiu malarzy. Zaś Matejko swoją twórczością tak wgryzł się w umysły Polaków, że czasem nie zdajemy sobie sprawy, że patrzymy na naszą historię jego oczami, święcie wierząc, że pierwsi Piastowie naprawdę mieli takie twarze jak w matejkowskim *Poczcie królów i książąt polskich*.

Dziś życząc i Markowi, i Państwu niezapomnianych wrażeń z wieczoru promującego wydaną przez Arkady książkę *Klan Matejków* pozdrawiam z podróży na Kresy.

3 września 2019

Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Krzysztof Piechowicz

„Tatuś”

słuchowisko poetyckie¹

(fragmenty)

Osoby

Recytatorka,
Halina (Poświatowska),
Sylvia (Plath),
Głos „Tatusia”.

Miejsce akcji: klatka schodowa w jednym z budynków uniwersyteckich
Smith College.

Czas akcji: wczesne październikowe popołudnie 1959 roku.

Wstęp

Głos „Tatusia”:

Motto: „Śmierć nadaje kształt miłości, jak nadaje go w życiu – przekształcając ją w los. Ta, która kochasz umarła, gdy ją kochałeś, i oto miłość utrwalona na zawsze – rozpadłaby się, gdyby nie ten koniec. Czym byłby więc świat bez śmierci, ciągiem form gasnących i rodzących się na nowo, udręczonych biegiem, światem niedającym się zamknąć. Ale na szczęście jest ona, ona, która jest stałością. I kochanek, który oplakuje zmarłą, ukochaną, Rene Paulinę, płacze łzami czystej radości – consummatum est – łzami człowieka, który uznaje wreszcie, że jego los zyskał formę”.

Albert Camus

¹ Wiersze Sylvii Plath w tłumaczeniu Krzysztofa Piechowicza.

Recytatorka:

Owce we mgle

Wzgórza wstępują w biel.
 Ludzie a może gwiazdy
 Nie kryjąc zawodu, ze smutkiem śledzą mnie.
 Pasemko pary po lokomotywie.
 Wolniej
 Koniowi maści rdzy,
 Kopyta, dzwonki pełne żalu – Ciemniejące rano
 Od samego zarania
 Niczym ścięty kwiat.
 W moim ciele cisza, na odległych łąkach Me serce topnieje.
 Wygrazają,
 Że do bezgwiezdnego powiodą mnie
 Nieba i do sierocego niczym w kipiel czarną.

Część pierwsza: LETA

Smith College, 24 października 1959 roku, wczesne popołudnie

*Klatka schodowa w jednym z budynków należących do Smith College w Northampton w stanie Nowej Anglii, USA. Halina z coraz większym wysiłkiem pokonuje kolejne stopnie schodów. Szybki, coraz szybszy, niespokojny, płytki oddech, którego poświsujące odgłosy mieszają się z dochodzącym przez otwarte okno agresywnym krzykiem ptaków. Tumult narasta, jakby za oknem rozgrywała się jakaś ptasia wojna, jakiś ornitologiczny dramat. Groźny furkot bijących o szyby skrzydeł staje się coraz bliższy. **Halina** z największym wysiłkiem pokonuje ostatni stopień półpiętra, gwałtownie otwiera na oścież półprzymknięte okno i opada bezwładnie na ustawioną w okiennym wykuszu ławeczkę. Spłoszony furkot ptasich skrzydeł miesza się z głośnym oddechem. Rozpacзлиwa arytmia głośno pulsującego serca.*

Halina: *(łapiąc z coraz większym trudem oddech)* Ja minę, ty miniesz, on minie... Nie, tylko nie teraz. Jeszcze nie teraz. Matko, jak boli! Mamo!

Na schodach słyszać czyjeś drobne kroki. Energiczny stukot obcasów staje się coraz bliższy. Do ławki podbiega Sylvia.

Sylvia: Co z tobą? Koleżanko? No, co ci jest? Co ty...

Halina: *(mamrocze)*

a ten szum wyżej

To wiatr

On tak będzie jeszcze wieczność wiał ... Mamo!

Sylvia: Niczego nie rozumiem. O co chodzi?

Halina: *(z trudem łapiąc oddech)* To nic... *(trzask otwieranej torebki)*. Potrzebuję wody. Tam... po prawej stronie... na korytarzu ...zdaje się, jest umywalka...

Sylvia: *(przerywa)* Wiem, wiem. Dziewczyno, przecież ty ledwo zipiesz. O mój Boże...

Halina: To nic. zaraz przejdzie. Tylko, gdyby tę wodę...

Sylvia: Zaraz ją będziesz miała. *(oddala się)*

Halina: *(do siebie, walcząc z torebką i własnym oddechem)* Żeby się tylko nie rozniosło. Całe stypendium wezmą diabli. Gdzie te cholerne tabletki? O nie! Wszystkie się porozsypywały! *(odgłos wysypujących się z torebki słoiczek, lecz również luźnych kartek. Ponowny stukot obcasów)*.

Sylvia: Nawet kubek się znalazł. Pij! Jakie ty masz wypieki! I ten oddech... Chyba mi tu nie zemdlejesz! Staraj się nie ruszać. Spróbuję znaleźć kogoś. Może siostra dyżurna...

Halina: Tylko żadnej siostry! Żadnego alarmu! Niech nikt tu nie przychodzi. I w ogóle, proszę dać mi spokój. *(Nerwowo łyka tabletki, popijając wodą)*.

Sylvia: Jak tam sobie chcesz. Ale w takim stanie samej cię tu nie zostawię.

(...)

Część czwarta: Okno

Halina: To niezwykle, znów ta symetria przeciwieństw. Jakbyśmy stały na szachownicy. Na wprost siebie: biała i czarna królowa. Twoje białe woale...

Sylvia: Pełne ciemnych plam krwi – nie zapomnij o nich...

Halina: I moja czarna woalka, też pełna pozasychanych, brunatnych grudek.

Sylvia: Czarna woalka? Chyba nie jesteś starsza ode mnie? Ja jestem z trzydziestego drugiego.

Halina: Ja się urodziłam w trzydziestym piątym.

Sylvia: To tak jak mój brat, o którym ci mówiłam, Warren.

Halina: Widzisz ten jasny ślad, tę bladą obrózkę na palcu?

*mój serdeczny palec lewej ręki ozdobiony raz pierścieniem owdowiały
jest teraz i pozbawiony swej ozdoby. Ten, który mi dał pierścione, już
dawno nie ma palców, jego ręce splotły się w jedno z korzeniami drzewa.*

Recytatorka:

Pieśń Marii

Niedzielny baranek skwierczy w tłuszczu.
Kłęby
Tłustego dymu w ofierze...
Okno w promieniach złota.
To ogień je tak uświęca,
Ten ogień
Co topił sadło heretyków, Żydów rozpraszał.
Płyną ciężkie całuny
Nad szramą Polski, pogorzeliskiem Niemiec.
Nie pierzchają.
Roje szarych ptaków krążą nad mym sercem,
Nad wargą spopielałą i okiem z popiołu.
Już osiadają. Kiedy
Znad głębokiej przepaści
On siebie ku niebiosom wyniósł,
Rusztą, jak zorza i gwiazdy, całe zapłonęły.
Sercem
To całopalenie, w którym się zanurzam.
O złote dziecię, świat zamorduje cię, pożre.

Sylvia: Ja, jak widzisz obrączkę noszę na prawej dłoni. Taki u nas zwyczaj.

Halina: Czyli wszystko odwrotnie... jak na szachownicy, jak w lustrze.

Sylvia: Rzeczywiście, jak w lustrze. Kłania się Calderon. Tylko wciąż nie wiemy, kto czym jest tu odbiciem. Kto tu księżniczką a kto połowicą

hodowcy książęcych róż. Kto jest czym zaprzeczeniem. Która z nas pozytywnem a która negatywnem tego filmu, który kręcimy niewidzialna kamerą...

Halina: W tej sprzecznej, samej w sobie, konstrukcji, to akurat jest najmniej istotne. Jesteśmy przecież osobne. Mimo wydzielanych toksyn, nic nas nie uzależnia od siebie. Na całe szczęście!

Sylvia: Czy aby na pewno?

Halina: Muszę się przecież bronić przed tobą. Ty jesteś otchłań!

Sylvia: Jesteś taka drobna i krucha. Ja z moim wzrostem mogłabym grać w damskiej lidze koszykówki.

Halina: Nie przesadzaj. Niczym się nie różnisz od tych wszystkich wspa-
niałych modelek z nogami do nieba.

Sylvia: Gdybyś ty wiedziała ile mnie trudu kosztowało i wyrzeczeń, ile łez upokorzenia, by wreszcie znaleźć kogoś takiego jak Ted. Prawie wszyscy, których przed nim spotykałam, byli niżsi ode mnie. A nasze randki mogły dochodzić do skutku tylko po zmroku, tylko w pozycji siedzącej, lub od razu – półleżącej, najlepiej w samochodzie, na nocnych seansach w auto kinie.

Halina: Kompleksy, moja droga. Do wyleczenia.

Sylvia: Wiesz, niektórzy z nich byli wspaniałymi, skądinąd, kochankami. Lecz nawet najczulsze uniesienia nie potrafiły zagłuszyć dręczącej mnie, jakiejś groteskowej, żalostnej śmieszności, jakiejś pogardy dla tych naszych spoconych i zaślinionych ust, rąk, nóg. Zawsze uważałam, by podkurczyć nogi, tak by stopy nie wystawały poza stopy partnera. Moi kochankowie denerwowali się i wszystko najczęściej kończyło się za wcześniej. Peszyłam ich.

Miałam opinię zimnej. Zresztą, powiem ci otwarcie, o czym wie tylko doktor Ruth Bensher.

Halina: A to kto znowu?

Sylvia: To moje guru, jeszcze ze studenckich lat, oprowadzające mnie po labiryntach mojej własnej głowy. Poznała mnie z nią moja matka, gdy kolejny raz włamałam się do jej apteczki. Początki, jak się domyślasz, nie były łatwe. Ale potem...

Recytatorka:

Zimowanie

Czas bezczynności i wytchnienia. Żonglując kleszczami połoźnej
Zebrałam miód
Sześć słoików,
Sześć kocich żrenic zimujących
W piwnicznych ciemnościach,
W sercu domu,
W rzędzie spleśniałych zapasów dżemu I połyskujących pustką butelek
po ginie – Własności poprzednich lokatorów.
W czymś takim jeszcze nie byłam.
W czymś takim nie sposób oddychać,
Wśród nawisów czerni, jakby to były stada nietoperzy.
Żadnego okna,
Płomyk kaganka dogasa
Kładąc chińskie, żółte smugi na przedmiotach
Przerażających w tej błazenadzie ciemności swym rozkładem, Swą
władzą Nade mną.
Nie są ani okrutne, ani łagodne,
Po prostu nic nie wiedzą. Dla pszczoł to czas spoczynku, Są nie
do poznania.
Takie powolne, gdy w karnym szeregu Przesuwają się w stronę puszek
z syropem
By odzyskać miód, którego ich pozbawiłam. Ich siłą napędową jest
firma Tate i Lyle, Producent rafinowanego śniegu.
Tate i Lyle, zamiast kwiatów, trzyma je przy życiu. Dają się zwabić.
Chłód coraz dotkliwszy,
A one zbijają się w kulę,
Są niczym czarny umysł,
Usiłujący sprostać całej tej bieli. Uśmiech śniegu swą bielą
Zagarnia przestrzeń, jest jak kilometrowa urna z miśnieńskiej
porcelany,
Do której letnią porą Zwożą swych zmarłych.
Wszystkie są kobietami –
Panny służące i ich nieprzejednana pani z królewskiego rodu.
Pozbyły się mężczyzn,

Tych tępych, nieforemnych gburów i prostaków.
 Zima to pora dla kobiet –
 Dla kobiety, co z robótką w rękę, bez ruchu
 Siedzi nad kołyską z hiszpańskiego orzecha,
 Skulona przed zimnem, jak cebulka i zbyt odrętwiała, by w ogóle
 myśleć.
 Czy rój przeżyje, czy gladiolom Starczy zapasów ognia, By zacząć
 kolejny rok?
 Czy pszczoły się rozsmakują w grudniowej róży? Oto wzlatują. Czują
 wiosny smak.

Krzysztof Piechowicz

NOTA OD AUTORA

Jesienią 1955 roku, już po ukończeniu studiów w Smith College w Massachusetts, **Sylvia Plath** wyjechała do Cambridge. Tam w lutym następnego roku po raz pierwszy spotkała się na przyjęciu z Tedem Hughesem.

Lato 1959 roku, już jako małżonkowie, spędzili na wędrownie po Ameryce, by 10 września osiąść w Yaddo – artystycznej kolonii w Saratoga Springs w stanie Nowy York, skądinąd całkiem blisko rodzinnego domu Sylwii, a także niedaleko Smith College. Pobyt w Yaddo, zdaniem Teda Hughesa, miał być czasem artystycznej transformacji Sylwii Plath. Pod koniec roku wrócili do Anglii, by zamieszkać w Londynie w dzielnicy Primrose Hill. Tam 1 kwietnia 1960 roku przyszła na świat ich córka, Frieda Rebecca. Primrose Hill było miejscem, gdzie dwa i pół roku później, mroźnego lutowego poranka 1963 roku znaleziono śmiertelnie zaczadzone gazem ciało poetki.

Halina Poświatowska spędziła w Ameryce trzy lata, od sierpnia 1958 do lipca 1961 roku. W tym czasie przeszła operację serca. Dnia 24 września 1959 roku, gdy małżonkowie Hughes krążyli po Ameryce, zmierzając w stronę Bostonu, poetka rozpoczęła stypendialne studia w Smith College. W jej *Notatniku amerykańskim* czytamy:

„Położone między łagodnymi wzgórzami Nowej Anglii, na granicy małego miasteczka Northampton, Smith College na pierwszy rzut oka przypomina sanatorium. Masywne budynki z ciemnoczerwonej cegły porośnięte dzikim winem przeświecają poprzez zieleń (...) Dobrze utrzymane

terenry szkolne przechodzą w półdziki zagajnik po drugiej stronie bagnistej rzeczki, która oddziela Smith od szpitala dla nerwowo chorych”.

Nie ma podstaw do przypuszczeń, by te dwie poetki, z których jedna za wszelką cenę chciała żyć, zaś druga bezgranicznie pokochała śmierć, jeszcze jedne z galerii „przeklętych”, miały się kiedykolwiek spotkać, choć ich drogi, kto wie, być może przecinały się owego upalnego lata i pięknej, słonecznej jesieni 1959 roku.

Nie spotkały się, a mogłyby – jeśli wolno nam uciec się do mowy tylko pozornie niezależnej od rzeczywistych splotów okoliczności, do ulubionej frazy jeszcze innej poetki, tej, którą fortuna obdarzyła znacznie hojniej niż jej przedwcześnie, tragicznie zmarłe koleżanki – jedną z Ameryki, drugą z Polski.

Nie mnożmy jednak bytów, które w ostatecznym rachunku mogą okazać się zbędne. Niech zadecyduje kapryśny oksymoron, ten, który i tak o wszystkim decyduje – tak zwany konieczny przypadek.

Wszystkie przywołane utwory Sylvii Plath są w tłumaczeniu autora sztuki.

Zdania zapisane kursywą (z wyjątkiem didaskaliów) są cytataми wypowiedzi obydwu poetek.

Krzysztof Piechowicz

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą¹

Przepraszam, że przeciągam tę rozmowę – nurtuje mnie jeszcze jedno pytanie, które dotyczy najdobitniej tego, co jest w tym życiu, na tej ziemi i w bieżącym czasie. To problem dobra i zła. Jak pogodzić absolutną dobroć Boga z istnieniem zła w historii i kosmosie?

Jest to stare pytanie. W twojej poezji występuje ten problem w sposób zarówno otwarty, jak i ściszony – zawsze w formie pytań.

Ten problem spędza sen z oczu największym teologom od wieków, więc cóż ja tu mądrego mogłem powiedzieć? Skoro jednak pytasz... No cóż, pamiętamy, co obiecywał wąż – szatan pierwszym rodzicom w Raju, nakłaniając ich do spożycia owocu z drzewa wiadomości dobra i zła – to, że będą równi Bogu. I wiadomo, co z tego dla nich wynikło. Wolałbym nie powtarzać ich zachowania i wiedzę o dobru i złu zostawić Bogu. Jednak faktycznie problem ten, tak jak go tu sformułowałeś, niepokoi wszystkich, którzy wierzą lub chcieliby uwierzyć w Boga będącego nieskończonym dobrem. Wierzący szukają usprawiedliwienia dla Boga, w którego wierzą. Uprawiają więc teodyceę. Inni zaś z powodu zła tego świata odrzucają wiarę w Boga, przynajmniej pojmowanego jako nieskończone dobro. Tym pozostaje manicheizm bądź ateizm lub łagodniejsza jego postać – agnostycyzm, będący praktycznym ateizmem. Problemu tego nie da się rozwiązać na gruncie czystego rozumu. Pozostaje wiara religijna lub niewiara. Z praktyczno-egzystencjalnego punktu widzenia lepsza jest wiara (por. słynny zakład Pascala), bo niewiara, choć teoretycznie równosilna z wiarą, prowadzi może ludzi, a może i całą ludzkość, do nihilizmu. Ten zaś nie jest stanem pożądanym, jeśli człowiek pragnie żyć z poczuciem wyższego sensu.

1 Szósta część tekstu stanowiącego rozdział książki pt. *Egzystencja, metafizyka i kultura w pisarstwie Kazimierza Świągockiego*, wydanej pod koniec 2018 r. Omawiany wiersz Autora pt. *Cień nad Europą (Wschód – Zachód)* jest tu publikowany w dziale „Poezja” na str. 105. Części 1-5 *Gnothi seauton* były kolejno drukowane w poprzednich numerach „Podglądu”.

Wnikając w szczegóły problemu zła w świecie, warto rozróżniać jego postaci i stopnie, bo rozjaśnia problem metafizycznej odpowiedzialności za nie Boga, człowieka, czy jakiejś jeszcze innej siły. Często można się spotkać z wątpliwościami dotyczącymi dobroci i miłości Boga roztaczanymi pod wpływem wielkich nieszczęść, jakie dzieją się w świecie, spowodowane przez samych ludzi lub przez kataklizmy przyrody, jak trzęsienia ziemi, tsunami itp. Ludzie pytają dramatycznie i rozpaczliwie, gdzie był Bóg, gdy miliony niewinnych szły na śmierć przygotowaną im przez ludzkich braci z premedytacją? Gdzie był Bóg, gdy tsunami pochłonęło niemal w jednej chwili tysiące osób? I w jednym i w drugim przypadku chodzi o cierpienie i śmierć. I to one, a nie Holocaust ani tsunami są metafizycznym skandalem. Trzeba odróżniać zło w sensie metafizycznym od zła moralnego z jednej i naturalnego z drugiej strony.

Tsunami i jemu podobne żywioły przynoszą śmierć i cierpienie, same będąc „niewinne”, bo pojawiają się nieświadomie i z jakiejś przyrodniczej naturalnej konieczności. Wojny, przemoc i wszelkie gwałty zadawane ludziom przez ludzi, to zło moralne. I w jednym i drugim przypadku chodzi o to samo – o zło. Bo złem jest cierpienie i śmierć, niezależnie od przyczyny. A Bóg przyzwala na jedno i na drugie. Ze złem moralnym próbuje mierzyć się każda teodycea, czyli religijno-teologiczna koncepcja usprawiedliwiająca Boga, a odpowiedzialnością obarczająca człowieka, odwołując się do jego wolnej woli (*liberum arbitrium*). Jednak zła naturalnego nie można w podobny sposób „usprawiedliwić”. Tak czy inaczej zło pozostaje złem. To jest pewnik. Świat – twór Boga – dotknięty jest złem. Dlaczego zło? To pytanie pozostaje bez uspokajającej nasze umysły odpowiedzi. Śmierć i cierpienie to korona zła, jego zwieńczenie, ale nie istota. A gdzie kryje się jego istota i gdzie znajdują się jego źródła i fundamenty? To jest właśnie pytanie metafizyczne, na które rozum ludzki nie znajduje odpowiedzi. I zło musimy uznać za wielką niezgłębioną tajemnicę. Tu otwiera się brama dla religii, która jest strażniczką tej tajemnicy. A dla poezji stanowić to może wielki, nigdy nie kończący się temat.

I twoja poezja tym problemem żywi się niemal od początku, ukazując go na różne sposoby w coraz to innych przebraniach językowo-obrazowych. Zawsze chodzi o to samo pytanie: dlaczego świat jest taki, jaki jest, skoro do pomyślenia jest znacznie lepszy, pozbawiony wszystkiego tego, co składa się na nędzę tego świata?

Mówiliśmy do tej pory o problemach metafizyczno-egzystencjalnych w twoich wierszach, bo niemal wszystkie one zawierają, w taki czy inny

sposób, tę właśnie problematykę dotyczącą egzystencji ludzkiej. Historią ani współczesnością w zasadzie nie zajmujesz się. Ale zauważyć można przynajmniej jeden wiersz, który stanowi pod tym względem wyjątek. Jest to *Cień nad Europą (Wschód – Zachód)*. Kończy on cykl utworów nawiązujących do archetypiki antycznej, szczególnie greckiej, która zresztą symbolizuje całość cywilizacyjną Europy. Niepokojący jest już sam tytuł przywołanego tu wiersza, w którym to tytule widnieje słowo „cień”.

Wiersz ten powstał istotnie pod wpływem bieżących wydarzeń politycznych, które na chwilę zabłyśły groźnym światłem, mogącym zalać cały świat. Światłem wojny. W roku 1969 doszło do konfrontacji militarnej między Chińską Republiką Ludową a Związkiem Radzieckim nad rzeką Ussuri. Konflikt między tymi olbrzymami robił wrażenie właśnie dlatego, że w grę wchodziła potęga jednej i drugiej strony, a nie rozmiary militarne konfliktu, który ograniczył się ostatecznie do kilku potyczek, by zgasać po dyplomatycznych zabiegach, zwłaszcza ze strony radzieckiej. Wieść o tym konflikcie rozpałała moją wyobraźnię. W wierszu nie ma bezpośrednich odniesień do niego, gdyż swoim zwyczajem konkretne wrażenie przeobraziłem w wypowiedź usymbolizowaną i dalece uogólnioną. Nie ma Chin, a jest Azja ze zdynamizowanym obrazem Himalajów i Tybetu; nie ma Chińczyków upominających się o zwrot swoich terytoriów, a są „miliony”, które z gniewem ruszają na Zachód do wylęknionej pięknej Europy, która w wierszu przybrała status bogini. Wreszcie jest aluzja ściśle historyczna: „byli tu głodni i dzicy, ich cienie koczują w ziemi”. To pogłos najazdów mongolskich w średniowieczu. Pod pojęciem Azji rozumie się tu nie wyrafinowane cywilizacje Chin czy Indii, lecz to, co kojarzy się Europejczykowi z barbarzyństwem mongolskim, a także z despotyzmem wschodnich azjatyckich monarchii. Ich przeciwieństwem jest cywilizacja Zachodu, cywilizacja wolności, symbolizowana tu obrazem geograficznej mapy: „A z boku Europa – córka słonecznej Hellady, / trwożna bogini wolności ze stopami w Morzu Śródziemnym / wsparta o szczyty alpejskie; włos jasny Gór Skandynawskich / ocean jej chłodzi północny”. Wiersz kończy się strofą w tonie żarliwej modlitwy o ocalenie nie tylko Europy, lecz i całego globu ziemskiego, a także o przemianę moralną całej ludzkości.

Dziś ten wiersz, jak mi się wydaje, nabrał szczególnej aktualności, a to w związku z naporem islamskiej cywilizacji na naszą europejską, którą trudno już nazwać chrześcijańską, ale dla historycznego porządku tak ją nazywajmy. Nadciąga bez wątpienia śmierć tej cywilizacji, która na agresję i nienawiść mieszane z pogardą do niej islamistów odpowiada otwartością,

tolerancją i bezkrytycznie pojmowaną wolnością. Słowem, sama zaprasza swego wroga do jej likwidacji. To smutne. Europa wypiera się sama siebie, własne świątynie oddaje muzułmanom na meczety lub kupcom na domy interesów, gdyż duch chrześcijaństwa został z nich wypędzony wcześniej i zastąpiony duchem permanentnej błazeńskiej zabawy. Świątynie czynne, pełne powagi wiernych urągałyby beztroskim ucztom zmateralizowanego i skomercjalizowanego społeczeństwa. Cóż nam o tym wszystkim powiedzieć? Giń Europo, jeśli taka jest twoja wola!

Pisząc swój wiersz, widziałem cień nad Europą, ale nie aż tak głęboki i ciemny jak ten, który ją teraz okrywa. Myślałem, że to Daleki Wschód nas zaatakuję, zajmąwszy wcześniej Rosję. Nie myślałem o Bliskim Wschodzie i Afryce. Historia uczy nas, że wojny wygrywają ci, którzy stosują w nich nowe rodzaje broni, nieznane przeciwnikowi. Któż mógł przypuszczać, że można podbić Europę nie armią wojska, lecz armią bezbronných biedaków, którzy gotowi są z nienawiści do niej oddawać niemal masowo swoje życie, w przekonaniu, że w zamian za nie, tu na ziemi otrzymają powiększone do wieczności w mahometańskim niebie. Profesor Bogusław Wolniewicz, człowiek niepospolitego intelektu połączonego z trzeźwym na świat spojrzeniem, powiedział, że przyszłość Europy to najpierw islam, a następnie Chiny. Może więc jakiś duch dziejów podsunął mi podobną intuicję, którą wprowadziłem do wiersza *Cień nad Europą*. Tyle że pominąłem w nim Bliski Wschód. Ale on przecież ma być tylko ogniwnem pośrednim zagłady Europy jako cywilizacji. Ostatecznym mają być jednak Chiny.

Mówisz: Chiny. A może w tej prastarej cywilizacji jest jakaś ukryta siła, mająca zdolność ocalenia naszej zużytej już niemal doszczętnie cywilizacji Zachodu?

Może... Podobno chrześcijaństwo najbujniej rozwija się właśnie w Chinach wbrew wrogim mu komunistycznym władzom. Jeśli doszłoby tam do pewnej równowagi między starymi religiami i filozofiami, jak buddyzm, taoizm i konfucjanizm a chrześcijaństwem i nastałaby epoka pokojowego współistnienia, to kto wie, czy ocalenia naszej nihilizmem przeżartej cywilizacji nie należałoby wyglądać właśnie stamtąd. Ale póki co, to świat trwa w tragicznym kręgu wzajemnie napędzającej się nienawiści, z której wyrwać nas może chyba tylko jakaś totalna śmierć kosmiczna. Albo śmierć jako brama do wieczności, gdzie panuje większa nad wszelkie zło miłość. Zobaczymy. Apokalipsa jeszcze jest przed nami.

Na zakończenie tej medytacyjnej rozmowy przytoczmy wiersz z 1967 roku, mówiący o zaklętym kole nienawiści, w które wplątana jest ludzkość

w swojej historii od jej początku, czyli od Kaina i Abła. Oby to koło stało się zbawczą spiralą! I nie pozwoliło nam utonąć na zawsze w wielkiej rzece nienawiści:

Nienawiść

Stoimy nad wielką rzeką,
ty z tamtej strony, ja z tej,
z wymierzonymi na siebie strzałami.

Za nami pustynia, morze
nad nami dzień, noc.

Nie odwrócę się, bo mnie zabijesz,
nie odwrócisz się, bo cię zabiję.
I trwamy tak od tysiącleci
W nienawiści jak w miłosnym uścisku
nad wielką rzeką, która nas porywa.

Nie kończmy naszych medytacji takim dramatycznym akordem. Zastanówmy się raczej nad tym, co przez wieki stanowiło istotę sztuki – nad pięknem. A zatem stawiam pytanie wyjęte z Norwidowego Promethidiona: „Cóż wiesz o pięknie?”. Chodzi mi w tej chwili o to, gdzie szukać granicy piękna, jak wysoko może się ono wznosić? I czy w ogóle jest dla niego jakaś granica?

Kiedy słucham wielkiej, pięknej i najpiękniejszej muzyki, nasuwa mi się niekiedy myśl, że przecież mogłaby ona być jeszcze piękniejsza, a od tej piękniejszej jeszcze piękniejsza itd. Czy w nieskończoność? Bo myśląc w ten sposób, stajemy przed ostatecznością, jaką wydaje się być nieskończoność właśnie. Myśl taka jednak wtrąca nas w wątpliwości co do naszych zasadniczych ludzkich możliwości. Bo wszelkie piękno, które pochodzi od człowieka, rodzi się w określony sposób. Określony, czyli mający swoje granice. Te zaś wyznacza fizyczny charakter narzędzi, wszelkich instrumentów, którymi posługuje się człowiek-artysta i ogólniej człowiek-wytwórca, bo przecież sztuka, działanie artystyczne jest tylko szczególnym przypadkiem ludzkiej aktywności twórczej jako takiej. Piękno jest domeną sztuki. Sztuka jest dziełem człowieka. I o tyle, o ile jest ona jego dziełem, zamyka się w granicach jego ontycznych możliwości. Te zaś są, rzecz jasna,

ograniczone. Więc i piękno, które powstaje w czysto ludzkich warunkach ma swoje granice. I my to czujemy, z prawdziwym niekiedy żalem.

A czy możliwe jest mimo wszystko piękno nieskończone?

Możliwe jest na pewno. Ale czy realne? – Tego z całą pewnością nikt wiedzieć nie może, póki życie nasze jest w istotny, jeśli nie zasadniczy sposób fizycznie uwarunkowane. A o tym, co z nim się stanie dalej, gdy opuści fizyczne więzy krępujące jego aspiracje do wieczności, nikt z nas rozumem pojąć nie może. Pozostaje tylko wiara, która jednak, aby się pojawiła, to najpierw musi na człowieka spłynąć łaska z Wysokości – łaska wiary. Ale i bez tej specyficznej pewności, jaką daje wiara religijna, można samym tylko rozumem wspartym metafizyczną wyobraźnią snuć refleksję nad pięknem nieskończonym. A że jest możliwe, to wynika już z samego faktu, że przychodzi nam ono na myśl np. wtedy, gdy słuchamy najpiękniejszej muzyki i nie czujemy się jej pięknem w sposób doskonały, skończony usatysfakcjonowani, bo chcielibyśmy, aby stało się jeszcze piękniejsze, aż do możliwości całkowitego zatracenia się w nim – w słuchaniu, gdy jest muzyczne, a w oglądaniu, gdy wizualne – nie tylko więc będące dziełem rąk i wyobraźni człowieka, ale i jako piękno całego boskiego kosmosu. Bo jest on najpiękniejszy z tego, co człowiek może oglądać zmysłami i osnuwać swoją myślą.

Więc piękno nieskończone jest możliwe. O takim mówi Platon w swoim arcydialogu *Uczta*, o „pięknie samym w sobie, nieskalanym, czystym, wolnym od obcych pierwiastków”; o pięknie „nadświatowym, wiecznym, jedynym, niezmiennym” – o pięknie więc nieskończonym.

Ale, aby takiego piękna doświadczyć, jeśli ono rzeczywiście istnieje i czeka na nas, trzeba by przekroczyć to, co ludzkie i ziemskie i wejść w dziedzinę nadprzyrodzonego, nadświatowego. Dopiero bowiem ta dziedzina ma udział w pięknie nie mającym granic, w pięknie nieskończonym. Ja staram się wierzyć, że takie jest piękno Nicości, z której się wyłoniłem i do której powrócę – gdy więc opuszczę czas i przestrzeń, gdy zamieszkać w Nieskończoności, a Nicość będzie mi śpiewała pieśń Wiecznego Istnienia. Będzie ona piękna tym pięknem, o którym Norwid mówił, że jest „Kształtem Miłości”. Bo prawdziwe istnienie jest czystą Miłością.

Kazimierz Świądecki

Jerzy Binkowski

Z przepaści niebytu¹

Księżna Elżbieta z Lubomirskich Stadnicka uśmiecha się w kolorze sepii z fotografii umieszczonej na okładce fascynującej książki *Na krawędzi epok 1922-2017*.

W 2016 roku pisała do swoich dzieci, wnuków i prawnuków:

Ta cała praca, żeby opisać życie, to mój ostatni prezent dla Was. Nie jest to historia ani powieść czy poezja – tylko ukazanie jednej z ludzkich ścieżek wiodącej poprzez bardzo trudny okres, kiedy „waliły się epoki (...) Moim największym pragnieniem jest podzielić się z Wami tym, co mi dało szczęście i radość z życia. To jest moje spotkanie z Bogiem; Jego dotknięcia, Jego pomoc i ratunek, Jego przebaczenie (...) My nie możemy uwierzyć, że Bóg jest między nami i nas dotyka. Uwierzmy! Ale to jest moja ścieżka, moja ścieżka do Boga, w którego zawsze wierzyłam, pozostając zwykłym grzesznikiem, niezwykle przez Niego obdarowanym łaską (...)

II wojna światowa zmiotła w przepaść niebytu magnaterię polską, ich pałace, dwory i całą kulturę, której fundamentem była tradycyjna religijność, honor, odpowiedzialność, wykształcenie, pracowitość. Buta i nienawiść Niemców pod wodzą Hitlera oraz mściwe barbarzyństwo wojsk sowieckich pod wodztwem Stalina uczyniły z naszej ziemi nieszczęśny cmentarz.

„Wielkie rodziny wspomagały uboższe rodziny od wieków” – przypomina autorka rodzinne zawołanie. Pałace magnatów zawsze stanowiły centrum życia dla całej okolicy, dla ludzi niższych



1 Elżbieta Lubomirska-Stadnicka, *Na krawędzi epok*, Rosikon Press, Warszawa 2019, ss.352.

stanów. Kilkadzieciąt osób z okolicznych wsi znajdowało zatrudnienie w rodzinnym majątku Lubomirskich w Kruszyń. Dzieciom organizowano tu szkołę i ochronki. Opiekę lekarską, wsparcie w sytuacjach trudnych losowo, pomoc w kształceniu dzieci utalentowanych (np. muzycznie) – można było znaleźć w pałacu. Tam też otrzymywano godziwe wynagrodzenie za dobrą pracę, życzliwość i szacunek.

Pewnego dnia kłóciłam się z moją nianią Lalą i jako ostatniego argumentu użyłam tupnięcia nogą popartego słowami: „Czy ty wiesz, do kogo mówisz? Mówisz do księżniczki Elżbiety Lubomirskiej”. Wtem ktoś wziął mnie za ubranie i podniósł do góry, a następnie dał mocnego klapsa w pupę i powiedział: „Co ty sobie myślisz, dlatego że masz tytuł, to nie musisz być grzeczna? Ty dopiero na ten tytuł musisz zapracować, być kimś, a nie taką nieposłuszną dziewczynką” – powiedział dziadek, Józef Broel-Plater.

Wiele lat później, mieszkając we Francji, autorka wspomnień powołała się na słowa zapisane przez matkę o dziadku Józefie:

Był niesłychanie dobrym człowiekiem, szlachetnym, miłosiernym, bardzo tościwym, życzliwym każdemu. Nadzorował całą administrację. Prowadził też wspaniałą hutę i fabrykę, pomogła mu w tym górniczo-metalurgiczna praktyka, jaką odbył w Niemczech.

Kiedy czytam kolejne wspomnienie z dziadkiem w roli głównej, uśmiecham się do tak dziecięco sformułowanej różnicy między Kobietą i Mężczyzną. Otóż modlitwy w pałacowej kaplicy, które zapamiętała autorka jako dziecko, miały swoje indywidualne brzmienia. Babcia zaczynała pacierz, z tym, że w *Ojcie nasz* kładła nacisk na ...*bądź wola Twoja...*, a dziadzio grzmiał: ...*i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy (...)*

Sprawdzianem siły duchowej płynącej z zasad wpojonych w katolickiej rodzinie, stała się kolejna brutalna wojna. Dla bohaterów wspomnień był to czas zbrodni, grabieży, gehenny, ale nie rozpaczy.

Dwory i dobrze zarządzane gospodarstwa magnackie dla okupantów niemieckich miały wartość nieocenioną. Były one miejscem produkcji żywności potrzebnej dla armii, dlatego stawały się miejscem objętym swą ochroną. Jednocześnie dzięki odwadze i poczuciu odpowiedzialności za Polskę patriotów z rodów magnackich, ich dwory stały się zapleczem żywnościowym, medycznym, radiolokacyjnym i finansowym Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Ziemianie polscy zawiązali swego rodzaju

bank (Rada Główna Opiekuńcza), wspierający partyzantów i najbardziej potrzebujących mieszkańców okolicznych miasteczek i miast. Dwory (i zakamarki w tych dworach), stały się także miejscem przechowywania rannych i chorujących oficerów i żołnierzy, a niekiedy magazynami broni dla partyzantów.

Przyszły mąż księżniczki Elżbiety Lubomirskiej, hrabia Józef Edward Adam Stadnicki (1919-1960) z dworu w Nawojowej na ziemi sądeckiej, był od 1941 roku komendantem placówki ZWZ-AK. Odważny, ofiarny ryzykant, który swoje życie podporządkował walce o wolność. Wśród dramatu wojny, zagrożeń codziennych niemal akcji dywersyjnych, Elżbieta zakochała się w Józefie Stadnickim. „Józio” był pięknym i inteligentnym mężczyzną, nie mógł jednak poruszać się na własnych nogach (po przebyciu choroby Heinego i Medina). Elżbieta przekonała zarówno swoją matkę jak i jego rodziców, że ich małżeństwo ma sens, ma przyszłość. Rodzaj „bojowego” narzeczeństwa w partyzantce związał te osoby na śmierć i życie.

Po trzech latach partyzanckiej batalii, szczęśliwie omijając śmiertelne pułapki oraz wiedząc, że wojna się kończy, narzeczeni zawarli związek małżeński w kościele w majątku Sobańskich pod Gorlicami, w październiku 1944 roku. Zamieszkali w Krynicy nieopodal Nowego Sącza. Urodziło im się pięcioro dzieci. Ofiarność, determinacja, odpowiedzialność za rodzinę – czyli prawdziwa miłość, pozwoliły im przetrwać upokorzenia i szykan, jakich nie oszczędzono im w komunistycznej Polsce. Paulini z Częstochowy wspierali rodzinę. (W klasztorze jasnogórskim Elżbieta zdawała w czasie wojny egzamin maturalny w ramach tajnego nauczania). Choroby dzieci wymusiły na ojcu rodziny poszukiwanie pomocy w Warszawie. Wracając na motorze do domu, Józef Stadnicki uległ śmiertelnemu wypadkowi. Był rok 1960.

Ostatnia część tej autobiografii (*We Francji*), warta jest szczególnie uważnej lektury, gdyż zwieńcza życie niezwyklej kobiety, damy, matki, która ratując dzieci, podjęła szokującą decyzję. Pod wpływem sugestii bliskich osób, weszła w związek małżeński z Francuzem poznanym podczas kolejnych Targów Poznańskich. Decyzja ta umożliwiła zorganizowanie pomocy medycznej chorym dzieciom. Po wielu wysiłkach prawnych (formalnych) otrzymała od władz „nowej” Polski, zgodę na wyjazd do Francji. Długo trwały zabiegi prowadzące do uzyskania obywatelstwa francuskiego. Mąż nie pomagał jej w tych staraniach. Okazała się, że mąż jest osobą chorą, alkoholiczkiem. Elżbieta nie opuściła poślubionego człowieka. Opiekowała się nim przez kilkanaście lat. Do jego śmierci. Elżbieta podejmowała się przeróżnych prac. W ostatnich latach swego życia stała się opiekunką

bezdolnych. Nigdy nie zostawiała bez pomocy spotkanego człowieka, który potrzebował czegoś, czy była to rozmowa, ciepła zupa, pomoc medyczna, nocleg. Gdy czytałem, w mojej głowie pojawiało się pytanie – czy to jest norma czy już jest świętość.

Fascynujące są te fragmenty, w których wspomina swoją zaangażowanie na rzecz Polski i Polaków okresu Solidarności. Ze szczególnym poczuciem humoru i prawdziwej radości opowiada o transportach żywności, o przewożeniu mikrofilmów, o przewożeniu radiostacji lub pół ciężarówki potrzebnej ludziom Solidarności.

Czytamy o istotnych różnicach w mentalności Polaków i Francuzów oraz o odmiennych stylach religijności (katecheza, obrzędy, rytuały, zwyczaje).

We Francji dorastały i zdobyły wykształcenie zarówno dzieci Józefa i Elżbiety, jak i później wnuczeta.

Książkę kończy modlitwa 95-letniej Matki-Polki:

*Trójco Święta, mogę odetchnąć pięknem Twojego Stworzenia:
Od fiołków schowanych w trawie na wiosnę aż do wierzchołków wielkich
gór pokrytych śniegiem.
To Ty mi pozwalasz podziwiać dary Twojej miłości w osobach świętych
i w moim przyjacielu bezdomnym,
I w moim przyjacielu narkomanie, i w moim przyjacielu alkoholiku,
i w moim przyjacielu w więzieniu.
Gdziekolwiek zwrócę oczy, widzę, jak Ty przez to wszystko przeświecasz.
Pewnego dnia, kiedy oplakiwałam swoje grzechy, Ty pozwoliłeś mi zo-
baczyć
To potężne drzewo wiary, które wyrosło we mnie z korzeniami.
Wyrosło całkiem samo – pomimo mnie i mojej małości.
To jest powodem mojej radości stalej.
Bo kto może mi zabrać to wielkie drzewo,
Do którego gałęzi tulę się bez lęku
Razem z innymi małymi ptaszkami?
Wszyscy są zaproszeni przez Ciebie*

*

„Film”, który przetoczył się przed moimi oczyma podczas lektury tej książki, wzruszał. Ale nie było to rozczulanie się nad losem Lubomirskich i Stadnickich. To był podziw i szacunek wobec osoby żyjącej głębią zasad religijnych otrzymanych w dzieciństwie: stać się takim człowiekiem, jakim chce nas widzieć sam Bóg. Porządek myślenia i działania zadziwia. Jak to się stało, że utraciwszy wszystko, w czym wzrastała, zachowała Elżbieta radość życia i nieracjonalną z ludzkiego punktu widzenia wdzięczność Bogu za życie. Wytrwale rozpoznawała, co naprawdę stanowi o godności człowieka, co jest najważniejsze. Żaden człowiek nie ma wrodzonej skłonności do życia w prostocie.

*Żaden człowiek nie ma ścieżek gotowych
Rodzimy się jak gąszcz,
który może zapłonąć podobnie jak krzak Mojżesza
lub może uschnąć.
Ścieżki trzeba przecierać wciąż, bo mogą zarosnąć na nowo,
przecierać je trzeba tak długo, aż staną się proste
prostotą i dojrzałością wszystkich chwil:
oto każda chwila się otwiera całym czasem,
staje jakby cała ponad sobą,
znajdujesz w niej ziarno wieczności (Karol Wojtyła)*

Bohaterka opowiadań, dla których wybrano tytuł *Na krawędzi epok*, stała się człowiekiem pełnym poświęcenia. Elżbieta z Lubomirskich-Stadnicka niosła przez życie swoje szlachetne dziedzictwo miłości.



Wierzę, że przetarcie szlaku, pośród ogromu faktów i przeżyć księżnej Elżbiety Lubomirskiej-Stadnickiej, stanie się zachętą do uważnego przeczytania książki. Wydawca wydobywa z przepaści zapomnienia i niebytu historię bohaterskiego, patriotycznego i niekiedy świętego życia osób z rodów szlacheckich Lubomirskich i Stadnickich. Walorem nie do przecenienia jest umieszczenie w książce profesjonalnie opracowanych fotografii rodzinnych, fotografii ich siedzib, ukochanych zwierząt. Wszystko, co literackie – zachwyca. Język autorki można porównać do rzeczowej relacji z pola bitwy o sens dramatycznych losów. Wynik prac redakcyjnych

całego zespołu jest imponujący, poczynwszy od rzetelnie odtworzonych i zapisanych przez Panią Agnieszkę Przychodnią opowiadań, po plastyczne opracowanie edycji. Jest indeks nazwisk, syntetyczne *curriculum vitae*, są starannie wykonane fotokopie ważnych dokumentów i genealogie obu magnackich, książęcych rodów.

Dostrzegam szlachetną wierność osobom, których ideały i zasady, oraz dorobek kulturalny i moralny eliminowano ze świadomości historycznej współczesnych „powojennych” Polaków.

Jerzy Binkowski

Paweł Dunin-Wąsowicz

Sadyba Grochowiaka¹

Przybysz z wielkopolskiego Leszna zamieszkał na Sadybie w 1958 roku i spędził tam większość swego dorosłego życia. Czołowy przedstawiciel turpizmu – czyli kierunku w literaturze epatującego brzydotą, kalectwem, chorobą i śmiercią – swoje warszawskie otoczenie Stanisław Grochowiak wprowadził do własnej poezji dopiero po dziesięciu latach. Okazał się jednak najwybitniejszym pisarzem, jaki na Sadybie żywił swą twórczość jej realiami. Główny lokator lokalu na poddaszu pod numerem Morszyńskiej 3/7 mieszkał w jedynym przedwojennym bloku osady składającej się poza nim z samych willi urzędniczej kolonii Miasto-Ogród Czerniaków (powstającej od 1921 r.) oraz oficerskiej spółdzielni „Sadyba” wokół dawnego carskiego fortu IX Twierdzy Warszawa (od 1923 r., ona to wybudowała blok, w którym mieszkał Grochowiak).

Z Sadybą w poezji Grochowiaka zaczęło się od wiersza *Nowela (I)* z tomu *Nie było lata* [1969]. Impulsem był wypadek sąsiadki – Maria Branicka, wdowa po generale, wpadła pod wąskotorową kolejkę wilanowską, której tory okręzały jeszcze fosę fortu (popadła po wypadku w depresję, zmarła w 1974 r.). Poeta mylnie przypisał nieszczęście innemu środkowi transportu:

„Kiedy generałowej Branickiej tramwaj odciął stopę,

Jej ogródek pośrodku podwórza zesechł i zmizerniał.
Siatka, która osłaniała ten skrawek, jak kwef ochrania wdowę,
Stała się szmatą z drutu, lodyg i rupieci,
Na drewnianym stole szcerniał ślad po kartach,
Na żwirowanej ścieżce rozciekła się mysz.

A przedtem – jak pomnę – szlachetna Branicka,

¹ Z *Mokotowskiego przewodnika literackiego*, który ukaże się w tym roku nakładem Fundacji „Hereditas” dzięki wsparciu Urzędu m.st. Warszawy. Wcześniej autor opublikował literackie przewodniki po Żoliborzu (2017) i warszawskiej Pradze (2018).

W sukni sprzed wieków, w srebrnym hełmie włosów,
 Wnosiła tu z piętra kruche filiżanki,
 Dzbanuszki ze srebra, ciastka z margaryny,
 I w pozie przejętej z portretu Marii Ludwiki
 Oczekiwała trzech swoich Staruszek.

Miała je trzy – nieodmienne – wyszperane

Ze sklepów Desy, ze Szkoły Tańca, z Pensjonatu:
 Nakryte wielkimi czarnymi kapeluszami jak rzeką,
 Opięte w gorsety, w których trzeszczały szprychy parasoli.
 (...)
 Spoglądam na gruzy ogródka pośród podwórza,

Rozmyślam o stopie osobnej, kobiecej,
 Wiatr biorę na piersi,
 Trochę dżdżu na twarz.
 Nadeszła jesień. Pora palić w piecu”.

Wiele wskazuje na to, że i *Nowela IV (Poranek Wariatowej)* z tomu *Polowanie na cietrzewie* [1972] inspirowana jest Sadybą. Opowiada o kobiecie robiącej zakupy dla tego, za którym „poszła w obłęd”, zakupy w „sklepiku otoczonym rycerstwem w pióropuszcach piwa”:

„Przez ulicę idzie się na wspak:

Piekarz i Rzeźnik owinięci girlandami koleje,
 Więc na o dopuszczenie prosi.

Przez ulicę idzie się wzwyż:
 U szczytu jest kiosk, gazety, sport, zbrodnia i filharmonie,
 Więc ona o w s z y s t k o p r o s i (...)

Jakże ją objuczył ten obłęd – ten czekający
 W mężczyźni z trzeciego piętra krępy strażnik grobu,
 Jakże ją wsysa.
 Walerianą pachnąca sień.
 Jakże zapraszająco wypełniają z mroku blade ramiona

Pokryte włosiem i kropelkami potu (...)”

Najwięcej wierszy związanych z miejscem zamieszkania znalazło się w tomie *Bilard* [1975]. Przede wszystkim utwór zatytułowany wprost *Sadyba*:

„Mam jeszcze azyl. Bielona mansarda
Wśród drzew rzucona – jak skorupa pośród
Łąki fabrycznej. Tym wzgardzeniem harda.
Bo ile środków ma byle mimośród?

Środek zachwyty w ptaków śpiewnej gęstwie,
Gdy gawron kona – słowik gna intruzów...
Środek na pszczoły w kramarskim przekleństwie
Przy kopcach papryk i turniach arbuzów...

Środek zdziwienia, kiedy drobna łyska
Jak rzęsołamacz mknie po starej fosie...
Środek zamętu, kiedy piorun łyska
W niebo się wnosząc na drzew wniebogłosie...

A w środku nocy – od niedzieli do śród –
Gdy na warzywa ożywia się popyt,
W mojej mansardy tajemny mimośród
Sący się blade echo końskich kopyt.

Koń wlecze wozy, czyli też furmanki
Werblem klekotu dobosząc koniom.
Bagiennym światłem kolebią kaganki,
Chłopskie kozuchy – rzeżuchową wonią.

«Zwierzęta idą» – mówią drżące słoje.
W dębowych deskach starej biblioteki.
«Zwierzęta idą» – wtórują podwoje
Izdebek sennych jak chłopca powieki.

Jeszcze – czy długo – chłonać ten wstydlivy
Tupot będziemy? Przecież nakazano,

Aby tam – w środku – nie wadziły grzywy,
Ani broczyło obrokowe siano.

I nas dopadną. I tutaj położą
Kres tym pobudkom dziecięcej pamięci,
Ślady na stęgnach obłożą rogożą
Smolnych asfaltów. A z tym wszystkim – Święci.

Więc dobrze słuchaj, mój już bliski wnuku!
Miałem ja noce, co starczyły za msze,
Kiedy słuchałem końskich kopyt stuku,
Tak baśniowego, jak ich nozdrzy zamsze”.

Wiersz *Ciesielska* poświęcony jest babie dowożącej Grochowiakowi cielęcinę ze wsi – po drodze autobus, którym jechała miał wypadek, straciła pamięć a mięso rozkradziono.

O ile w *Sadybie* Grochowiak oddaje jeszcze klimat przedmiejski, inne wprowadzają już motywy nadchodzącej brutalnej urbanizacji. W wierszu *Chciał matkę zabić młotkiem, buldożer go zeżarł* opowiada o pijaku co wygrażał tymże narzędziem matce, ale podpity wpadł pod przejeżdżającą maszynę, co stało się pretekstem dla twórczej działalności artysty z sąsiedniej osady:

„Zdefraudowany na umyśle malarz z Augustówki
Pozbierał wszystkie gazety, którymi zwłoki obklejono
I zrobił turpistyczny collage (...)”

Najbardziej widać to w wierszu *Dla budki z piwem requiem* –

„...Że się pewien browarny w trumienkowe dyby
Wtroczył, a by czas lipca, kiedy nawet pije
Jedyny Abstynent z pobliskiej Sadyby –
Budce z Piwem sprawiono doszczętne Requiem (...)”

Grochowiak w fantasmagorycznej wizji wylicza lokalne osoby uczestniczące w kondukcje:

„I trepakiem by nazwać ono nóg ślanianie,
 Którym w «Marszu Żałobnym» chełpił się Ujejski,
 Przy krokach boleściwych, kiedy Sadybianie
 Szli żegnać swój ostatni Akropol podmiejski.
 Pieszczoch z okiem Zagłoby, lecz bez jego blagi
 Przyznający żonie celność w zajzajerze,
 Hela Noga w brokatch monarszej powagi,
 Lolo – pierwszy raz z dykcją – klepiący pacierze.
 Trzeba było rozgarnąć te spuszczone rzęsy
 Paniusz z Klubów Rabatek, Mentorów z rozporkiem
 Wiecznie rozkitwaszonym przez narad bezsensy,
 Jak dźwignąć ludu poziom blokowym wieczorkiem.
 A tu Ofelia płaczu rozpuszczała loki

I powietrze, co wzdęło szczawiową spódnicę,
 Niosło ją – topielicę – przez te ręce bloki
 Z żywej dusz arterii gdzieś na obwodnicę.
 Cud był przy Bonifratrach. (Już zżuły ten placyk
 Memłace trawożery). Coś klaska w motorze,
 Karawianiarz błąd maca, a tu Bonifacy
 Mumijką śniadą staje w śmiertelnej pokorze
 I kondukt sam prowadzi. Jako się przeorał
 Przez szybkę pod ołtarzem, grzeczny tłum nie pyta.
 Korona z glanspapieru, szczerbaty pastorał,
 I świtką przewinięty jak byle najmita –
 Jeden z naszych. Że Sykstus go jak piernik dawał
 Polskiemu magnatowi: «masz gnat, mój magnacie! »,
 Znak, że owego Czerwia Czerniakowa kawał;
 Co cały się roztrwoniał w asfaltów poświacie.
 Katolicki więc pogrzeb. Chociaż w ateuszcy
 Sadyba dość obfita, gnać Relikwię trudno.
 Zwłaszcza kiedy popatrzeć, jak takiego suszy.
 Wspólnym frontem kopsnęli «Pod trupka» na Bródno”.

I tak Hela Noga była analfabetką mieszkającą w tym samym budynku co Grochowiak, wysyłaną ponoć przez zamożniejszych lokatorów na zakupy. Ożywająca mumijka zaś to relikwia św. Bonifacego znajdująca się w zbudowanym przez Tylmana z Gameren pod koniec XVII w. kościele

przy klasztorze bernardynów pod wezwaniem św. Antoniego z Padwy. Św. Bonifacy jest zaś patronem tamtejszej parafii w ówczesnej wsi Czerniaków. Placyk przed kościołem pojawia się też w *Prozie na dzień świętego Medarda* – Grochowiak zawarł w niej zaś pragnienie zmycia z siebie jadownej głupoty pewnego intelektualnego kurdupla architekta. Podmiot liryczny wychodzi przez Powsińską, placyk Bonifratrów prosto na Russel Street do księgarni pana Tomasza Davies, gdzie czeka nań Samuel Johnson.

Wnuk, o którego rychłym przyjściu na świat 41-letni poeta wspominał w *Sadybie* okazał się wnuczką Kingą – urodziła ją w marcu 1976 r. 18-letnia córka Gosia. On sam od 1975 r. roku dysponował także „pracownią” – kawalerką przy Czerniakowskiej 56 m 47 przyznaną mu przez ministra kultury Tejchmę. Na Morszyńskiej w trzech pokojach gnieździł się z żoną i czworgiem (w pewnym momencie nawet pięciorgiem – najmłodsza córka zmarła w niemowlęctwie) dzieci. Zbiór wspomnień o Grochowiaku *Dusza czyścowa* [2010] zawiera relacje, z których wynika, że przemieszkował też u kochanki po drugiej stronie Wisły.

Wnuczką młody dziadek cieszył się niespełna pół roku. Choroba alkoholowa doprowadziła u Grochowiaka do zrujnowania wątroby, jego przedostatnim adresem było mieszkanie poety Zbigniewa Jerzyny na Służewiu nad Dolinką. Ostatnim – szpital przy Stępińskiej, gdzie zmarł 2 września 1976 r.

Postać wzorowana na Grochowiaku pojawiła się jeszcze za jego życia w powieści Eugeniusza Kabatca *Żółwie* [1966], portretującej ówczesną warszawską cyganerię literacką. Łatwo rozszyfrować go także w autobiograficznych powieściach Janusza Krasińskiego z cyklu o Szymonie Boleście, choć nazywany jest tylko „poetą Stanisławem”, podczas gdy towarzyszący mu Jan Himilbach występuje pod nazwiskiem. W *Niemocy* [1999] pojawia się nawet motyw wyprawy na rozpoznawalną Sadybę, po tym jak Bolesta zostaje się z żoną:

„Taksówka podskakiwała na wybojach. W ostrym świetle reflektorów poznawał aleję, którą teraz jechali, trzystuletnie lipy pamiętające króla Jana, który wyprawiał się stąd na Wiedeń. (...) Wysiedli przy jakimś osiedlu oddzielonym od miasta czarną pustką pól. W oknach niskich budynków było zupełnie ciemno. Przeszli szpalerem czarnych krzewów, po omacku wspięli się na piętro i stanęli przed zamkniętymi drzwiami. Poeta długo szukał w kieszeni, zanim znalazł klucz. Otworzył, weszli. Cisza. W domu wszyscy spali.

Noc wśród licznej rodziny poety pogłębiła jego rozterki. (...) Zadręczał się powziętą decyzją, wracać jednak do domu nie zamierzał. Gdy po wspólnym śniadaniu czwórka dzieci wybiegła do szkoły, kot i pies zwany Golonką wypuszczone zostały na dwór, a żona poety udała się na zakupy, zapytał mistrza, czy wolno mu będzie sięść gdzieś w kącie, by dopisać zakończenie swojego reportażu”.

Poeta Stanisław sadowi Bolestę przy własnym biurku i proponuje szklanczkę wina na kaca. Wcześniej jeszcze w taksówce wymyślił mu tytuł dla tego tekstu o transporcie bydła rzeźnego – *Metafizyka uboju*.

Ciekawostką może być, że poezją Grochowiaka zachwyca się w moko-towskiej kawiarni Mozaika w końcu lat 80. bohater debiutanckiej powieści Małgorzaty Rejmer *Toksymia* [2009].

Paweł Dunin-Wąsowicz

Maciej Parowski

Kwadrans z grafomanem

(ostro, ale bez nazwisk)

Grafoman, człowiek ogarnięty manią pisania, lecz nie posiadający w tym kierunku zdolności – tak definiują sytuację słowniki. Porównajmy pojęcia zbudowane na podobnej słowotwórczej zasadzie: mitoman musi kłamać, ale potrafi to robić skutecznie. Piromania nie wyklucza pięknych pożarów. Erotoman, chorobliwie zainteresowany seksem, często wszelako zaspokaja swoje partnerki... Tylko w grafomanie (oraz impotencje) silny afekt został skojarzony z bolesnym fatum niemożności.

Świat byłby zbyt piękny, gdyby efektem istnienia niespełnionych pisarskich maniaków okazywały się jedynie stosy makulatury. Do nieumiejętności tworzenia literatury (niewinnej dolegliwości, dotyczącej olbrzymią część populacji) dołącza tu błędna ocena własnych możliwości, a więc, niestety, wynikłe z tego frustracje oraz pretensje. I tak oprócz pisaniny grafomana musimy oglądać jego rozgoryczone oblicze. W ostrych przypadkach – silna grafomania plus mocny organizm nosiciela – grafomania działa jak wirus. Zakłóca, upośledza, próbuje przebudować delikwenta i zwłaszcza literacki świat wokół niego.

Święty Grafoman, Hobbysta?

Rzecz w tym, że figura łagodnego grafomana, pogodzonego z własnym brakiem talentu oraz anonimowością, zapełniającego z pogodą szuflady, jest dziś praktycznie nieznana. Znacznie częstszy, choć właściwie jeszcze niedokuczliwy, bywa grafoman Ekshibicjonista; ten lubi zaskoczyć bliskich i redaktorów wyszarpiętym z teczki lub zza pazuchy plikiem maszynopisów. Poważny bankier, błyskotliwy wojskowy, trzeźwy polityk pokazuje nam wymiętoszone, cklewe opowiadanko o spotkaniu z Obcym albo z miłością sprzed lat. Oczywiście, od początku podejrzewał, że rzecz nie ma szans, ale nie potrafi ukryć uczucia zawodu.

Wyższy szczebel manii to grafoman domagający się dyskusji na temat zdyskwalifikowanego tekstu. Następny – ostentacyjnie oczekujący pochwały. Wreszcie przychodzi rzucający obelgami grafoman Awanturnik i próbuje *per fas et nefas* wymusić na służbach wydawniczych decyzję druku.

Cwaniak

Dwa wymyki z mojej redaktorskiej korespondencji sprzed ćwierćwiecza. Grafoman kanciarz posuwa się tu do kłamstwa oraz emocjonalnego szantażu (w innym nie cytowanym fragmencie listu podkreśla, że jest kaleką):

Zwracam się do Was z prośbą o druk w „Razem” opowiadania „X”. Opowiadanie to wchodzi w skład książki, którą złożyłem w Wydawnictwie M. Książka jest już po recenzjach, w Wydawnictwie oceniona została przychylnie i uznano ją za nadającą się do druku. Istnieje jednak taki zwyczaj, że przed debiutem książkowym musi nastąpić debiut prasowy w jakimś poważnym czasopiśmie (...), a tygodniki niechętnie wydrukują debiut – zwłaszcza jeżeli jest ktoś nie znany i z prowincji.

Ponaglenie adresowane już nie na mnie, lecz na naczelnego, wyglądało następująco:

Niebawem wybieram się do Warszawy i wtedy już koniecznie będę chciał się dowiedzieć, dlaczego pismo „Razem” nie chce odpowiadać na listy oraz dlaczego gardzi opowiadaniem, które doń przeszło pół roku temu wysłałem. Po prostu trzeba się do was osobiście pofatygować. Okazuje się, że u nas w Polsce łatwiej jest napisać książkę, łatwiej przejść przez sito kwalifikacyjne wydawnictwa niż doczekać się fragmentów druku pisma „Razem”. A może to obawa przed „ludźmi z prowincji”? Na przykład „Nowy Wyraz” nie miał tego rodzaju „grymasów”, kwalifikując moje wiersze do druku...

...itd.

Pupil, czyli grafomania przeniesiona

Inny autentyczny przypadek sprzed dekad. Inteligentna redaktorka z radia organizuje sympatyczną rozmowę na antenie o piśmie i fantastyce w ogóle. Po programie wręcza mi teksty syna. Młody człowiek naśladuje Sapkowskiego, ale „*nie wie dokąd jedzie*”, nie radzi sobie z językiem, fabułą

i postaciami. Kiedy parę dni później łagodnie próbuję wyjaśnić rzecz przez telefon, następuje drastyczna zmiana tonu. Pani redaktor wykrzykuje, że Sapkowski jest dużo gorszy, a pismo odmawiające druku młodym talentom będzie co najmniej podejrzane. Właściwie otwarcie grozi mi rewanżem na antenie.

To nic wielkiego, parę lat wcześniej inny wielki grafoman, potem jeszcze większy Autor napuścił na mnie kilka miast i pół pokolenia. Grzecznie uświadamiam pani redaktor, że pismo nie pozostanie wobec jej ataku bezbronne: po prostu opiszę sytuację łącznie z personaliami i zacytuję najgłupsze fragmenty odrzuconego tekstu. Potem jeszcze spotykam się z jej synem, zahukany chłopakiem z ostatniej klasy ogólniaka. Czuł, że na publikację za wcześnie, ale energiczna matka samotnie wychowująca syna stwierdziła, że ma wystarczającą moc socjalną, by mu sprawę załatwić. Jest autentycznie zażenowany, dlatego sędzę, że mimo wszystko będą z niego ludzie.

Teoretyk

Grafoman z rozbudzonymi ambicjami bądź jego protektor stają więc stale od nowa przed tym samym problemem: jak sforsować system (osobę), które rozpoznały tekst jako poroniony, zbędny, nieudany. Oprócz agresji wyzwała to w nich instynkt teoretyka oraz polemisty. Tekst jest nudny i wtórny... Nie szkodzi, takie też są potrzebne. Pełen błędów językowych... To zabieg celowy, zresztą redaktor co zechce, może poprawić. Rzecz rozsypuje się na garść epizodów... Dokładnie tak miało być.

Jak nie wymyślono słów, za pomocą których można by porozmawiać ze ślepym o kolorach, a z głupim o mądrości, tak nie istnieją pojęcia, które wyjaśniłyby grafomanowi wartości i swoistości literatury. Po pierwsze, z jakiej racji cudza opinia o tekście miałaby być lepsza od jego własnej, to niesprawiedliwe i niedemokratyczne; przecież jemu się podobało.

Idąc dalej, grafoman próbuje tak przededefiniować literackie powinności, ideały, kryteria, by wywalczyć przestrzeń dla tego typu prozy, jaką czuje się na siłach uprawiać. A to znaczy bezbarwnej, naśladowczej, prostej, pozbawionej magiczności, nieopłaconej żadną duchową ceną, powtarzającej sprawdzone konwencje i motywy. Grafoman osłania rzecz hasłami o literackim sukcesie dostępnym każdemu (to nie talent, lecz chęć szczerza produkuje bestsellera?) i chytrze wywodzi, że do powstania jednego dzieła potrzeba kilkunastu książek poślednich, jako mierzwy i tła. Tak grafoman

próbuję wymusić na świecie realizację najświętszego (!) prawa człowieka – prawa do ujżenia własnego tekstu wydrukowanego w przyzwoitym nakładzie na cudzy koszt i ryzyko.

Grafoman powie, że walczy przede wszystkim o interes czytelnika; kłamie, rzecz jasna, czytelnik znakomicie zniósłby wydawniczą ofertę złożoną z samych asów. Grafomanowi idzie wyłącznie o siebie.

Wyzwanie Obcego

Hobbysta, Ekshibicjonista, Cwaniak, Pupil (Awanturnik), Teoretyk... Już gdzieś na etapie Cwaniaka rodzi się w psychice grafomana pałacy, wprawiający go w najwyższy stan rozdrażnienia, dylemat Konkurenta. Przeciwnika!

Owszem, rasowy pisarz także ściga się z kolegami; bywa, że zazdrości im nagród, popularności, nakładów. Ale że zna się na literaturze, nieobce mu jest oprócz ukłucia zazdrości również uczucie podziwu. Toteż raczej regułą w pisarskim świecie bywa literackie kumpelstwo i poczucie zawodowej solidarności. Autorzy dobierają się w przyjacielskie grupki na zasadzie pokoleniowej, ideowej; czasem więź rodzi się nie w wyniku literackiego pokrewieństwa, lecz właśnie odmienności.

Inaczej grafoman. Poniżany powtarzającą się odmową druku, każdego szczęśliwszego młodego autora traktuje jak Uzurpatora. Fakt, że ukazują się cudze teksty, nie jego, wydaje się grafomanowi wielkim moralnym, społecznym, kulturowym skandalem. W rasowym pisarzu jest sporo spokojnej pewności, zna swoje miejsce w szyku, wie, że są potrzebne różne rodzaje literatury; szczerze mówiąc, w jego stosunkach z kolegami znajdziemy wiele zbawiennej zdawkowości – po prostu nie ma czasu przyglądać się dokładnie temu, co robią. Grafoman odwrotnie – cały czas trzyma nos w cudzym tale-rzu. Wyłapuje wyimaginowane błędy i grzechy, powtarzając w kółko gorzki wyrzut jak ten prowincjonalny teatralny statysta z anegdoty Lindy: *Ciągle tylko ten Olbrychski i Olbrychski, a ja jestem przecież dużo przystojniejszy.*

Rewolucjonista

Dlatego grafomana należy opisywać i badać nie tylko poprzez charakterystyczne i oczywiste błędy i niedostatki warsztatowe. Bardziej interesujące

i wyraziście są jego zachowania oraz oddziaływanie społeczne. Fakt, w pojedynkę grafoman będzie przede wszystkim żałosny i śmieszny. Jednak w grupie może stać się niebezpieczny. Będąc demagogiem, sam jest bardzo podatny na zabiegi demagogów, zwłaszcza na ich obietnice. Łatwo na przykład uczynić z grafomana Rewolucjonistę – dokona tego człowiek, który podaruje grafomanowi literacką nadzieję i da teoretyczną podbudowę jego poczuciu krzywdy. O pierwszym grafoman marzy, do drugiego ma odruchową skłonność.¹

Organizacje literackie (związki pisarzy, grupy fanów, szkoły pisania), w których znajdują się grafomani, opanuje wcześniej czy później szczególny zbiorowy resentyment. Jeśli grafomani zdobędą większość (a przecież z natury rzeczy są w większości) i połączą role literackich pretendentów oraz sędziów – autorzy z prawdziwego zdarzenia mogą się ocknąć wśród nich na pozycjach wyrzutków. Swoistych wrogów klasowych. Źle widzianych, obmawianych, zwalczanych przedstawicieli literackiego *anciene regime'u*. W mikrospołeczności zdominowanej przez autorów miernych rozpoznajemy niektóre cechy surowej agresywnej sekty, piorącej mózgi

1 Kodyfikację wspomnianych niedostatków warsztatowych dawałem we wstępnaku do „NF” i wywiadzie dla Wojtka Sedeńki: „Zawsze zachęcam do pisania krótszymi zdaniami, do wtrąceń w czasie teraźniejszym, choć mnie, jako autora, próbuje za to karcić Michał Cetnarowski. Tępię przymiotniki, wyrazy i zdania niekonieczne, powtórzenia, egzaltację. Sporo czasu poświęcę gramatycznej nad-obecności pierwszej osoby. Autorzy narracyjnie, sytuacyjnie, gramatycznie skupiają się na sobie. Nie chodzi o gombrowiczowskie ja-ja-ja. Chodzi o grafomańskie ja, mi, mnie, zobaczyłem, wziąłem, postanowiłem, poczułem, zrozumiałem, dla mnie, przeze mnie, we mnie, o mnie. W takiej pisaninie pociągi nie jeżdżą, ludzie nie mówią, zwierzęta nie warczą – dowiadujemy się o tym zawsze przez narratora. On musi ten pociąg zobaczyć, zwierzę warczy na niego, nic się nie zdarzy, żeby on nie przełknął śliny, nie poczuł, nie zrozumiał, czegoś mądrze nie skomentował, szeroko nie otworzył oczu, nie wypuścił bądź nie nabrał powietrza. Dokuczliwe bywają, śmieszne w epoce kina i innych sztuk wizualnych, imitacyjne ambicje młodej prozy. Jak się bohaterowi odbija, jak sięga po miecz, jak rzyga, jak dosiada konia albo partnerka jego, to jest to opisane sztywniacko z tak rozlicznymi szczegółami, że dla wyobraźni czytelnika już nic nie zostaje. Ale stron przybywa, nazywam to autyzmem literackim. Inne częste grzechy – celowa mglistość, autor gmatwa, boi się pisać wprost oraz teksty (zwłaszcza krytyczne) składające się z federacji suwerennych akapitów, co wynika z kolei z braku własnego osądu. Dochodzą do tego Zjawy (postaci znikąd, niezapowiedziane, pojawiające się w połowie sceny) i efekt fałszywej jednoczesności. Autor z precyzją zegara atomowego ustala chwile, w których nastąpiło to czy tamto, timinguje następstwo zdarzeń, kiedy ani to możliwe, ani z estetycznego punktu widzenia konieczne. Protokularyzm też, przy czym Irzykowski pisał o zamykających się i otwierających drzwiach w polskich scenariuszach filmowych. W złej prozie też to działa – jakże tak, żeby bohater po prostu ODEJCHAŁ, musi do konia PODEJŚĆ, WSIĄŚ nań, SZARPNAĆ lejcami, RUSZYĆ i OBEJRZEĆ się za siebie, PODEJMUJĄC JEDNOCZEŚNIE DECYZJĘ, dokąd jedzie. Okropieństwo!”.

swych członków. Można bowiem i należy w takiej sekcie ostro krytykować autorów oryginalnych, wyrazistych, znaczących. Miernych, przeciętnych oszczędza się, ba – bierze się ich wręcz pod ochronę.

Po owocach ich poznać

W działaniach teoretycznych grafomana wybijają się na pierwszy plan doktrynerskie tendencje zawężające i wyłączające. W przypadku na przykład fantastyki grafoman dokładnie wyszczególni, jacy autorzy do gatunku już nie należą, *ergo* nawiązywać do nich nie wolno; także jakie typy prozy są zabronione. W planie społecznym wyróżnia grafomana agresja i, uwaga, działania kamuflujące. Przebiera się za działacza, fana, organizatora imprez i ruchów przyliterackich; wcześniej czy później okazuje się, że to zabiegi związane z własną, hm, twórczością są dla grafomana najważniejsze.

Chwilę o samej twórczości. Krążenie wokół wydawców i pism, marzenie o sobie jako tryumfującym literacie, mistyczny stosunek do przebierania palcami po klawiaturze (pisarz traktuje to z dystansem, jak powinność bądź pracę; grafoman jak rozkosz pokrewną kopulacji) sprawiają, że jest grafoman opętany jedynym *de facto* tematem. Pisanie, ach! Wielki pisarz, który odniósł sukces, och!! Magiczna powieść przeniesiona na ekran i gwiazda filmowa udzielająca ciała szczęśliwemu autorowi... HA!!! Pisarze jako bohaterowie literaccy w 90 procentach przypadków zostali stworzeni przez grafomanów. Pisarze tryumfujący – w 99 procentach.

Taka wsobność, skupienie na sobie i swoich marzeniach, odbija się na tekstach grafomana również w sensie gramatycznym. Ja, ja, ja. A właściwie – ja, mi, mnie, mną, ze mną, o mnie. Grafoman ma tendencję do stawiania między swymi bohaterami i światami; zupełnie jakby powtarzał *to Ja opowiadam ci tę historię, czyż nie pięknie przepuszczam ją przez Siebie?* Nie kwestionuję *a priori* pierwszoosobowej narracji, zabieg daje szansę na wizję zdeformowaną, niekompletną, przełamaną przez postać chorą, szaloną, znarkotyzowaną. Chodzi mi stylistyczny i psychologiczny egotyzm – koncentrację na narratorze, nie na rzeczywistości, sprawie, czy prawdzie. Oto częsty przypadek grafomanii fanzinowej – autor relacji opisze, jak i czym jechał na imprezę, kogo spotkał po drodze, jak spał i co pił, ale nie starczy mu sił ni entuzjazmu, by zrelacjonować porządnie przebieg odwiedzonego konwentu.

Chyba w tym właśnie kryje się klucz, test czy probierz – w odmiennych rodzajach satysfakcji, jakie czerpią z pisania grafoman i pisarz. Pisarz

komunikuje, uprawia sztukę, perswazuje estetyczną i intelektualną; skłania do empatii (to znaczy współodczuwania z zupełnie różnymi od nas istotami). Grafoman wchodzi w pisanie jak w rozkoszny trans jemu przede wszystkim mający dostarczyć psychospołecznych profitów i satysfakcji. Pisarz wydatkuje energię (znane są wypadki chorób i utraty zębów po skończeniu książki), ale odczuwa radość z dobrze wykonanej pracy. Grafoman, skupiając na sobie uwagę otoczenia, pobiera zeń energię, *de facto* je wampiryzuje. Przecież sednem literackiej doktryny grafomana nie jest obdarowywanie czytelników nowymi wartościami czy spostrzeżeniami, lecz konwencjonalne odtwarzanie ustalonego wzoru.

Światło w tunelu

Najprawdopodobniej każdy pisarz podszyty jest grafomanem, tak jak każdy playboy był kiedyś prawnikiem. Zawsze przychodzi przecież ten moment, kiedy człowiek (młodzieniec) już by chciał, już tęskni, a jeszcze nie potrafi bądź nie może. Ratunek, w obu przypadkach, często przynosi biologia. Prawiczek i grafoman mężnieją. I w seksie, i w literaturze chodzi o to, żeby oderwać się od siebie, na chwilę zapomnieć o sobie, a otworzyć na świat, na innego. Odkryć ideę służby, troski, pracy, dialogu. Na pewno – miłości, a w każdym razie życzliwości.

Częsty przypadek w redaktorskiej nie tylko mojej – praktyce. Kandydaci na autorów szarpiący się z pismami i wydawnictwami o druk nagle łagodnieją. Odkrywają swoją sprawę, swój ton, piszą wyraźnie lepiej. Obrzydliwa fraza: *O co chodzi, przecież drukował pan dużo gorsze opowiadanie Y-a czy X-a* znika z ich listów; pojawiają się zdania empatyczne: *Ten tekst z Z-ta z majowca to naprawdę klasa, proszę mu to przekazać*. Piszą tak o sobie młodzi autorzy z różnych krańców Polski, którzy się prywatnie nie znają. Oto jak z poczwarki grafomana wylatuje piękny, skrzydlaty autor. Oczywiście nie z każdej, ale wystarczy, jeśli wyfruną z większości poczwerek motyle mądrych i otwartych czytelników.

I jedni, i drudzy odkrywają wówczas literaturę nie jako przestrzeń rywalizacji, lecz wspólnej powinności, kulturowego dialogu, poszukiwania. Przestają ich ograniczać rygorystycznie rozumiane konwencje, dziedzictwa przynależność do wydawniczych stajni... nawet prawa własności. Autor nagabywany o pokrewieństwo z innym autorem, z cudzym tekstem, bez oporów przyznaje: *To opowiadanie rzeczywiście nie powstałoby, gdybym nie*

przeczytał tekstu pani E., proszę napisać w notce, że do niej nawiązuj. Wobec naprawdę udanego kawałka cudzej prozy mogą ulec zawieszeniu święte literackie wojny i redaktorskie rywalizacje. Zupełnie nie rozumiem, jak takie ch... pismo jak „NF” mogło zdobyć tak znakomity tekst jak opowiadanie Z-ta – powiedział kiedyś były wielki Grafoman, a później Wielki Autor, i miałem z tego dużo radości, bo wydał mi się wówczas człowiekiem dowcipnym, iro- i autoironicznym, a więc całkowicie uzdrowionym.

Niestety, zwłaszcza jeśli idzie o agresywne przeżywanie Innego, niektórym pisarskim organizmom zdarzają się grafomańskie nawroty. Żenujący jest obraz, kiedy naprawdę znaczący pisarz z poważnym dorobkiem poczyną reagować na młodych autorów jak zazdrosny szczeniak. Myślę jednak, że to już temat na trochę inne opowiadanie.

Maciej Parowski

*Specjalnie dla „Podglądu”
nieco rozbudowana przez Autora wersja referatu
wygłoszonego w czerwcu 1998
na V Festiwalu Fantastyki w Nidzicy*

Grzegorz Walczak

O poezji Janka Vujinovicia

Janko Vujinović to postać oryginalna, poeta prawdziwy, osobny i w słowie pisanym, i w podejściu do świata, do codzienności i do siebie samego. Snuje on z siebie ślad wyraźny, jak pająk pajęczynę, snuje Janko poetycką przędzę, tyle że nie po to, by w nią złapać kogoś, lecz by uwić sobie kokon, chroniący go przed zbyt agresywnym i wścibskim światem. Samoświadomość – cecha prawdziwie ludzka – i napięcia, jakie się gromadzą w tym jakże wrażliwym poecie, wbrew jego introwertycznemu usposobieniu, o które go posądzam, zmuszają go to tworzenia, czyli ujawniania (obnażania) swej relacji ze światem. Snuje więc tę swoją nić wrażliwości, bo nie może nie snuć. Znamiennym w tej materii jest szczere wyznanie bohatera lirycznego w wierszu *Zacieranie śladów*. Pragnienie zacierania śladów dla kogoś, kto się chce skryć w odległych górach, by obcować tylko ze sobą i z przyrodą, jest zrozumiałe, ale funkcjonuje w nim też przeciwstawna potrzeba pozostawiania tych śladów, oznaczania ich, odkrywania przed samym sobą, a w końcu i przed czytelnikiem. Jest bowiem w nim mus snucia tej poetyckiej nici, mus bycia pajakiem, to znaczy poetą. Od tego już mu trudniej uciec. Można świat zredukować do siebie i tych koniecznych codziennych przedmiotów (A co mu jest potrzebne? – „Studnia przed chatą, drewno w drewutni, dębowe, bukowe, mocne drzewo, kłody, co ogień trzymają przez całą noc, drzazgi na podpałkę...”).

Można to, co nas otacza, zredukować do warunków najprostszej egzystencji, ale nie da się zredukować wraz ze sobą. Pozostaje zatem świat ten drugi, ten w sobie, wraz z sacrum, które nagle upomina się o swoje, które nagle poszerza – jakże istotnie – potrzeby i pragnienia uciekiniera od zgiełku cywilizacji. I nie wystarczy już” rozpalać w piecu, miesić chleb, gotować fasolę, kapustę z pstrągiem” (a nie „ze skwarkami”, jak chciała tłumaczka – Anastazja Tyimińska¹. V.Stamenković w swoim, równie dawnym tłumaczeniu oczywiście miał rację – „sa pastrmom” – znaczy „z pstrągiem”). Wbrew wszelkim pozorom powiedziałbym, że gdyby nie miał tego sacrum,

1 W zbiorze: J. Vujinović *Śpiewanie w/o samotności*, IBiS, Warszawa 2006.

nie wystarczyłoby mu „chodzić, iść, przez las, kroczyć”. Tym razem minimalnie zmodyfikowałbym tłumaczenie Stamenkowicia, który użył wyrazu *spacerować*, wołałbym – *kroczyć*. *Koraciti* to coś więcej niż spacerować, to iść godnie. A bez pojęcia godności nie trafimy za Janko Vujinovicem, podobnie jak i bez *duchowości*. I niech nas nie zmylą pozory, że obraca się on jedynie wśród tych prostych, podstawowych znaków codzienności, można by rzec – czystych wyrazów, oczyszczonych z bagażu wzniosłych metafor lub łatwych, nadużywanych środków poetyckiego blichtru.

Janko jest rzeczywiście w swych poetyckich intencjach czysty jak woda w potoku i niby prosty w swojej swobodnej narracji, zbliżonej do prozatorskiego ciągu, spokojnego nurtu, pod powierzchnią którego kryje się jednak uporczywa głębsza myśl lub namiętność. Zdradzają ją nieoczekiwane urywane, przeplatające się wątki i paralelne nawroty do tego, co go wewnętrznie drąży i przenika, niemal obsesyjne powtarzanie: „ślady zatrzeć”, „zatrzeć ślady”. Pytanie, czy tak ostatecznie i czy dla każdego mają być zatarte? Wielką niewiadomą stało się dla mnie opuszczenie przez oboje tłumaczy krótkiego fragmentu wiersza, bardzo istotnego dla wywodu zawartego w mojej tekstowej analizie filologicznej. Zapewne ja miałem nowszy, poprawiony przez autora tekst oryginału. Pod koniec wiersza *Dom w górach* (to inny tytuł wiersza *Zatrzeć ślady*), wydanego w oryginale w 2018 r. przez *Albatros bibliotekę* w tomiku Vujinovicia *Raspuklina tragovi*, po słowach: „Ślady, ślady zatrzeć” odnajduję następującą nieprzetłumaczoną dotąd frazę: „A ona, dragana, da dodje pokadkad”. – „A ona, ukochana, niech czasem przyjedzie”. Ta niezwykła koncesja, wyraźnie duchowa, bo z uczuć płynąca, może przecież zamącić to świadome odosobnienie, na które się narrator liryczny był zdecydował.

Można się zastanawiać, czy dla większej sterylności, większej dyscypliny swego osamotnienia ów uciekinier z miasta powinien pozostawić ukochanej swój górski adres. Mógł przecież pomyśleć: Co to za zacieranie śladów, kiedy może tu do mnie w góry dotrzeć ona? Obydwa warianty są możliwe. Ale rygory samotności i surowości niemalże mniszego życia można nieco złagodzić, tym bardziej, że (a funkcjonują w tekście tego potwierdzenia), bohater wiersza nie zamierza się odseparować również od innej warstwy duchowych doznań, od symboli wiary i obyczaju, od sacrum, które w tych odległych górach jest mu nieodzowne. Pragnie bowiem „wina czerwonego, mszalnego, bazylii święconej pęczek, Biblii, ziarnka – dwu kadezideł”. No tak, wtedy można już „słuchać ognia i ptaka, i wiatru, i świerszcza za kominem” (a nie *za ścianą* – jak chciała nieuważna tłumaczka, która

też przy określeniu winy pominęła tak istotny tu epitet – *mszalnego*). Wtedy można słuchać tej przyrody czystej „i milczeć, milczeć w chacie w górach”.

Ale ja bym spytał: o czym milczeć? Tu już by się poeta nie wywinął pięknymi zresztą frazami o materii codziennej, o prostocie sprzętu i jadła, jak te na przykład: „Mieć nóż, strzelbę, siekierę ostrą, złego psa. Ziemniaki w kopcu, kapustę w piwnicy, worek fasoli, dwa większe maki, drożdże i trochę soli. Mocną śliwovicę w baniaku, słabą rakiję w wilczym miechu, jedną, dwie butle gazu. A nad paleniskiem suszą się kości i mięso” (*nad paleniskiem*, a nie *na strychu* – być może różnica wynika z poprawek samego autora). Cały ten dobrostan górskiej siedziby jest na wskroś doraźny, żeby nie powiedzieć doczesny, a człowiekowi nawet w górskiej samotni, trzeba czegoś więcej – miłości i tej ziemskiej („dragana”) i tej wiekuiestej, o której przypomina „wino mszalne”, „bazylią święconą”, i „Biblia”. Bez tego człowiek nie uciekłby daleko, bez tego podejrzewam, góry nie miałyby potęgi, byłyby tylko zwykłymi bryłami sfałdowanej ziemi, nie miałyby mocy żadnej, a wiatr nie byłby oddechem wszechświata. Może nieco dopisałem autorowi, ale który interpretator tego nie czyni, zwłaszcza gdy też jest pajakiem snującym podobną nic poetę?

Istotny i charakterystyczny dla poezji Vujinovicia jest wiersz *Człowiek w pokoju (Covek u sobi)*.² Ukazana jest w nim najprostsza sytuacja egzystencjalna człowieka siedzącego w pokoju blokowiska (tzw. serb. „solitera”, pol. „mrowiskowca”) w wielkim mieście. Siedzi on przy oknie, samotnie, spogląda z wysokości 15 piętra na miasto rozciągające się w dole. Wszystko jest zwyczajne, codzienne, osadzone w konkrety. Słysząc odgłosy dochodzące z wnętrza bloku, coś „pukce, hukce, struji i bruji” – „puka,

2 W swej analizie odnoszę się będę do oryginału tekstu z 2018 r. z tomu Raspukina trago-wi. Nie mam pewności, czy i na ile autor zmienił ten wiersz, który w roku 2006 przetłumaczyła Aleksandra Newman (w: J. Vujinović, *Śpiewanie w/o samotności*, IBIŚ, Warszawa 2006). Wiele fragmentów z tamtego czasu w niczym nie przypomina tekstu, który od nowa przetłumaczyłem. Warto porównać chociażby frazy: w dawnym tłumaczeniu „przy oknie w ciemność spogląda”, w tym miejscu tekstu, w którym ja mam że „na rozświetloną metropolię patrzy, na mrowisko-zwierzyniec spogląda”, w tekście tłumaczki z 2006 czytamy: „żądza wzlatuje ku niebu neonem”, chociaż z kontekstu utworu wynika, że ani żądza, ani neony nie mają tu racji bytu. W tej samej pozycji tekstowej w oryginale znajduje się zdanie, które należałoby przetłumaczyć: „życie się oparami w niebo wznosi”, co kontekst całkowicie uzasadnia. To nie jest tylko spór translatorów. Ten typ analizy, który tu proponuję, wymaga absolutnie precyzyjnych odniesień do tekstu, który jest semantycznie zgodny z oryginałem i nie jest w tej chwili ważne, czy inny oryginał miała poprzednia tłumaczka, czy też niewiernie go przełożyła. Istotniejszy jest, że ja dziś posługiwałem się najnowszą, zaaprobowaną w ostatnim wydaniu przez autora, wersją jego utworu.

stuka, dźwięczy i brzęczy”. Mogłoby się wydawać, że to jest opis chwili, rejestracja nieistotnego szczegółu, gdyby nie pewne sygnały autora lub niezwykły zwrot sytuacji, wykraczającej poza oczywistość i zwyczajność. 1) Owo miasto to Babilon, 2) w ostatniej zwrotce pojawia się nieoczekiwana zmiana perspektywy oglądu podmiotu, a właściwie narratora lirycznego. Ujrzawszy siebie po drugiej stronie okna, siedzi on i pali papierosa, a z tej pierwszej strony widoczna jest tylko oświetlona ręka. Wolę „oświetlona”, niż „rozświetlona” – jak przetłumaczyła Aleksandra Newman, gdyż wyraz *oświetlona* wskazuje na to, że z zewnątrz, a nie, że się sama od wewnątrz rozświetliła. Ten niby drobny szczegół ma w tym wypadku istotne znaczenie. Należy bowiem zwrócić uwagę na poetycki zabieg jakby „rozdwojenia” podmiotu lirycznego. Owego samotnego człowieka, który znajduje się w jakimś wnętrzu – w domu, w pokoju – poeta w pewnym momencie wyprowadza poza właściwy mu dotąd, naturalny punkt widzenia, czyni z niego zewnętrznego, obiektywnego obserwatora samego siebie. Przenosi go poza fizyczne granice, na zewnątrz domu, poza okno, jedynie oświetloną rękę pozostawiając we wnętrzu. Podobne to jest do opisywanego czasem zjawiska „wyjścia poza siebie”, poza granicę naturalnej perspektywy obserwacji. Zaświadczać to zapisy doznań pacjentów w czasie śmierci klinicznej. Umierający wychodzi poza swoje ciało i obserwuje je z pewnego oddalenia, z dystansu, najczęściej z góry, będąc jednocześnie w sobie i poza sobą. Podobnie dzieje się w tym wierszu, ale i też w utworze *Śpiew*, czyli w *Wierszu o wierszu*:

*...Ale by w tej chwili uchwycić całe życie...
wszystkie przecucia czasu zgęstniałego
w blask, który nas spali, chociaż pozostaniemy
spokojni jako obserwatorzy...*

Oczywiście nie musimy się uciekać do analogii stanów klinicznych. Wystarczą poetyckie odniesienia do tradycji „sumatrańskiej” koncepcji Milosa Crnjanskiego, znanej Vujinowiczowi doskonale. (Sam np. przed swoim wierszem *Wieczór. Uspokojenie* zapisuje: „po Crnjanskom”). Wielkiemu serbskiemu poecie myśl o jednoczesności egzystencji w dwu odległych obszarach ziemi i ich wzajemnych, tajemnych metafizycznych związkach stała się podstawą pięknej poetyckiej filozofii.

Wiedząc o tym i studiując kolejne wiersze Janka Vujinowicia, można stwierdzić, że okazuje się on poetą metafizyki realnego szczegółu. Przy

całkowicie świadomym, uporczywym trzymaniu się konkretów zmysłowych i materialnych, Janko, tak jak w wierszu *Człowiek w pokoju*, wprowadza nagłą zmianę punktu obserwacji, łamiąc zasady dosłownego realizmu naturalnego doświadczenia i w ten sposób istotnie wzbogaca pozornie błahy rysunek wycinka rzeczywistości, w której zanurzony jest jego bohater. Może odczuwa coś podobnego sam poeta – osamotniony, wyizolowany, powiedziałbym – świadomie zdystansowany do otaczających go ludzi, do blichtru przedmiotów i aktów cywilizacyjnych.

W krótkim wierszu *Wieczór. Uspokojenie* dominuje obserwacja enigmatyczności, labilności zewnętrznego świata, świata przyrody (przemiana dnia w wieczór), niestabilności, nietrwałości, która i nas dotyczy. Przemiana człowieka „w niewyraźny kształt”, który ulega ostatecznej destrukcji i „przelewa się w proch”, stanowi puentę, do której prowadzi autor, a którą przeoczyła nieuważna tłumaczka³. Usunięcie wyrażenia: „w proch” – we frazie „przelewasz się w proch” odbiera całkowicie sens poetycko poznawczy temu wierszowi, redukuje go do opisu z tzw. anakolutem, czyli wypowiedzią urwaną, niedokończoną, dysfunkcyjną składniowo, której poeta nie zamierzał zastosować. To niemalże kastracja.

I jeszcze jeden specyficzny wiersz Vujinovicia – *Tajemnego pisma powiernicy*:

„Teraz jesteśmy tylko cieniami.” – powiada poeta. Rozpuszczeni w przyrodzie, czy w świecie platońskich idei? – chciałoby się spytać – w przyrodzie z jednej strony naznaczonej zmysłową realnością: „teraz jesteśmy tylko liśćmi... tylko trawą...teraz nas białe ptaki czarnym słowem dziobią”, z drugiej abstrakcyjną ideą. „Jesteśmy cieniami, ni ciała swojego nie mamy, ni imienia, ni chęci”, „...płodnym spojrzeniem w niebiosy”, czyli zwróceniu ku ideałowi, absolutowi. „Teraz jesteśmy tylko snami”, „nie potrzebujemy miłości ni chleba, po prostu aniołami jesteśmy, tajemnego pisma powiernikami”. W tej puencie zawiera się cel naszego istnienia – jesteśmy magazynierami, może strażnikami, świadectwa. W nas się zapisało to, co było światem, nam powierzono zapis doświadczenia. Dodałbym, że z tego nie wynika jeszcze sąd nad sensem tego doświadczenia, czyli sąd nad światem, ani nad jego Stwórcą. Rzecz jest sformułowana w dość poetycko nieokreślonej bliżej ogólności. Nie mam prawa dalej posuwać się w swej interpretacji bez pomocy samego autora, nie chciałbym go nadinterpretować. Z wiersza dowiaduję się, że jesteśmy powiernikami pisma tajemnego, ale dla kogo

3 Elżbieta Woldan w zbiorze wierszy J. Vujinovicia *Śpiewanie w/o samotności*, IBiS, Warszawa 2006.

lub do kogo? Domyślam się, że dla przyszłych pokoleń, dla historii – ale dla historii ludzkiego bytu, czy dla konkretniej historii tej doświadczonej ciężko Ziemi Serbskiej i jej Narodu? Kto może złamać pieczęć tajemnicy?

NOTA

Janko Vujinović. Poeta i prozaik, ur. 07.04.1945 r. w Bradić w Serbii. Ukończył studia na Wydziale Filologii Uniwersytetu Belgradzkiego na kierunku język i literatura serbska. Przez 20 lat (1976-1994) związany z Wydawnictwem „Književne novine” (redaktor naczelny). W 1992 r. wykładowca na Katedrze Sławistyki Uniwersytetu w Szegedzie. W 1995-1999 mieszkał i pracował w Niemczech. Od 2000 do 2010 r. w Łodzi, jako lektor i wykładowca na Katedrze Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Łódzkiego.

Autor książek: *Mukla raspuklina* (Kruševac 1973) – wiersze, *Knjiga o radovanju* (Belgrad 1979) – opowiadania, *Vučiji nakot* (Belgrad 1986) – powieść, *Kosovo je grdno sudilište* (Belgrad-Priština 1989) – proza dokumentalna, *Peške po Srbiji* (Belgrad 1993) – opowiadania, *Panika u intersitiju* (Belgrad 2000) – powieść, *Knjiga o hrastu* (Belgrad 2014) – powieść, „Raspuklina, tragovi” (Belgrad 2018) – wiersze.

W języku polskim wydano: zbiór wierszy i krótkiej prozy *Śpiewanie w/o samotności* (IBiS, Warszawa, 2006); powieść *Panika w Intercity* (Tygiel Kultury 1990, Wydawnictwo Naukowe UAM 2006). Jest współautorem wyboru ze współczesnej literatury i sztuki serbskiej *Serbowie na ziemi* (Łódź, 2003). Na Katedrze Filologii Słowiańskiej w UŁ powstała praca magisterska o twórczości literackiej Janka Vujinovicia.

Jego utwory tłumaczone na dziesięć języków. *Panika w Intercity* wydana w języku macedońskim (2010), rumuńskim (2012) i słowackim (2018).

W 2015 r. otrzymał Nagrodę im. Janka Veselinovicia za powieść historyczną, a w 2018 r. najwyższą nagrodę przyznawaną przez Stowarzyszenie Literatów Serbii „Za Całokształt Twórczości”.

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Pośród drogi

Przestworzą się ptaki od lotu,
drewnieją drzewa od stania.
Jestem, już jestem gotów.
Idę. Z mgły się wyłaniam.

Lasem się lustrzą kałuże
od traw, po czubki sosen
Za sobą, cieniem się dłużę,
w kieszeniach dłonie niosę.

Drogi kręte, drogi proste,
Brzozę mijam, mijam sosnę
Swoją drogą, zawsze jedną
Dotąd, aż się nogi zegną.

Jerzy Binkowski

70-letni mężczyzna na poziomkach

Dąb stał a kora opadła wokół pnia
gałęzie na samym szczycie w zieleni

Ten ogląd orła jastrzębia żurawia
granica sama podchodzi do gardła

Płoneły w nim dni miesiące i lata
dyszały na trawie wióry po słowach

Okruszyńki drobne jak krew trysnęły

Rozważania siedemdziesięciolatka
są jak czereśnie i poziomki w ustach

Trofimówka, 25.06.2019

Dzień dobry

Januszowi Andrzejczakowi

Przesłałeś mi przesłanie od Boga
z toruńskich lasów do lasów Podlasia
czytasz Biblię skrywającą się w korze i w słojach drzew

Jesteś trans-latorem świętego pisma żurawi
na brzegu brzeziny
na krańcu bezradnego SŁOWA

Otwierasz usta modlitwą
odkrywam barwy mego niepokoju
otwieramy oczy okien na święte pismo

Śpiew skrzyp trawa liście – w listach od przyjaciół

Krzysztof Boruń

Sierpniowa noc

Wydra! Alarm! Uwaga!
 Szybciej! Raz, dwa, trzy...
 I on, i ty,
 I my, i wy.
 „Jaksa”, oemy!
 Ruszać peemy!
 Prędzaj! Prędzaj! Idziemy!
 Rośnie,
 przybliża się,
 wzmaga
 kanonada.
 Ziemia drży.
 Noc. Ciemność.
 Gdzieś zapodziała się senność.
 Ściszony tupot nóg,
 ciężkie stąpanie,
 zgrzyt metalu o bruk.
 Niebo szarzeje żółto.
 Świtem czy łuną?
 Cienie, mary
 długim szeregiem suną
 w dół ulicy, jedna za drugą...
 I „Miś”, i „Szary”...
 Krótkie rozkazy, słowa:
 Prędzaj, wypadowa! Biegiem!
 Przed nami noc sierpniowa.

„Głowacz”, sierpień 1944

SIERPNIOWA NOC

Wydra! Alarm! Uwaga!
 Szybciej! Raz, dwa, trzy...
 I on, i ty,
 I my, i wy.
 "Jaksa", oemy!
 Ruszać peemy!
 Prędzej! Prędzej! Idziemy!

Rośnie,
 przybliża się,
 wzmaga
 kanonada.
 Ziemia drży.

Noc. Ciemność.

Gdzieś zapodziała się senność.

Zciszony tupot nóg,
 ciężkie stąpanie,
 zgrzyt metalu o bruk.
 Niebo szarzeje żółto.
 Świtem czy luną?

Cienie, mary
 długim szeregiem suną
 w dół ulicy, jedna za drugą...
 I "Miś", i "Szary"...
 Krótkie rozkazy, słowa:
 Prędzej, wypadowa! Biegiem!

Przed nami noc sierpniowa.

"Głowacz", sierpień 1944.

ROZNIKA

Ten numer Barykady Powiśla ma nieco odmienny od poprzednich charakter. Ukazuje się on bowiem tuż przed 52 rocznicą wybuchu Powstania. Dlatego też - obok stałych rubryk informujących o bieżących problemach naszego środowiska - zamieszczamy na początku wiersz, napisany przez Krzysztofa Borunia, ps. "Głowacz", w jedną z sierpniowych nocy przed 52 laty, bezpośrednio po drugim natarciu na uniwersytet, w jakim "Głowacz" brał czynny udział. Następnie

Krzysztof Boruń (1923-2000) – dziennikarz, pisarz, publicysta, popularyzator nauki, członek-założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jak napisano w rocznicowym wydaniu „Barykady Powiśla”, z którego wycinek publikujemy powyżej, autor napisał ten wiersz w sierpniu 1944 roku bezpośrednio po drugim natarciu na Uniwersytet Warszawski, w którym strzelec „Głowacz” brał udział jako członek załogi samochodu pancernego „Kubuś” Kolumny Motorowej „Wydra” Grupy Bojowej „Krybar”.

Joanna Jagiełło

Requiem

kiedy tak pada nie można nie myśleć o śmierci
w dół od Przymiarek salamandra cała w złotych ozdobach
(nie zabierze tych pierścionków tych bransolet do grobu
skleconego naprędce pod gałązką pod trawką)
grey-water rafting na pontonie liścia żywioły złowieszcze
ma szczęście: pani bóg w suchych tylko majtkach szacie peleryny
podstawia jej patyk. szybko. umiejętnie.

kiedy tak pada nie można nie myśleć
o tonących w drodze do Lampedusy na śródziemnych morzach
ratunkowym kole słońca co nieuchronnie się chowa
na jego codzienny a ich wieczny sen
i tych innych salamandrach. których nie zdołam uratować.

kiedy tak pada nie można nie myśleć o śmierci
w dół od Przymiarek jak martwy słoń truchło drzewa
(człowiek mu trumny nie da
może będzie trumną dla człowieka)
przy pniu trójkątna wycinka, część jak całość:
długo ją tulę jak dziecko i chowam. żeby coś zostało.

kiedy tak pada nie można nie myśleć o śmierci
Notre Dame w urnach zdjęć, czarnobylskich chatach
co od dołu wachają skażone stokrotki
(z wekowaną papryką ulubionym kotkiem)
łemkowskich wsiach zamiecionych przez panów od historii
niepogrzebanym kinie Relaks, co się w nas zmieniło i co zmieni –
o trzepakach z dziewczętami całymi w fikołkach
i załączkach piersi. ciężkich teraz.

i wszystkich niepogrzebanych chwilach
lśniących w pamięci jak gwiazdy – pogrobowce światła

przedgrobowcach i bezgrobowcach
 skończoności tego, co martwe i nieskończoności tego co nie żyje
 i o zakładzie pogrzebowym Niebo na mojej ulicy
 który nie obsługuje martwych mrówek ani martwej ciszy

a tutaj zieloność rozpulchniona deszczem
 krzyczy że tylko człowiek potrzebuje mogił
 wylinek istnienia powidoków niepokory
 na przekór wyświęceń

a ziemia oddycha równo życiem i śmiercią
 wdech-wydech za pan brat. ma szczęście.
 chyba że to ciągle krakanie piszczenie wiatr w gałęziach wierzb
 to requiem

Czynny żal

Że nie kupiłam ci żelków Haribo ani kurtki w kropki.
 Za jeden warkocz, a nie dwa.
 Nieobrane jabłka, nieupieczone murzynki i szarlotki.
 Że nie zabrałam cię do Disneylandu i do Notre Dame.

Że poprawiałam twoje: rusterko i taktus.
 Baba Jagi, Panów Stuków, nie o tobie wiersze...
 Za ojca cień i wszystkich tych dziwaków
 i szpitalną noc samotną w kołdry kopercie.

Za złość moją, za pęczki zmęczeń,
 Klapsa co na chudej pupinie jak czerwony liść.
 za to „nie umiem”, „nie lubię”, „nie chcę”
 co dzień w misce pełnej łez prane ręcznie.

Że zabrakło kiedyś mleka w proszku
 i ja, jak narkoman na twoim, twoim głodzie
 obdzwaniałam nieznajomych i płacząc tuliłam cię do snu
 na cukrze i wodzie.

Ty mówisz, że miałaś wszystko. Ja że czas to złodziej.
Jakaś pliszka, kwiaty bzu i świeży listek.
Skarby świata już nie zmieszczą się do skarbonki
twojej dziecięcej piąstki.

Nie zdążyłam, nie umiałam, nie wypełniłam.
Czynny, czynny żal.
Więc piszę ten list codziennie do urzędu
od ludzkich nieludzkich spraw.

Granica

Ryby śpiewają w Ukajali, a moje serce straciło
głos. Storczyki kwitną w Ukajali, w Rawie-Ruskiej
trawa na poboczu srebrzy się w świetle
lamp. Niewidoczne chmury wylewają pomyje
na żarzące się końcówki papierosów rozmazane
w wilgotnym powietrzu bo można zakurić. Matka
Ukraina nie wypuszcza maminsynków na wolność choć
tylko młodość może unieść te godziny
na wytatuowanych barkach. Dziewczęta w Ukajali
kołyszają bransoletkami, chłopcy w Ukajali prężą nagie
torsy. Jeszcze nie wiedzą, co to rozpacz. Czerwone
światła samochodów, oczy robotów – nietoperzy,
z wąskimi linijkami ust, drzwi tirów jakby
wielkich lodówek jakby po nas chłodnie. Dwanaście godzin
oczekiwania a przecież tylko czarnoskórzy u Kapuścińskiego
potrafią czekać, nam ten wielki brzuch czasu
cięży bez nadziei na rozwiązanie związany
zapachem ogórka, mokrego skaju, sierści. Ktoś
chrapie, inny mówi, że po polsku umie jedno słowo:
„kurwa”. Zjadłabym sushi, błagam o litość, ładowarkę
i bułkę, piramida Masłowa spłaszcza się w drogę
do toalety i drobne na kawę trzy w jednym. Potem
jeszcze ciaśniej, w bardo. Granice mojego języka
są granicami mojego świata. Bramy raj

są wąskie, ale granice ponoć tylko w umyśle. Jedyna
prawdziwa granica jest między nocą – a dniem. Świta.
Życiem – a śmiercią. Życiem – a przeżyciem. Półżyję.
Osobista kontrola, zaproszenia, papiery, papiery. W ciemności
ukraińska flaga jest szaro-złota. Ryby rybom
śpiewają w Ukajali. Ludzie ludziom gotują ten los.

Joanna Jagiełło

Andrzej Książek

Szum wiatru

Człowiek nie zna dnia i godziny.
Musi być gotowy. Przygotowany.
Jako poddany.
Prawom biologii fizyki psychologii.
Tak jest napisane. Tak jest od początku do końca
Wszyscy co do jednego. Znają tę
pieśń. Nuci. Szumi ją wiatr. Porusza delikatnie liśćmi brzozy wyrosłej
między betonowymi blokami. Po

Myślenie

Jeśli wszyscy muszą umrzeć
a śmierć jest tylko kwestią czasu
to powinniśmy się nie dzielić
a jednoczyć.
Przed wspólnym wrogiem.
Jak w okopach na wojnie.
Tymczasem ludzie walczą.
Kto ma być pierwszy
a kto ostatni.
Na końcu kolejki.

Na zawsze

Zostawmy ten wątek
sam się rozplącze.
Bieg wydarzeń pójdzie
swoim torem.
Wypadki potoczą się same.
Według z góry
Zatwierdzonego projektu.

Każda rzecz posiada
 przydzielone miejsce.
 Ustalone granice.
 A także początek i koniec.
 Każdy gra
 przydzieloną mu rolę.
 W garderobie zdejmuję strój
 zmywa makijaż i w
 gęstej mgle niczym za kurtyną
 powoli znika z pola
 widzenia.

Wiara

Było minęło.
 Nie ma.
 Pozostały ślady stóp
 na mokrym piasku.

Było minęło.
 Nie.
 Jest.
 Choćby nikt tego nie zauważył
 i wyrzucił do kontenera na śmieci.
 Dobro jest dobrem. Zło złem.
 Mimo...
 wielu zawirowań.
 Tłumów wiwatujących lub protestujących. I historyków którzy
 pracują na zamówienie.

Rozum i wiara

Mówią i głoszą wszem wobec iż
 na początku Kartezjusz jak inni
 wierzył. Ale
 zaczął wątpić.

W to co zmysłowe i
 w to co umysłowe. Że Bóg, że świat, że on sam nie istnieje. Ale.
 Skoro myśle, więc jestem.
 Istnieję. To jest pewne.
 I znów jak inni i jak dawniej.
 Zaczął wierzyć przywracając
 przewrócony porządek.

Znaki zapytania

Wyobrażenia wyprzedzają rzeczy.
 Są kilka metrów przed metą.
 Biegli w piśmie.
 Śnią sen prawdziwe nie –
 prawdziwy.
 Przebudzenie w tym przypadku jest nie –
 stosowne nie –
 na miejscu
 Czasy są pomyłone.
 Tryby również.
 Czas teraźniejszy miesza się z przyszłym jak tlen z zanieczyszczonym
 [powietrzem.

Andrzej Książek

Gabriela Kurylewicz

Potęga idealizmu

Mam podobno zbyt wysoki poziom
idealizmu, we krwi.
To rzekomo ciężka choroba,
którą trzeba leczyć
neurologicznie.
Tak mówią technokraci i urzędnicy
chcąc mnie wystraszyć.

Więc odpowiadam wszystkim.
Idealizm to nie cholesterol,
ten szkodliwy.
Idealizm jest składnikiem życia.
Pochodzi z duchowych zwyczajstw,
z ukochania górskich szczytów,
morskich dali,
z szczodrości źródeł
nieskończonych rzeczy boskich
i nieboskich.
Idealizm,
z idei zrodzony realizm,
to mój, nasz jedyny ratunek.

Potwierdzeniem powyższej tezy
metafizycznej
niech będzie zimny nos
Filozoficznego Psa.

9 VI 2019

Francowata kolej

Od dłuższego czasu jadę
pośpieszną Biedą.
Za oknem mija świat,
ale okna nie można

otworzyć.
 Pali się ledowe światło,
 którego nie da się zgasić
 i działa ogrzewanie,
 z którego wali zimno.
 A wokół pełno biedaków,
 takich jak ja,
 tylko zajętych
 oglądaniem filmów,
 gier i prowadzeniem
 rozmów przez komórkę,
 głośno, na cały wagon
 społecznego
 nieszczęścia.
 Moja ostatnia nadzieja
 to wyłącznie myśli,
 pamięć i muzyka,
 która może prowadzić
 na wolność.
 Na najbliższej stacji
 ja i mój pies
 podziękujemy kolei
 i pójdziemy dalej pieszo.

23 V 2018

Jak można?

Jak można
 popsuć niebo,
 popsuć las,
 popsuć morze,
 rzeki popsuć,
 góry popsuć,
 uśpić ptaki,
 uśpić delfiny,
 uśpić lwy
 i muzyce odebrać
 oddech,

jak można?
Strzeżmy się.
Gdy odebrany nam zostanie
nasz własny
wzrok, słuch i rozum,
nie będziemy się mogli
bronić.

27 X 2018

Nie do wytłumaczenia

Do czego ludziom
jest potrzebne zło?
Przecież dobro
jest nieskończenie
ciekawsze.

Niedźwiedź
na łańcuchu,
z odciętymi kłami
i okaleczoną twarzą,
gryziony przez
napuszczone,
oszałałe psy –
gdzieś w Ameryce –
widzieliście?

To dla niektórych
sport i zarobek.

A przecież to
zbrodnia.
Nie do wytłumaczenia,
nigdzie i nigdy
w przepastnym,
boskim kosmosie.

28 X 2018

Gabriela Kurylewicz

Wiesław Mandryka-Bukowiński

To była pomyłka

To była pomyłka...
Koniec bajki, zwykłe urojenie.
Widziałeś ducha,
gwiazdozbiór z przeszłości,
ciąg Fibonacciego,
naiwne marzenie.

Obrazy stają przed oczyma...
Leśne rusałki, zachody słońca,
pożądanie opuszczonych syren,
nimfy strojne w wieńce, dzikie plaże,
Wicehrabia de Bragelonne
i Twoje spojrzenie.

Dziś nie ma już nic,
ostatni pociąg odjechał
Znad morskiej plaży.
W Łazienkach lody smakują inaczej.
Słońce zachodzi za horyzont.
Czy byłeś darem, czy muzą raczej?

Nie musisz mówić, kiedyś zapytam,
nawet jeśli po drugiej stronie tęczy.
Chciałbym wierzyć...
Tak zgrzeszyłem.
Któż jest bez grzechu?

Jutro znowu wstanie dzień,
dziewczyna z chłopakiem
wyjadą nad morze,
a ryby i ptaki na powrót
zaczną śpiewać w Ukajali.
Czy to była pomyłka,
czy Anioła ręka może?

Warszawa 24.04.2019

Wyznanie...

Ciągłe wierzę w siłę miłości,
 czystą, namiętną, prawdziwą,
 bez poklasku, pychy i złości,
 majem pachnącą, wrażliwą
 Tę, co usta w promienny uśmiech składa
 i oczom błękitnego dodaje blasku,
 myśli stęsknione same w słowa układa,
 by serca gorące budzić o brzasku
 Nie słucha ego, ni miedzi brzęczącej,
 jest cierpliwa, ufna, wierna,
 na dobry i zły los, gdy z łzy płynącej
 duszę potrafi czytać miłosierna.
 Szalona, bez zbędnych analiz lub rozsądku
 każdą chwilę wolną chce wypełniać sobą,
 bez słów mówić, to także jest w porządku,
 gdy czujesz jej dotyk, a ona zostaje z Tobą.
 Wtedy, gdy szusujesz po alpejskich stokach,
 Giewont i szczyt Rysów z nią zdobywasz w Tatrach,
 a głowy szalone zanurzać chcesz w obłokach,
 I twarze w zachwycie w górskich smagać wiatrach.
 Gdy plaży brzegiem idąc zapatrzeni tylko w siebie
 Z nią stąpasz, czujesz zimne fale i rozgrzany piasek,
 Z wody wychodzisz nago, Ty dla niej, Ona dla Ciebie
 zziębnięci, drżący lecz czyści, szczęśliwi bez masek.
 Ciągłe wierzę w siłę miłości,
 wzajemną, niegasnącą, płomienną, potężną bez miary,
 Niech ona da nam w radości,
 choć raz poczuć siebie, bo bez niej wszystko bez sensu i wiary...”

Czerwiec 2008

Rozmowa z Bogiem...

Jeszcze wczoraj z ust spijaliśmy słowa,
 Dziś odczytujemy tylko znaki,
 Boże, nie chcemy z Tobą wojować,

Kochałem ją, czy to grzech jakiś?
 O świecie w domu próg
 na rękach niosłem błękit Nieba,
 Teraz w milczenie
 muszę uciekać z tęsknoty,
 Mówisz, nie ten czas, za późno
 i że wyrosłem.
 Jakże mi wierzyć,
 mam przed nią uciec,
 zapomnieć, umrzeć ze zgryzoty?
 Nad ranem dzwonami wieży
 sen Przerwałeś
 Piękny jak pierwsze spotkanie,
 Za rękę brałem, ku Tobie szliśmy,
 Czy Chciałeś
 by było to już nasze rozstanie?
 Pytasz, czy pewien jestem,
 czy pewien jestem, że mnie kochała,
 Czy duszą mówiła, czymś to okazała?
 Nie od dziś, od wieków to już Wiesz.
 Sny mi rzuciła pod nogi, tęskniła.
 Ty zaś bym znaki Twe czytał chcesz!
 Mam opanować wiatr, co gasił świece
 i okrutny, bezkresny wzniecił pożar?
 Ty dajesz czas, czekasz, aż wyleczę
 gorycz i utopię ją w zimnych zorzach...
 Dziś los nam nie sprzyja,
 Zatem mnie ukarż, Ją oszczędź.
 Nie! Weź w opiekę wszystkich.
 Przecież to winna niczyja,
 Mówiłeś, że przykazanie,
 że nasza na Ziemi tu ostoja.
 Każdy chce kochać, być kochanym!
 Czyż to nie jest wola Twoja?

Warszawa, lipiec 2008

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

Pieśń milcząca

*Pamięci polskiej patriotki
Anny von Freyer z Lund*

Salve Regina
każde słowo milczeniem się kończy
i milczeniem zaczyna

każda litera płaczącą

pieśni pogrzebne
czarnymi tonami śpiewają
jesteś
naszą łzą po bezdrożach się toczącą

czekała na wnuka

przywieźli go zaraz po urodzeniu
biel i czern
spojrzenie w spojrzeniu

nad ranem zasnęli

pieśni
anielski chór
w białych sukniach i białych chustach

wnuk się obudził
Ania nie

odchodząc
imię jego miała na ustach

byłaś białą białością

i taka odchodzisz
drogą
ze szpalerami lilii
białych
jak pierwsze przebiśniegi na śniegu

my zostaliśmy sami
uboższy
idący powoli żałobnie
w opustoszałym szeregu

Salve Regina
pieśń brzmi rozbiega się w górę unosi
trwa
na ustach męża na wargach syna

mrok
jasnym płomieniem płoną białe świece
i
czarny cień odrywa się od czarnego cienia
jak dusza co się od ciała odłącza

Salve Regina
odchodzisz drogą która nie ma końca
a
twoją twarz ta pieśń śpiewem przypomina

chwała Ci chwała
żałobnicy rozejdą się będzie noc
a
pieśń nadal będzie brzmiała

Salve Regina
w modlitwie męża miłości syna
Salve Regina

Amen

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Chodzi po lesie

Chodzi po lesie, próbując odnaleźć drogę, wyjście,
i powtarza sobie, że trzeba kuć żelazo, aby nie ostygło.
Jakie żelazo, skąd się wzięło, nie szepcze jeszcze,
ale powoli zmienia spojrzenie na niebieskie,
dostrzega liście, czuje całym ciałem, że świat się rozpierzchnął
od wynalazków z metalu, przewodzącego prąd połyску,
że właśnie ogień, straszny płomień niszczy wszystko,
co pomyśli głowa, i że można wracać do domu
tylko po to, żeby stalową stalówką dokończyć
pisanie powieści,
po nic więcej.

Nie powinno mnie martwić

Nie powinno mnie niepokoić to,
że idąca w poprzek ulicy
ma tak porywające nogi,
tak kształtny zarys bioder
i klatki piersiowej
z profilu,
ten ruch gięcia cięciw,
zachwycająco nośny nos nad wargą pewności,

lecz lepiej by było,
gdyby szła sobie dalej milcząco,
nawet choćby przekornie, z mruganiem powieką,
poprawianiem ust języczkiem, ale niech idzie.
Bo cały jej ładunek może syknąć ogniem,
gdy sama tego nie rozumiejąc,
zapragnie pociągnąć na dno.

Pies wybiega

Pies wybiega gwałtownie z domu
i z nosem przy ścieżce pełnej śladów
sprawdza którądy wychodziłaś
a potem pędzi w drugą stronę by skontrolować
czy wczoraj tą samą drogą przyszedł z powrotem
Żaden dobry pies niczego nie jest pewien
powiedziałem do niej i od razu zgadła
że wszystko jest jak trzeba

Piotr Müldner-Nieckowski

Alicja Patey-Grabowska

Ballada o stokrotce

Pamięci Marii C.

Zmarła poetka
mało znana
w szpalerze róż
kropelka biała

Zmarła poetka
Nikt o niej nie pisze
Milczą nekrologi
Tylko wiatr kołysze
drzewem pod którym
wiersze pisała

Zmarła poetka –
stokrotka biała
W szpalerze róż
skromnie schowana

Los sprawiedliwy
wytnie róże
bo takie piękne
takie duże

Stokrotka zostanie
głęboko schowana
bo taka skromna
i taka mała

I ktoś ją wreszcie
kiedyś dostrzeże
zamieści w słowniku
w komputerze

Czas sprawiedliwy

wyciąga w końcu
z cienia tych skromnych
I stawia w słońcu

Szept Gai

Kręci się
kręci
Historii Koło

– To wszystko było
szepcze Gaja

O potopie
śpiewał Gilgamesz
dobry bóg Enka
Ziemię ratował.

To wszystko było

Rozpacz dinozaura
gdy gniazdo osłaniał
przed błyskawic ciosem

Biegną bizona
poprzez ściany jaskiń
Tysiące lat
pod stalaktytami
Dłoń odciśnięta
w rytualnym szale
Uwiecznić czas
Zatrzymać walec

A ty współczesny
zatrzymasz koło?
Gdy nie Nemezis
ale grzyb atomu
wessie pod kapelusz

ludzkie mrowisko
Tysiące lat
rozsypie się w proch

I brama w Ur
jaskinia w Lascaux
stare foliały
i stare księgi
mózg co wymyślił
i mózg który zniszczy

– Było I tak będzie
Złowieszczy Gaja

– A ja zostanę
z zieleni odarta
z tłącym się życiem
w serca zakamarkach

Poeta i historia

Spadają chodniki
Zmieniane imiona ulic
Politycy unoszą się ku niebu
skrócenii o głowy

Tylko poeta
niezmiennie piszący o miłości
spowity w cień –
Bezpieczny kokon
w tajfunie
Historii

Z przygotowanej do druku książki „Znaki Zodiaku”

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

czarka przy czarce
walentynkowa sencha
w spękanych dłoniach

srebrne wesele
kwitnie na grządce męża
pierzysnek

który to już raz?
uniesiona spódniczka
gdy upalny wiatr

ostatnia chwila
przed wiosną syn ścina
starą gałąź

nowe siewy
a ty wczorajszy porze
tkwisz w ziemi

płatki peonii
na ziemi i one
one też

na rozstaju
kapliczka i mapa
zakryte liśćmi

Krzysztof Saturnin Schreyer

Dziwne spotkanie

Było to dość niedawno, na wielkiej polanie
podejrżane spotkanie miały dziwne panie.
Jedna twarz miała białą, cicha i stateczna,
a nazywała się Nadrzeczna.
Druga, strasznie pękata, ale nie obleśna,
miała w dowodzie Nadleśna.
Trzecia, z włosiem rozwianym, żywa i swawolna –
nazywała się Nadpolna.
Czwarta, dość wysoka, kulawa i surowa –
mówiono na nią Nadwsiowa.
Piąta, żywa, krzykliwa i trochę zadziorna
nazywała się Nadjeziorna.

Nietrudno pojąć moje zdumienie.
To musiało mieć jakieś znaczenie!
W gałęziach drzewa dobrze ukryty
z widokiem dobrym, wręcz znakomitym,
śledziłem te dziwne panie
a one jadły śniadanie.

Potem wszystkie pięć, hop, uniosły nóżki
i pofrunęły, bo to były wróżki.

Cóż, takie sobie, nie bez wad
lecz szczęśliwe, bo każda n a d.
Nadleśna frunęła nad lasem,
a Nadjeziorna nad jeziorem,
Nadrzeczna szerokim torem
pomknęła oczywiście nad rzeką.
Nadwsiowa była trochę kaleką,
więc spoczęła na chwilę w stodole.
Nadpolna poleciała nad polem.

Aż nudna ta wyliczanka
co potem? Ano polanka,
na którą wszystkie wróciły
i obiad sobie zrobiły.
Chcecie zapytać mnie z czego?
Z ziarna, zająca zdechłego,
z wody z rzeki i szyszek z lasu,
bo miały bardzo mało czasu.

Wszystkim się bardzo śpieszyło lecieć w świat,
bo przecież były i lubiły być n a d,
nad rzeką, nad lasem, nad polem,
nad wioską i nad jeziorem –
Panie Nadrzeczna, Nadjeziorna i Nadpolna,
i Nadwsiowa, a każda szczęśliwa i wolna.

Oto z mojego śledztwa sprawozdanie.
Należy mi się order i uznanie.

1 III 2018

Jesteś mi stale potrzebna

Jesteś mi stale potrzebna
w świecie, co niby normalny,
w którym mnie boli tak wiele,
choć żadnych klęsk tu fatalnych,
a siła zła jest dość zgrzebna,
z fałszem, obłudą na czele.

Bolą kąśliwe cwaniactwa,
niewinne, skryte matactwa
i z prawdą igraszki chłodne,
gdy fakty zbyt niewygodne.

Już nie wiem, z kim walczyć trzeba,
gdy strumyk zła się rozlewa,

a jeśli walczyć, to po co?
Jak? Z mętłą wodą? Szaleństwo!
Pół we śnie miotam się nocą –
natrętne, zbędne męczeństwo.
Lecz znika, gdy jesteś przy mnie,
czuła na gorzkie westchnienia.

Ból mroczny w bajkę się zmienia,
kiedy mnie prosisz niewinnie
do tańca i świat wiruje
i znika jego brzydota.

Twe serce na moim czuję
i nagle wraca ochota
do życia, które przy tobie
wybucha „w całej ozdobie”!

Na wszystkie plugastwa świata
pełznący, swąd codzienności,
jedna jedyna jest rada:
ty w złotym kręgu miłości.

21 II 2019

Z przygotowanego do druku tomu „Znaki zodiaku”

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Pożegnanie

1 maja 2019 roku o godz. 15.00 Jadwiga Bogusławska napisała:



„Kochany
Nie nienawidź mnie, jeśli tylko możesz
Będę za tobą tęsknić
Na zawsze pozostaniesz moją Pierwszą Miłością”

Ostatni dotyk kobiecej dłoni

Od tej pory już tylko
Własna ręka
Będzie mierzyć boskie wyroki
Wciąż zapadające
Między moimi nogami

Jerzy Śleszyński

Wielka noc 2019

Dedykowane I.D.

To jest okres poza czasem
odległe planety obojętnie wirują
sen niczego nie zaczyna i niczego nie kończy
dzieje się scenariusz napisany w obcym języku

nic nie zależy od ciebie
co było nazwane twoim życiem
jest odgrywane jak sztuka w kiepskim teatrze
albo film rzucony na kostropatą ścianę garażu

godzina po godzinie zmęczenie
cała treść jest teraz między wierszami
ktoś boi się obiecać dobre zakończenie
rozmowa z paliatywem który patrzy gdzieś w bok

wrażenie że to wszystko już kiedyś było
toczy się nieuchronnie jak lawina kamieni
w głowie pytania srogie i ostateczne jak sąd
a odpowiedź znajduje się w zalakowanej kopercie

w środku nocy wezwanie
jak dłoń wynurzająca się z toni
z pazurami zakończonymi ostro jak dyżur
w oczach fosforyzująca niebiańskość pogotowia

nikt nie podpowie
czy warto przebudzić się
czy warto zmartwychwstawać
z pierwszym promieniem wiosennego słońca

Sen i jawa

Miałem sen
koszmarny sen

wokoło ludzie pozornie nieobecni
twarze ciastowate i pomarszczone
twarze pryszczate i stulone w lisi pysk
kanciaste sylwetki w wytartych płaszczach
wózki na zardzewiałych i krzywych kółkach
zniszczone foliowe torby w sękatych dłoniach

kiedy ktoś schylał się po skórkę chleba
nagle dwóch osobników obalało go na ziemię
a trzeci wpychał sobie ten kęs palcem w gardło
kiedy ktoś wyciągał rękę z menażką po zupę
ktoś inny wrywał menażkę i uciekał z nią
ktoś obok śmiał się przeraźliwie i histerycznie

miałem sen
ale te same twarze widziałem dzisiaj w autobusie
patrzyli niby przed siebie niby mnie nie widząc
ale bałem się i miałem całkowitą pewność
że na sygnał dany przez życie przewrócą mnie
zdejmą mi buty i kurtkę i dadzą w łeb

Jerzy Śleszyński

Konrad Sutarski

Pali się Notre Dame

Pali się Notre Dame płonie Europa
w płomieniach czezną historia i krzyże
a tłumy gapią się wokół bezradnie
i klękając w spóźnionej rozpacz
modlą się słowami zapomnianych pacierzy
ręce wznosząc do żarzącego się Boga

A gdzie strażacy obrońcy dusz i sumień
oni już meczety wznoszą
bezpłciowe dzieci uczą co to gender
jak może zapładniać męczyzna męczyznę
aż lesbijki przystają zdziwione

Zaś półksiężyc na niebie
błyskawicą „Allah akbar” rysuje
ziemia drży w przerażeniu
i zalewa się deszczami wichurą szalejąc
Boże chociaż płoniesz
użycz nam swej siły

IV 2019

Ég a Notre-Dame

Ég a Notre-Dame lángol Európa
történelmünk s keresztek hamvadnak a tűzben
köröttük bámsz tömeg tolong tanácstalan
térdre omol nagy keservében
és mormol rég elfeledett imákat
karjait emelve az izzó Isten felé

Hát hol vannak őrzői a szív s lelkiismeretnek
ők már mecseteket emelnek a földből

nemi tudatukat veszített gyerekeknek súlykolják a gendert,
hogy férfi férfitől miként foganhat magzatot
még a lezbikusok is szájtátva megállnak

A félhold a sötétlő égen
villámolva "Allah akbar" - t kiállt
a föld megreg rémületében
és esőekkel zúdul ránk őrző viharokkal
istenem bár lángolsz
adjál nekünk erőt

2019. IV.

Konrad Sutarski

Kazimierz Świegocki

Cień nad Europą (Wschód – Zachód)

Podniósł się ziemski glob jak zwierz kosmiczny.
Wbił w gęste niebo gór himalajskich pazury
i czeka: aż krew popłynie z otwartego nieba.

Niżej doliny płyną i liżą mu kamienne stopy.
Morze lessowe wyrzuca co dzień na powierzchnię miliony,
które gniew o głód ostrzą, dłonie o noże,
jakby składali przysięgę nieznanemu bogu,
gotowi iść w śmierć za każdym jego dzikim pomrukiem,
promem Tybetu przepłynąć ziemię w poprzek.

A z boku Europa – córka słonecznej Hellady,
trwożna bogini wolności z stopami w Morzu Śródziemnym
wsparta o szczyty alpejskie; włos jasny Gór skandynawskich
ocean jej chłodzi północny.
Patrzy bogini i widzi: na wschodnie obszary nieba
czarne słońce się wtacza, za którym jak za czołgiem
idą miliony z okrzykiem: ryżu, ognia, krwi, chleba.
Słucha bogini i słyszy, z dna wieków jak mówią kamienie:
byli tu głodni i dzicy, ich cienie koczują w ziemi.

A Ziemia jak ptak obłąkany lękiem w firmament wrosła,
leci i nie wie, czy siła w noc ją popędza, czy rozpacz.

Ziemio, nasza kołysko skrzypiąca w ciemnych przestworzach
gniew im odejmij i ucisz krwi dzikiej i dłoni pożar!
Gór napięte cięciwy rozluźnij jak uśmiech dziecięcy,
jeżdźcom dzikim na stepach włócznie na kwiaty pozmieniał!
I niech chmury ogniste spłyną do morza rzekami!

Ziemio – koniu kosmiczny, rżący żałośnie w przestworzach!

1968

Grzegorz Walczak

Dzieciństwo¹

Trawa liże moje stopy.
Z nieba spadają drzewa.
Klucz dzikich gęsi wystrzelił.
Znieruchomiał pejzaż.

Stał przede mną listonosz
z twarzą niby zagadka.
Telegram sprzed wojny – której?
Dlaczego tak długo nadchodził?

Do moich rodzinnych Puław
aż tyle przekroczyć granic
trzeba, aż tyle piekieł
pamięci nieustępliwej?

I jeszcze te lody z piasku!
Nic tak nie było wyborne.
Życie się mi zapowiada
jak fantastyczny poemat.

Ile uniesień na sianie,
ile marzeń, przyjaźni,
które Kirke złośliwa
szybko w świnie zamieni!

Rozdarte niebo wystrzałem.
Ojciec w nim niby w ołtarzu
błogosławi kołyskę
i matkę, co ze mną ucieka.

Ruscy dali mi zupy,

1 I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. G. Herlinga-Grudzińskiego 4.04.2019 r. (Nagroda Marszałka Województwa Mazowieckiego)

dobrzy to przyjaciele.
Ojca nie muszą zabijać
bo już go Niemcy zabili.

Las mój pocięły transzeje.
Mam cztery lata i szarpię
deski z płotu na opał
bo przyszła ostra zima.

Ruska doktorka przeklina,
że ją ubiegłem w tym szabrze,
ale mnie leczy do końca,
gdy na dyfteryt mam skonać.

W pokrzywach ścigam zaskrońca
mego dzieciństwa daremnie.
Zamiast niego unoszę
minę, co huknie na starość.

Potem się toczą jak tanki
dni okupacji tej drugiej.
W chruśniaku szukam zbawienia
od kielkującej już żądz.

Dziewczynka puls mi bada
w miejscu najbardziej wstydlwym.
Płoną sztandary majowe,
stonkę rozsiewa podżegacz.

I nie wiem, czy mam wierzyć
Pismu Świętemu i Prawu,
czy temu, który powiedział
że umarł nasz dobry Pan Bóg.

W piersiach mych dzwon się rozdzwonił
śmiercią mej matki rażony.
Potem już tylko liczyłem
coroczny wyrok kukułki.

Ile lat do miłości,
ile wiosen do śmierci,
ile żon, ile dzieci,
ile tańców z Cecylią?

A kiedy obcy ją skrycie
w noc studniówkową roztwierał,
obudziłem poezję
z chłopięcego cierpienia.

Baju, baju – młodości,
poro ty nieulekła,
ziemio ty obiecana,
patetyczna i święta.

W ciebie mnie wiedli bogowie
na czele z Apollinem,
w białe mleczne bezdroża
pogubione o świcie.

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Rzeki nieujarzmione

W pewnej dalekiej krainie sprawował władzę dobry i mądry król. Jego dobroć sprawiała, że nikt z poddanych nie był ani biedny, ani opuszczony, a mądrość jego przejawiała się w tym, że nikomu niczego nie nakazywał.

W królestwie panowała idealna harmonia: każdy obywatel dokładnie wiedział, co ma robić i jak się zachowywać, by nie szkodzić innym. Zdarzały się co prawda wyjątki od reguły, ale usuwali je sami poddani, tak że król nawet się o tym nie dowiadywał.

Panowała powszechna szczęśliwość. Na tyle, na ile to możliwe, bo przecież i w ziemskim królestwie powszechnej szczęśliwości nikt nie jest nieśmiertelny. Dotyczyło to tak zwykłych ludzi, jak i samego króla.

I zdarzyło się któregoś dnia, że dobry i mądry król bezdzietnie umarł ze starości, a po nim nie miał kto przejąć władzy.

Jako że w królestwie wszyscy byli równi, powstało zamieszanie. Nikt nie chciał objąć tronu, bo nikt nie czuł się wystarczająco mądry i dobry.

Bezkrólewie trwało jakiś czas. Nie było jakoś specjalnie dla państwa dolegliwe, mimo to wszyscy szeptali, że w końcu musi się znaleźć następca tronu.

Niebawem pojawił się w stolicy tej krainy przybysz.

Początkowo niczym się od innych nie odróżniał. Przejął panujące w krainie obyczaje, lecz niektórzy zauważyli, że dziwnie się jakoś rozgląda, ciągle coś notuje i kreśli jakieś plany.

Nie pytając o nic nikogo, wnet zaczął zaglądać do opuszczonej sali tronowej i – niby z ciekawości – zaczął zasiadać na królewskim tronie. Któregoś dnia tak się w nim rozsiadł, że już się z niego nie ruszył.

Na inaugurację swojego panowania wysłał we wszystkie strony heroldów z zadaniem ogłoszenia poddanym nowych zasad życia w królestwie. Przede wszystkim, pod groźbą kar, zakazano swobodnego przemieszczania się. Samozwańczy król zapowiedział też budowę nowej stolicy. Jej oś miała stanowić prosta główna ulica, wzdłuż której miało się odtąd toczyć życie mieszkańców. Wszystkie pozostałe ulice miały odchodzić od niej. Miało to służyć uporządkowaniu i kontrolowaniu życia mieszkańców, by każdy robił to, czego oczekuje od niego władca. Podobnie miało być we wszystkich miastach, miasteczkach, wsiach i osadach królestwa.

I tak też po kilku latach intensywnych prac się stało.

Ludzie nie mieli wyboru: po kilku latach stali się zupełnie innymi osobami. Byli przewidywalni i wszyscy tacy sami. Udzieliło się to również krajobrazowi, roślinom, ptakom, owadom, rybam, wszystkiemu stworzeniu, a nawet kamieniom.

Była sobie dzika rzeka. Płynęła, jak chciała i czyniła krajobraz pięknym. Wszystko, co było w niej, obok niej i w jej okolicach, stanowiło cud idealnej harmonii. Na przedwiośniu rzeka wylewała i stawiała się wielkim weseliskiem ptaków. Wiosną zstępowało na nią słońce kwitnących kaczeńców. Latem, wyciszona, nieśpiesznie poruszała się swoim korytem. Jesienią płynęła we mgłach. Zimą zamarzała, by na przedwiośniu znów sypnąć na rozlewiskach ziarnem ptasich głosów i lotów.

Aż pojawił się ktoś, komu nie podobała się jej wolność. Powinna, jego zdaniem, być prosta i przewidywalna. Jak jego plany, w których wszystko było rysowane przy linijce. Gdyby ktoś zakrył część każdego z nich, wiedziałby co jest w brakującej części. Prostokąty, trapezy, równoległoboki, romby...

Ten to człowiek dotarł do miasta, które właśnie pochowało swego króla. Ten to właśnie człowiek objął po nim tron.

Ale i on przeminął, a rzeka... Rzeka na przedwiośniu rozlała się. Jak szybko płynęła, wiedzą płynące nią kartki, pełne tabelek, wykresów, cyferek i linii prostych.

Mędrzec i wieśniak

Był sobie kiedyś pewien mędrzec, który znał kilkanaście języków i posiadał wiedzę kilkunastu innych mędrców.

Był też sobie kiedyś pewien prosty wieśniak. Zasób jego słów był bardzo ubogi; ot, taki do komunikacji z najbliższymi, z sąsiadami, by coś w urzędzie załatwić i rozumieć co ksiądz na mszy mówi.

Wiedzy miał tyle, co mu skowronek nad łąką wyszczebiotał, co mu krowa zamuczała, co żmija na kamieniu zasyczała, co chmury, wiatr, deszcz, co śnieżyca, co szron na zeschłych trawach w swoim języku mówiły, co ziemia czarna sapnęła, niebo przejrzyste wygarnęło mu przestrzenią niebieską i co woda mu wyszemrała.

Umarł mędrzec, a gdy pomarli także jego potomni, na miejscu jego mogiły wyrósł krzew o tak splątanym gąszczu, że nawet mysz w nim nie mogła się schronić ani ptak uwić gniazda.

Krzew szeleścił kilkunastoma językami i między gałązkami rozprawiał o mądrościach tego świata.

Tylko że nikt, poza nim samym, słowa z tego nie rozumiał.

I umarł też prosty wieśniak.

Gdy pomarli jego potomni i nie miał już kto dbać o jego mogiłę, wyrosła na niej sosna. Z biegiem lat rozłożyła się w niebo i na boki w najpočetnějsze drzewo w okolicy. Była krępa, przysadzista, odporna na wichry, mrozy i pioruny. Prościutkim pniem wskazywała niebo. Ptaki w niej zakładały gniazda, biegały po jej gałęziach wiewiórki, kuny, popielice, rzucała wędrowcom cień.

Aż razu któregoś przyszli ludzie i wycięli krzew z mogiły mędrca. Do niczego się nie nadawał, jak tylko do ogniska.

Gdy płonął, ogień syczał kilkunastoma językami, ale nikt tego nie słyszał.

Razu któregoś przyszli ludzie i wycięli też sosnę z mogiły wieśniaka, która ze starości osuwała się na ziemię.

Wywieźli ludzie ogromny pień do tartaku i przetarli go na deski.

Siedzą przy sosnowym biurku znający po kilkanaście języków mędracy.

Próbują odczytać cokolwiek ze słojów drzewa, z którego zrobiono ich biurka, ale niczego nie mogą zrozumieć.

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Bielecki

Nóż

(fragmenty)

Jakby tak Solskiego na pół przekroić, to pół Solskiego, to pół uszczypliwe, rzadko się w nim odzywało. Na rzecz tamtego – gdyby tak nożem – drugiego pół. Które czerpało z miłości pełną piersią i rozdawało uczucia jak kartki na cukier. Oto pokraczna dobroć Solskiego...

Która realizowała się na przykład w przyjaźni z Dulą Feliksem, starszym referentem, u progu głównej księgowości, w Powszechnej Spółdzielni Spożyców „Społem”. Nieszczęśliwym. Jak Bóg miły. Bo zakochanym bez konsekwencji. Czyli bez pożądaných aktów. Czego Solski ze swoją dezynwolturą pojąć nie mógł. Konsekwencje bowiem sypały mu się jak z rękawa. Podczas gdy Dula Feliksowi nie. I to nie żeby mu coś los ujął. Na honorze, na umyśle czy na ciele. Natura względnie sownie Dulę obdarzyła. Pozbawiając go jednak umiejętności urzeczywistniania zakochania. Gdzie mógłby z obiektem nie tylko, choćby w okienku pocztowym, porozmawiać, a nawet pogawędzić. Ale poczekać po pracy na obiekt. I udać się z nim przejściem podziemnym; właśnie oddanym do użytku. W kierunku parku Zawadzkiego, LIM-u i w głąb. Gdzie zakochany mógłby udać się także w głąb obiektu. To znaczy, nie, Boże broń, nie od razu! Lecz niechby za siódmym razem.

– Siódmym razem?! – krzyczał na przyjaciela Solski. – Za siódmym razem, za siódmą rzeką. No nie, Feliks, tak nie można. Nie doczekasz się tych upragnionych konsekwencji zakochania, to znaczy fizycznych uniesień!

– Jak to?! – unosił się Dula.

– Nie licz. Kobieta to nie księga rachunkowa! – klarował Solski. – Kobieta to księga. Niczego nie wyliczysz. Tu musisz z jakąś poezją się ukazać, z czymś między słowami. Z taką poezją z siebie wydobyć, nie żebyś na przykład z nietrwałym Sępem wyskoczył, Sępem-Szarzyńskim.

– Jezu, przyjacielu, jakże to wszystko...

Solski chował twarz w posępnych dłoniach, gdy tak siedzieli u Duli Feliksa w mieszkaniu przy ulicy Długosza i analizowali dzień przeszły.

Tocząc pochłonięte sobą rozmowy. W tle leciał *Bielszy odcień bieli*. Krzesła uwierały, bo nie były wyściełane, tylko takie, jakby je Dula w biurze skroił. Lampa na biurku się kołysała. Niby dokręcona była na stałe, lecz niestaranie. Przez co cienie na ścianie wędrowały. I oni, tacy przyjaciele od serca, a trochę z bożej łaski, która się nad nimi roztaczała, szli za tymi cieniami nie wiadomo dokąd. No bo dokąd, skoro Duli nie szło?

Bo wracając do wspomnianego już okienka pocztowego na poczcie kolejowej. Urzeczywistniała się tam kobieta o imieniu Mariola. Którą Dula jak na złość sobie upodobał. Podczas gdy ona, jak on, ustawicznie grzeszyła nieśmiałością. Co, gdy raz z wizytą towarzyszył Duli Solski, doprowadziło Solskiego na skraj. Gdy doszło do zakupu znaczka, przecież już siedemnastego, jak siedemnaście jest mgnień wiosny, oczywiście zbytecznego:

– Czy mógłbym znaczek?

– Jaki, panie Feliksie?

Bo już się znali z imienia, to dobrze.

– Krajowy.

– Poprzednio – zauważyła pani Mariola – też był krajowy.

– No, a jaki mógłby być jeszcze? – ściszył głos Dula.

– Zagraniczny – westchnęła Mariola.

– Zagraniczny to nie wiem – posmutniał Dula – czy w moim życiu wystąpi.

Gdy tymczasem Solski już topił się w myślach i ubolewał nad potwornym brakiem Duli. Że nie dysponował szaleństwem. Że przecież można chociaż do Świnoujścia się udać i marynarzy pooglądać.

Co tłumaczył potem Duli, że nie wolno mu się dzielić z zainteresowaną swoimi ubytkami. Że musi nie być. Nie, być, ale nie być tym, kim jest, a kimś innym, z rozmachem. Że jak się zamachnie na życie, to zainteresowana popamięta. Po takie sięgną horyzonty. Takie zasłony ściągną. Że po prostu! Bo inaczej nie doczeka się żadnych płciowych konsekwencji. A w ogóle z tą Mariolą, to czy musi być Mariola? Bo ona też w nieśmiałości jakaś bezpłciowa. „Zagraniczny” to powiedziała tak głęboko lirycznie, że Dula mógłby się w trakcie ewentualnego zbliżenia pogubić. I już nie chodzi wcale o tego idiotycznego Platona i nietykalność osobistą, ale właśnie upragnienie takie, że cholera wie, co w takich wypadkach robić. Bo kobieta szuka liryki z dozą wyuzdania, czeka nie wiadomo na co, a tu przecież się mężczyźnie spieszy i gorączkuje. I w sumie Solski nie wie, czy Dula by podołał chwiejnemu płomieniowi uczuć Marioli. Takiemu płomieniowi palącemu

grunt pod nogami. Pod nogami Feliksa. Bo tu mogłoby się okazać, że konsekwencja musiałaby mieć, za przeproszeniem i naturalnie w cudzysłowie, formę sonetu. Czyli spotkanie ciał musiałoby być tak liryczne; z takim jakimś niebem, gwiazdami, ciałami niebieskimi, firmamentem w ogóle niepospolitym, że to zasadniczo trudno spełnić. Bo człowiek swoje, a reszta stworzenia swoje – i to nie musi się zgrać w jedno. I ostatecznie Mariola mogłaby ulec rezygnacji, jeśli wymagania przyrody miałyby nie sprostać oczekiwaniom. Bo Mariola to może być taki koszmarny przypadek kobiety roszczeniowej. I takie Solski ma przecucia odnośnie westchnienia Marioli pod adresem zagranicznego znaczka pocztowego.

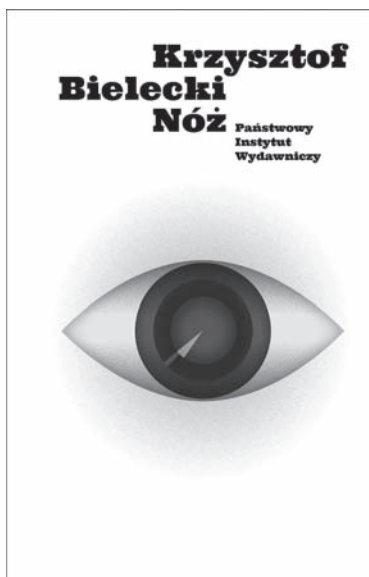
Już nie mówiąc najgorszego, że Mariola, wbrew nieśmiałości, oferuje Feliksowi tylko kamuflaż. By wyrwać się z polskiej rzeczywistości i oddalić, wystarczy, do, *auf Wiedersehen*, NRD.

Kawalerska samotność Duli zaczęła z biegiem czasu zaglądać do kieliszka. Wypisywać na ścianach klatki jakieś dyrdymały: „Kiedy przyszłość jak nie teraz”, „Odkroję życie nożem i rzucę psom”, a raz „Nie przetrwam”. Ale trwał. Wystraszony nietrwaniami. Brakiem życia. Doszczętną nieobecnością. I to nawet nie tym, że szlus, nie. Starszego referenta przerażało już to, co następuje wcześniej: obojętność życia. Że jego życie zubożeje na niego samego. Że los mu odpuści i powie, skądś z zaświatów się pokaże z jakąś ogromną pieczęcią Głównego Księgowego: no to dość, Dulo, doli twej dziewiczej, zdziwaczalej. Zacznie coś Główny Księgowy mamrotać pod nosem. Jakieś niezrozumiałe wyrazy, z „nadprzyrodzeniem” na czele. Z tym pozagrobowym mruczeniem, skłóconym z majestatem. Jeszcze Mu tylko do Ust włożyć mistyczny niedopałek papierosa i kazać spytać Dulę: masz, Dulo, ogień? Nie ma we mnie ognia, Panie, bynajmniej. I Główny Księgowy postawi stempel. Strąci popiół na ziemię. Jakąś pętlę na szyi zawiąże. I krzesło, buchnięte z biura, odkopnie. Bo już będzie doła Duli wypalona. I Głównemu Księgowemu obojętna ze wszec i po wsze. I dół się Duli ostanie. To się, Dula, policzyliśmy. Powie Główny Księgowy. I zniknie za drzwiami niebios. Za jakąś Wielką Liczbą. Za jakąś Wielką Niedźwiedzią. Dziewicą.

Z rachunków wynika, że sto sześćdziesiąt sześć razy śniło się Duli, że na głowie zamiast włosów ma popiół. Raz, że to zmarła mama pocałowała go w czoło. Oraz cztery razy, że jedzie Siemiradzkiego w stronę Pekaesu pocztowym wózkiem bagażowym z Mariolą. I Mariola też nie ma włosów, tylko popiół. I trzymają się za ręce z kamienia. Wózek pcha Solski.

I jak tak Dula z Solskim gadał, gadali, na tle cieni na ścianie, na tle Wyżej Wymienionego, o tych kobietach i konsekwencjach, to przecież i ten, i ten, tak odwrotni, Dula i Solski, Solski i Dula, widział, widzieli, że się żyje. Mimo i wciąż. I że życie jest jak skóropodobna aktówka referenta Duli; wytarta od wiecznego noszenia. W której są akta, a nie akty. Czyli nie to, co trzeba.

Krzysztof Bielecki: *Nóż*
 PIW, Warszawa 2019
 Oprawa twarda
 ISBN: 978-83-662-7204-0
 Liczba stron: 276



Tamara Bołdak-Janowska

Krótki dialog położniczy

Tamary BeJot i Tola Szaleńczyka

o pustce

Tamara BeJot: Tolo, co to jest pustka? Nie jak u azjatyckich buddyśtów. Jak u nas. Tu i teraz. W życiu, a nie poza nim. Nie tak, że jesteśmy naszkicowani na pustce jak na tablicy w szkole czy na ekranie. Albo na piasku. I może zaraz stwierdzimy, że nasza ręka czy noga to omam. I dziecko to też omam. No to co to jest pustka? To nie jest nicość czy Nic, czy nieświat. Zmieszam jednak trochę azjatyckie rozumienie z naszym. Ostatecznie sama jestem mieszkanką Europy i Azji. No, więc ani Siunjata, ani pustka schizofreniczna, ani astronomiczna. Wybierzmy pustkę, o której możemy myśleć i która wciąż jest czuciem, pełnym uczuć i myśli, i oprzyjmy się o poezję, bo poezja wszak ubiera pustkę w życie, unika politycznej radykalności, chwytą chwile i czyni z nich stałość, czyli zróbmy mieszkankę Siunjaty z Europjatą, a wiersze weźmy od autorów najbliższych, z naszego miasta, i nie szukajmy ich po kontynentach czy po Ameryce. No to rozmawiajmy o Europjacie. Nie wiem, czy to dobry neologizm, ale niech będzie.

Tolo: Ja mogę mówić o pustce w sensie: to było i tego już nigdy nie będzie. Sen czy wspomnienie to rodzaj pustki? Czy nadal życie? Sądzę, że to nadal życie, ale zarazem pustka – jeśli nikomu tego nie opowiem. Ktoś bliski, ktoś drogi umarł, to mam po nim pustkę. Mam pustkę po rodzicach, których już o nic nie spytam i nie usłyszę odpowiedzi. Pustka to stan po. Po kimś, po czymś. Nawet po drzewie mam pustkę. Już zdążyłem jakieś drzewo pokochać, a tu mi je wycięli. Było zdrowe i piękne.

BeJot: Pustka do doświadczenia tragiczne. Indywidualne doświadczenie pustki, jak to proponują buddyści, nasi, zachodni, nie zadowala mnie, bo uważam tak jak ty, że to stan po obecności czegoś, kogoś, nie zaś przed moją obecnością gdzieś tam, po życiu i to w formie czującej nową pustkę. Znowu jestem szkicem? Nie jestem w stanie wytrzymać siebie jako szkicu na pustce i na nowej pustce, i tak w kółko wieczności. Chcę żyć tyle, ile mi pisane, tu i teraz, i chcę o tym opowiadać. Ponadto nie chcę doświadczać pustki w medytacji, żeby myśleć po zachodniemu i chwilowo,



w relaksie sytych, że świat nie jest ważny, że ciało nie jest ważne, że pamięć nie jest ważna, że słowo nie jest ważne, że dziecko nie jest ważne, że dom nie jest ważny i mogę walać się w rowie, bo czy dom, czy rów, to przecież szkic na pustce, omam, marna zasłona, Maja, czy jak tam to nazwiemy. Ja chcę opowiadać, pisać o życiu tu i teraz, nawet o snach, o przeszłości, o pamięci, nawet o tym, jak pokrzywa wytrzeszcza modre pogniecione oczy, a patyk ma żółty zad i zadarty czarny ogon. Zachodni buddyzm nie zrozumiał swego statusu: „Pustka jest formą, a forma pustką”, czyli tu i teraz jest życiem, a życie jest tym, co stanowi tu i teraz. I nasza pamięć, nasze sny, nasze myślenie to jest życie tu i teraz, ale zawierające przeszłość i przyszłość w formie myślenia o niej poprzez obrazy kognitywnie śnione i te na jawie. A już na pewno nie znoszę literatury bez formy, tej pisaniny o jednakowym stylu, wymuszanym przez wydawców, przez ich redaktorów. Jedni wymuszają pisanie bez przymiotników i przysłówków, inni zakazują powtarzania słów. Co za brednia ze strony kierownictwa literatury, tych inseminatorów, niszczących bogactwo języka, styl! Toż to pozbawia literaturę esencjalności. Wdałam się na FB w spór na ten temat. Obraziłam inseminatorów. Bardzo. Przeczytaj mi swój wiersz o naszej córce. Chcę usłyszeć istotę pustki po niej, formę tej pustki. Tu masz stronę.

Tolo: Czytam, skoro bardzo chcesz.

ŁAGODNOŚĆ

Tańcz, zmarła córko.
 Tańcz pod powiekami.
 Taka mi bądź na zawsze.
 Tańcz pod poczerniałymi
 lusterkami w jasne falbanki,
 pod słonecznikami.
 Tańcz.
 Nawet jak wycinanka tańcz
 w wycinankach narcyzów.
 Tańcz mi wszędzie,
 dokądkolwiek pójdą moje oczy.
 Niech świat tobą nadal łagodnieje.

BeJot: Nasza córka była za łagodna. Tak. Nie zapomnę słów Jolanty Brach-Czainy, o niej. Kiedy powiedziałam, że nasza córka była jednoznacznie dobra, to Brach-Czaina odpowiedziała: „Człowiek jednoznacznie dobry nie jest w stanie żyć w dzisiejszym świecie, pełnym przemocy, a do tego promującym przemoc, dlatego ona wybrała śmierć”. Trudne słowa o trudnej sytuacji. Ciągłe powracają. Pustka po zmarłym dorosłym dziecku to jednoznacznie tragiczna pustka. Bez odcieni to pustka. A świat. O, tu masz swój wiersz o świecie. Czytaj, chcę słyszeć te słowa. Chcę mieć formę świata.

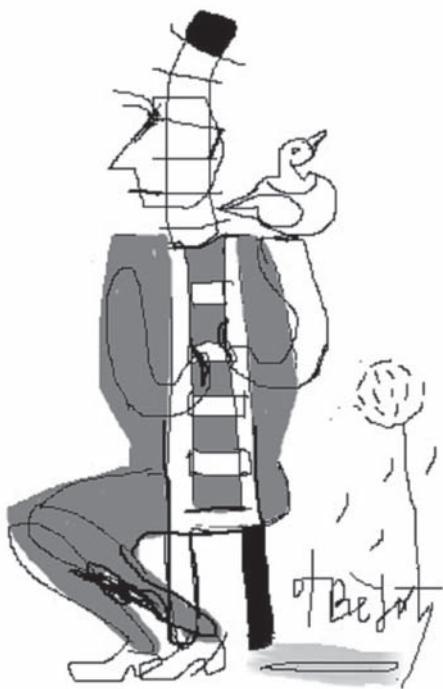
Tolo: Dobrze, czytam, skoro znowu chcesz.

MOMENT EPOKI

Mignęła ręka dziecka.
 Pomyliła się z kwiatem.
 I z topnieniem śniegu.
 Nowy wiek podsuwa
 inne porównanie:
 dziecięca i martwa.

BeJot: Zbyt wiele ojczyzn to nie jest miejsce dla dziecka. Nie znika ze świata, z ojczyzn dziecko wojny, dziecko poranione, pokaleczone, zabite. Tak rzadko dziś autorzy wciągają dziecko do poezji w sposób dojrzały. Jeśli

już „odkryją dziecko w sobie”, to zaraz czują się głupimi dziećmi, nic nie wiedzą, nie widzą, o nic nie pytają, rozbawieni są, wesołowaci, brykają, kopią i wrzeszczą. „Odkrywają dziecko w sobie” jako nieodpowiedzialność. To nie tak. Nie to. Albo już mam tak zwane skrzywienie zawodowe i wybrzydza, i krytykuję na oślep. Monika Stępień niedawno mówi do mnie: chyba mam skrzywienie zawodowe, bo mi się nie podobają nagradzane wiersze, i niejedna nagradzana proza nie podoba mi się. Poprosiłam Monikę o jej wiersz z dzieckiem czy też dziecięcością. Teraz ci go przeczytam. Przy okazji wyjaśniam, że zwrot „nie umiem W TUTAJ” w tym wierszu to młody nowotwór językowy. Są podobne inne: „nie umiem w polskość”, „nie umiem w dom”.



* * *

Zamknij oczy i zrób sobie noc.

Jesteś teraz prenatalny. Skulony i bezpieczny.

Jak dryfująca wyspa o powierzchni wszystkich jeszcze

[niezdefiniowanych lęków.

Jeszcze nie znasz drzenia i śliwkowych kolan.

Jeszcze jest cicho. Jest czysto.

Jeszcze nie teraz.

Kiedy pęknie wylinka, będę spojrzeniem zwiedzać twoje ciało.

Nietknięte. Połyskujące. Chcę je polizać.

Sprawdzić, jak smakuje coś bez świata. Moim zrogowaciałym językiem, nasiąkniętym całą nazwaną rzeczywistością.

Potem powiem ON. I staniesz się ciałem wyrwanym,
 Wykorzenionym z brzucha. Sierotą.
 Zrozumiesz, co czuje przerywane bobrem drzewo, gwizdana trawa,
 [z łańcucha pies.

Nie umiesz W TUTAJ, więc próbujesz złapać się powietrza.
 Niemota. Popapraniec.
 Wypadasz z kokonu wprost do zaduchu świata.
 Teraz śmierzisz. Teraz jesteś nasz. Poznajemy cię po zapachu.

Tolo: Ależ kobiecy ten wiersz!

BeJot: Właśnie. Drobiazgowy w stosunku do kątów, czujący ciałem i umysłem. To czucie brzucha jako dawczynię życia – to jest *ta brzuch*, a nie *ten brzuch*. Ponadto otrzymałam formę dojrzałego mówienia dzieckiem. Jeśli jesteśmy dorośli, to czucie dziecka jest czuciem sytuacji dziecka, a nie paplaniem o śliczności motyli i piór, bez sięgania ich istoty (pisarskiej, malarskiej – przepuszczonej przez warsztat jako dojrzała forma, czyli uzyskana esencja). I spytałam Monikę, czy może ma wiersz o pustce, a jeśli ma, to niech przysła. Przysłała. Przeczytam. Chociaż ten z dzieckiem to też forma czucia pustki, o jaką nam chodzi: nie jest to nicość. Strach przed nicością jest w nas. Ten strach to forma pustki, a pustka to forma tego strachu. Oczywiście jest to, ten strach, wycinkiem pustki. Drugi wiersz Moniki, esencja, nie woda:

* * *

Zasypiamy na dywanie. Cieniutcy jak zdjęcia wsuwane za szyby
 [segmentów.

Wczorajsi. Przeterminowani. Niewitalni.
 Starasz się być bezgłośnie. Nie chcesz obudzić żadnych wątpliwości.
 Czoło pulsuje do kopulacji myśli. Przypominasz sobie wszystkie
 [choroby.

Czucie. Rozumienie. Wątpienie.

Niezrozumienie. Trwanie.

I leżysz. Taka z ciebie konstelacja obłąkanych atomów.

Potem opowiadasz rwanym oddechem historii o morzu, do którego
 bałeś się wejść, o takim Tomku, co całował pierwszy ze wszystkich,
 o czterech pieprzykach, które otaczają twój pępek, o wieczornych
 [ciężarach w klatce.

Kładę głowę i karmisz mnie piersią.

Widzę, jak zastanawiasz się, czy ja też tak przez ten dywan.
Chociaż wiesz, że ja
na tym dywanie jestem bardziej.

Tolo: Wracam do początku naszej rozmowy i mojego pierwszego skojarzenia: pustka po wyciętym drzewie. A jednak próbujemy ją czymś wypełnić, zasypać, przesłonić, jak zresztą każdą pustkę. Przez chwilę będę się trzymać tego przykładu, bez fabuły się nie obędzie. Mój rodzinny dom; po drugiej stronie rozległego podwórza stał potężny jesion o konarach wspinających się falami w doskonałą symetrię. Kiedyś, słuchając płynącego akurat z radia Bacha, zapatrzyłem się w to drzewo i doznałem pełni formy i treści. Potem lubiłem patrzeć na ten harmonijny splot konarów i przez moment słyszeć w wyobraźni Bacha. Drzewo zostało powalone na budulec czy opał, nieważne. Tej pustej wyrwy w kosmosie nic nie jest w stanie uzupełnić. To jest właśnie ta fizycznie i metafizycznie odczuwana pustka. A jednak! Z trzech plastrów potężnego pnia zrobiłem trzy rzeźby, trzy potężne twarze, decydując się na trzy cyklopy o uśmiechu satyra. Jedna z tych rzeźb mnie samego wzrusza, ale tej wielkiej pustki po czymś, z natury doskonałym, nie zastąpiła. Tak. Jako ludzie bronimy się. No i twarze, twarze. Twarze bliskich zmarłych, pojawiające się we śnie. Pustka i nie, bo to nie umarły tak śni, a oddychający i widzący. Jeszcze coś mi przyszło do głowy: pustka to brak harmonii.

BeJot: W czym brak harmonii?

Tolo: Ludzka rzeczywistość jest naruszona. W ludzkości w jakimś miejscu jest wyrwa, nagły uskok, przepaść. Jest to złamany rytm, który może się przekształcić w rytm elektronicznej muzyki, jednostajny, nudny, niezgodny z rytmem serca i oddechu, przeciwieństwo na przykład prawosławnego liturgicznego śpiewu. To suche drzewo wśród zieleni, coś, co drapie nasz wzrok i mówi o nieuchronnej przemijalności. To wyrwana dachówka, dziura w dachu, zacieki na ścianie. Bo wyrwa w całości. Ostatnio ludzie emocjonują się czarnymi dziurami, które wciągają wszystko, światło, czas. Tymczasem to tylko rodzaj hipotezy. Ta pustka nas ani dotyka, ani dotyczy.

BeJot: A jak ci się podoba drugi wiersz Moniki?

Tolo: Bardzo. Jest taki... dotykający. Ona każdym swoim wierszem: dotyka.

Dialog i rysunki Tamara Bołdak-Janowska

Andrzej Chąciński

Na rozstajnych drogach

„Dlaczego znowu zdecydował się na wyjazd?”. Wydarzenia ostatnich tygodni wracały mu w pamięci jak sceny z niedawno obejrzanego filmu. Zamiast siedzieć za biurkiem w redakcji, zajął miejsce w przedziale i czekał na ogłoszony przez megafon odjazd pociągu.

„Co spowodowało, że zajął miejsce w kolejce do urzędu paszportowego i wręczył nieprzyjemnie patrzącemu na niego urzędnikowi dwie fotografie, kwestionariusz i list od angielskich krewnych?...”.

Kiedy wychodził z biura, z trudem pozbył się uczucia, że zrobił coś, co mogłoby pogorszyć jego sytuację. Co innego, gdyby sobie załatwił wyjazd w ramach delegacji. Niestety, do Anglii i Francji z jego redakcji nie wysyłano. Jedyną okazją, z której udało mu się skorzystać, była wycieczka do Wschodnich Niemiec. Na tym wyczerpał zasób swoich doświadczeń.

Prawdę mówiąc, powinien był podczas załatwiania spraw związanych z wyjazdami zachować większą ostrożność. Wyjazdy do rodziny nie były zakazane. Co jednak nie znaczyło, że każdy mógł z nich korzystać. W części administracyjnej wydawnictwa, do której należała jego redakcja, pracowały osoby, które na temat wyjazdów za granicę miały własną opinię. Któregoś dnia, kiedy był w pokoju tylko z sekretarką, kobieta swobodnym tonem rzekła:

– Ho, ho, panie Andrzeju! Ostatnio pan żyje na szerokiej stopie. Co rok wyjazd do dalekich krajów! Nie boi się pan, że to może dla pana być trochę ryzykowne?

„Z jakiego powodu zainteresowała się jego wyjazdem? Czy może właśnie z tego, że od kogoś usłyszała, że mógłby wrócić samochodem? ...”.

Jego szef, kiedy dowiedział się, że drugi raz złożył podanie o paszport, zareagował w typowy jego sposób; swobodnie stwierdził:

– Jeżeli uważasz, że musisz jechać, to jedź. Ja ci nie stawiam przeszkód...

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Wydaje się, że szef chciał mu powiedzieć, że jeśli podpadnie, nie znajdzie w nim obrońcy.

– To nie – pomyślał. – Niech mnie nie broni!...

Ludzie stosowali różne sposoby, żeby wyjeżdżać z kraju. Jeździli na wycieczki, na zaproszenia, na rejsy polskimi statkami. Jeżeli władze się nie wypowiadały, to znaczyło, że można było z nich korzystać [...]

Strach przed narażeniem się władzy szedł ręką w rękę z podejrzliwością. Jednak, krok po kroku, w tym nastawieniu można było dostrzec zmiany. Ludzie starsi wiadomości o zmianach traktowali nieufnie. Byli przekonani, że to, co młodym wydawało się zmianą na lepsze, jest chytrym manewrem, po którym na pewno przyjdzie kolejne „przykręcenie śruby”. Ci zaś, którzy dali się nabrać, więcej zapłacą niż tacy, którym od początku brakowało złudzeń. Jednak pomimo tego zmiany zachodziły w Polsce. Sam fakt, że władze nie reagowały, powodował, że ludzie nabierali odwagi. Na przykład tak zwani „młodzi pisarze”, którzy parę lat wcześniej swoje utwory czytali tylko rodzinie, domagali się zezwolenia na wydawanie osobnego pisma. Inni żądali zniesienia politycznego nadzoru w dziedzinie literatury. Starsi krytycy stwierdzali, że utwory napisane zgodnie z doktryną realizmu socjalistycznego, nie wniosły żadnych nowych treści do polskiej literatury. Wszędzie roilo się od wszelkiego rodzaju wtajemniczonych, którzy szeptem opowiadali znajomym o walkach w kierownictwie partii i wymieniali nazwiska zwolnionych z więzienia. Rozmowy tego rodzaju przeważnie toczyły się w podmiejskich kawiarniach albo poczekalniach. Górny po ukończeniu służby wojskowej zapisał się na uczelnię i brał udział w urządzanych w tym czasie zebraniach. Brak pieniędzy zmusił go do poszukania pracy. Po krótkich staraniach dostał ją w wydawnictwie. Koledze, którego poznał w Kole Młodych, udało się wyjednać zezwolenie na wydawanie pisma. Górny stał się odpowiedzialny za jego ukazywanie się, zaś kilka miesięcy później, po różnego rodzaju perturbacjach, został jednym z pracowników redakcji.

Fakt, że w tak krótkim czasie udało mu się poprawić swoją sytuację, zobowiązywał go do większego niż wcześniej zaangażowania. Z rodziną w tym czasie unikał kontaktów. Wolne dni w czasie urlopów spędzał na Mazurach.

Warunki mieszkaniowe miał trochę lepsze niż inni młodzi należący do jego otoczenia. W mieszkaniu, które zajmował z matką, miał osobny pokój. Dzięki temu mniej czasu niż koledzy spędzał w restauracjach. Mógł też czasami kogoś przenocować, jak na przykład Andrzeja, który na stałe mieszkał w Łodzi. Dzięki noclegom u Górskiego mógł uniknąć nocowania na dworcu lub w akademiku.

Inni koledzy z redakcji mieszkali przy rodzinach albo w jakiś obskurnych pokoikach wynajętych za marne pieniądze. Jeszcze inni dojeżdżali z podwarszawskich miejscowości. Fakt, że nie mogli korzystać z pokojów do pracy, różnił ich od kilku młodych literatów, którzy wywodzili się z rodzin partyjnej elity. Ci zresztą dysponowali nie tylko dobrymi warunkami mieszkaniowymi, ale również znajomościami w redakcjach i wydawnictwach.

Wszystko to trwało nie dłużej niż trzy albo cztery lata. Zmiany, których w składzie redakcji zdecydowały się dokonać władze, dotknęły prawie wszystkich założycieli tygodnika. Górny, po pełnym intryg, niszczącym nerwy okresie, został przeniesiony do małego miesięcznika.

W następnych latach jego życie, w porównaniu z losami kolegów, przebiegało bez większych wstrząsów. Poza wykonywaniem pracy w redakcji, często wyjeżdżał poza Warszawę pisać o ludziach zatrudnionych w wiejskich placówkach. W porównaniu z napięciami, jakie odczuwał rok wcześniej, tryb życia, który przyszło mu prowadzić, mało różnił się od zdrowotnej kuracji.

Z pracownika redakcji, która reprezentowała artystów i ludzi pióra, stał się członkiem środowiska dziennikarzy zatrudnionych w branżowych i fachowych pismach. Byli to sprawni wyrobownicy pióra. On sam, mimo że w dawnym środowisku już przestał się liczyć, mógł cieszyć się z ustabilizowanej sytuacji finansowej. Swoim starym oplem odbywał podróże po kraju i pisał o sprawach, które jego zdaniem, warto było poruszać. Jednak raz po raz zadawał sobie pytanie: „ile lat z rzędu można pisać o przygotowaniu do żniw, albo zbioru ziemniaków? Albo jakie zasady trzeba stosować, układając towary w sklepach?”.

Właśnie w tym czasie przyszło mu do głowy, że dobrze byłoby gdzieś dalej wyjechać. Najlepiej do Francji albo Wielkiej Brytanii. Jednak do tego, aby uzyskać paszport, trzeba było dostać zaproszenie od członka rodziny. Krewny, który mógłby mu to załatwić, mieszkał w Londynie. Jedną z jego firm było biuro podróży, które do zainteresowanych wysyłało zaproszenia, bilety i pieniądze. Kiedy pierwszy raz po wojnie przyjechał do Polski, obserwujący go Górny odniósł wrażenie, że z niepokojem czeka na datę wyjazdu. Na temat warunków życia Polaków, którzy po wojnie zamieszkali w Londynie, starał się nie zabierać głosu.

„Przyjedziesz kiedyś, to sam zobaczysz” – powiedział do Górnego, kiedy ten zadawał mu pytania.

W pracy nie zwrócono uwagi na fakt, że za granicą spędził sześć tygodni. Następne kilka miesięcy minęły mu na naradach, zebraniach, pisaniu i poprawianiu artykułów, rozmowach z autorami i wyjazdach w teren.

W okresie między pierwszym a drugim wyjazdem raz na parę tygodni widywał się z Andrzejem, któremu w czasach, kiedy razem pracowali, używał noclegu. Sytuacja kolegi była trudna. Nie miał zameldowania w stolicy, więc był zmuszony co parę miesięcy zmieniać miejsce zamieszkania. Tylko na taki okres właściciele domów zgadzali się wynająć mu mieszkanie. Kiedy w Warszawie miał coś do załatwienia, na jeden albo dwa dni zatrzymywał się u Górnego [...] Każde opowiadanie albo reportaż jego pióra, który udało mu się wydrukować, zbliżało go do upragnionego celu, jakim było zdobycie mieszkania i pracy w Warszawie. Mimo że od celu dzieliła go ciągle duża odległość, nie zanieczywał starań. Co parę miesięcy przywoził nową porcję opowiadań i starał się zamieszczać je w różnych pismach. Nie tracił również nadziei, że uda mu się podpisać umowę na wydanie książki. Dziewczyny, które ze sobą zabierał, gorąco przypominały mu o sprawach, które w Warszawie miał do załatwienia. Górny często słyszał, jak rozmawiając z Andrzejem, wymieniały daty umówionych spotkań. Przeważnie chodziło o rozmowy z ludźmi, na których mógłby liczyć podczas nawiązywania kontaktów.

Po jednym albo dwóch dniach spędzonych u Górnego, goście z walizkami udawali się na dworzec. Wiadomości o tym, co się z nimi działo, docierały do Górnego w postaci listów i kartek pocztowych.

Górny zaś, pomimo iż na swoją sytuację nie powinien narzekać, zażdrościł koledze stylu życia. Sam prowadził egzystencję człowieka skazanego na wykonywanie pracy urzędnika. W tej sytuacji jego życie było pozbawione ciekawszych wydarzeń [...]

W późniejszym okresie parę mocniejszych wrażeń dostarczały mu „wyjazdy w teren”. Jednak w porównaniu z tym, co przeżywał Andrzej, doświadczenia Górnego były bez znaczenia. Z czasem przestał on korzystać z noclegów w mieszkaniu Górnego. Zamiast podróżować pociągiem, zaczął korzystać z samochodu. Jeżeli musiał zatrzymać się w stolicy, korzystał z hotelu. Zapłacenie za pobyt przestało dla niego być problemem. Wszystko to miało związek z faktem, że opublikował kilka opowiadań. Pisywał przeważnie o wydarzeniach, do których doszło w czasie wojny. W jego utworach sprawy wojennej przeszłości były splecione z problemami współczesnych bohaterów. Nie brakowało też w nich opisów warunków, w jakich dorastali

ludzie z jego pokolenia. Wszystko to sprawiło, że debiutant, Andrzej N., stał się jednym ze znanych młodych pisarzy.

Górnemu przeszkadzało, że rzadko można było z nim szczerze porozmawiać. Zresztą, z miesiąca na miesiąc rzadziej się widywali. Okres wspólnych wyjazdów do Jeleniej Góry należał do przeszłości. Andrzej zapraszał Górnego od czasu do czasu na trwające do późnej nocy alkoholowe wieczory. Niekiedy brał w nich udział pracownik komitetu centralnego partii. Koledzy traktowali go jak dobrego znajomego, jednak chyba nieraz przychodziło im do głowy, że być może godziny, które spędzał w ich towarzystwie, rozliczał jako służbowe. Uważnie przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie i od czasu do czasu dawał im rady. Jego sportowy sposób bycia mógł być swoistym przebraniem, które służyło zmyleniu otoczenia. Górny z niepokojem myślał o tej sytuacji. Dyskusje często schodziły na ryzykowne tory. Niejeden raz Górny budził się po nich w nocy i starał się przypomnieć sobie, co takiego powiedział. Zdając sobie sprawę z ryzyka, postanowił zrezygnować z udziału w tych spotkaniach [...]

W tym okresie już rzadko widywał się z Andrzejem. Jego kolega, kiedy nie spotykał się z czytelnikami, spędzał czas za granicą lub w pensjonatach dla twórców. Gdyby Górny mógł mu udzielić jakiejś rady, poradziłby, aby unikał przyjazdu do Warszawy. Ile bowiem razy zatrzymywał się w stolicy, tylekroć wpadał w tarapaty. Zdarzenia te zwykle miały miejsce w klubach oraz restauracjach. W rozmowach często brali udział studenci lub początkujący krytycy. Ostrzyli sobie języki, dyskutując na temat pisarstwa Andrzeja. Wytykali mu czasem błędy językowe. Inny autor takie zarzuty obróciłby w żart, Andrzej jednak zbyt mocno przeżywał każdą krytyczną wypowiedź. Przeważnie więc takie zdarzenie kończyło się kąśliwymi uwagami osobistymi, i dobrze było, jeżeli do lokalu nie wzywano milicji.

Bowiem to, że kolega Górnego w tak krótkim czasie zdobył pieniądze i popularność, kilku specjalistom od stosunków polsko-niemieckich nie przypadło do gustu. Jeden ze starszych publicystów po ukazaniu się tomu reportażu Andrzeja, powiedział: „wszystko, co udało nam się zbudować w stosunkach polsko-niemieckich, wasz Andrzej zniszczył jednym reportażem...”.

Z chwilą, kiedy kontakty z Andrzejem ostatecznie wygasły, Górny znalazł się w zupełnie nowej sytuacji. Miał rodzinę i pracę, ale wszystko to go nie zadawało. Miesiące mijały i nic się nie zmieniało. Wolny czas wypełniał wyjazdami w teren i zbieraniem materiałów do reportażu. Po ich opublikowaniu miał trochę lepszy nastrój, ponieważ odnosił wrażenie,

że sprawy, którymi się zajmował, nabrały znaczenia i ważności. Jednak po paru dniach to uczucie mijało. Z doświadczeń, które zebrał podczas pracy w poprzedniej redakcji wiedział, że żadnej zmiany nie może się spodziewać. Jego sytuacja zależała od decyzji paru towarzyszy, którym w swoim czasie poważnie się naraził. Zdawał sobie sprawę, że decyzje, które podjął niezgodnie z ich interesami, nie będą mu prędko zapomniane. W takim nastroju wyjechał po raz pierwszy za granicę. Spędził tam tylko sześć tygodni. Do Polski wrócił pod koniec grudnia 1966 roku.

W tym czasie wydarzyło się coś, co na długo zapadło mu w pamięć. Poznał dziewczynę Andrzeja, Dorotę. Spotkanie miało miejsce parę dni po powrocie z zagranicy. Wkrótce Dorota rozstała się z Andrzejem. Była jedną z tych samotnych kobiet, które po pierwszych życiowych doświadczeniach szukały możliwości urządzenia sobie życia. Pracowała dorywczo, co nie zapewniało jej wystarczających dochodów. W związku z tym potrzebowała kogoś, kto służyłby jej pomocą.

Z dnia na dzień stała mu się bliska, ona jednak nie traktowała go poważnie. Jej małe mieszkanie było miejscem spotkań aktorów, poetów oraz dziennikarzy. Siedzieli godzinami, rozmawiając i pijąc piwo. W sąsiednim pokoju synek pani domu odrabiał lekcje. Górny znalazł się w krępującej sytuacji. Nie wiedział, jaką rolę odgrywa w tym domu. Pana domu, przyjaciela, czy znajomego, który wpada od czasu do czasu z wizytą. Z czasem ten brak pewności spowodował, że postanowił zakończyć znajomość z Dorotą.

Kiedy dowiedział się, że kobieta ma w Londynie rodzinę, poradził, żeby do niej pojechała. Był pewny, że ten pobyt poprawi jej sytuację. Miał rację. Już kilka dni po przyjeździe udało się jej spotkać kogoś, kto zajął się jej sprawami. Zamiast po dwóch miesiącach wrócić do kraju, zdecydowała się zostać. Gdy spotkał ją rok później, była już inną osobą. Podczas poprzedniego pobytu widzieli się tylko dwa razy. Obecnie spodziewał się, że znowu ją zobaczy. Nie, żeby to mogło mieć dla niego znaczenie. Poruszali się w zupełnie innych rejonach. On jeździł za granicę, żeby zarobić pieniądze, ona zaś musiała liczyć się z człowiekiem, bez którego znalazłaby się w Londynie w kłopotliwej sytuacji.

Jeżeli od czasu do czasu myślał o Dorocie, to tylko dlatego, że po zakończeniu tej znajomości ostatecznie zakończyła się również jego znajomość z Andrzejem. Sprawa ta dotknęła czegoś ważniejszego niż młodzieńcze podrywanie sobie dziewczyny [...]

Taki rozwój wydarzeń nie cieszył Górskiego. Był pod wrażeniem doświadczeń, jakie zdobył za granicą. Nic, co w tym okresie robił, nie dawało

mu zadowolenia. Zajęciom w redakcji, w której jeszcze pracował, poświęcał mało uwagi. Andrzeja przestał traktować jak przyjaciela. Nie podobały mu się jego krzyki i przemówienia na temat tego, co jeszcze świata jako pisarz pokaże. Kolega Górny zachowywał się w towarzystwie jak działacz dysponujący dużymi wpływami. Jowialnie ścisnął dłonie kolegów i ochotczy obiecywał, że załatwi im wszystko, o co proszą.

Jeżeli teraz od czasu do czasu myślał o Dorocie, to przeważała w tym ciekawość i zainteresowanie sprawami, z którymi miała do czynienia. Bądź co bądź był tym, który namówił ją do wyjazdu. Obecnie ona żyje w lepszych warunkach. „Ciekawe, za kogo w tym celu wyszła za mąż? Za hippisa w poszarpanych dżinsach, czy za listonosza potrzebującego pieniędzy na kupno mieszkania?”. Pieniądze na zapłacenie paszportowemu mężowi na pewno dostała od swojego opiekuna.

Za parę lat zapomni o sprawach, którymi żyła przed wyjazdem z kraju. Czy zresztą to, co działo się w kraju, naprawdę ją obchodziło? Przypomniał sobie wycieczkę do miasta, w którym Górny mieszkał w czasie wojny. Była to maleńka, cicha miejscina z pustym rynkiem, budynkiem straży pożarnej i rzędem parterowych domów. Po drugiej stronie rzeki białe mury klasztoru. Po zjedzeniu obiadu w miejscowej restauracji pojechali tam wąską, wijącą się wzdłuż brzegu rzeki drogą. Podczas spaceru pod otaczającymi klasztor lipami Górny opowiadał, co w czasie wojny działo się w tych stronach.

Opis wypadków, które miały miejsce w tych stronach, mógł niejednemu posłużyć za materiał na powieść lub opowiadanie.

Rozmowom kolegów Dorota przysłuchiwała się bez zainteresowania. Pod koniec spaceru oznajmiła, że jest zmęczona i chciałaby wracać jak najprędzej. Powiedziała później Górnemu, że myślała o niezapłaconym czynszu za mieszkanie i pieniądzach dla syna. Zresztą, jak Górny zorientował się później, właśnie wtedy zdecydowała, że złoży papiery na wyjazd do Londynu.

Rok później spotkali się w Londynie. Widzieli się trzy razy, po czym Górny wrócił do kraju. Pamiętał, że przed wyjazdem spotkał się z Dorotą i zabrał listy do jej warszawskiej przyjaciółki. Pamiętał również, że wspomniała o przyjacielu, który wystąpił o rozwód. Górny bez zainteresowania słuchał tego, co mówiła, bowiem był zmęczony po pracy i mało go obchodziły te opowieści. Pracował z dwoma przyjezdnymi z Polski, którzy nie tylko mu mało płacili, ale do każdej wypłaty dodawali przypomnienie, że powinien na stałe zostać za granicą. Jednak fakt, że oni sami w czasie

pracy wydawali mu się kwaśni i niezadowoleni wskazywał Górnemu, że nie byli pewni, czy dobrze zrobili, zrywając z krajem.

Dorota też nie wydawała się zadowolona ze swojej sytuacji. Zapamiętał rozmowę, podczas którejś mu powiedziała: „jeżeli możesz, to wracaj. Bo ja tam już siebie zupełnie nie widzę. Nie wiem, co mogłabym tam robić”.

Pożegnał się z nią i powiedział, że o następnym przyjeździe do Londynu zawiadomi ją listownie. Trzy dni później stał już w kolejce do „Delikatesów” na warszawskim MDM-ie.

Andrzej Chąciński

Jacek Durski

Dla Jutrosina

Spalcie mnie po śmierci i rozsypcie resztkę pod Jutrosinem. Najlepiej blisko madonny z Szymonek, tej z wypłakanymi oczyma, albo nad Orłę, przy którymś mostku. Pójdę sobie stamtąd do nieba.

Z błękitu sfrunął ptak. Jechałem dwukółką przez jutrosińską zieloność z małego dworca kolejowego do małego miasteczka. Mgły rozwiewały się, odsłaniając coraz to dalsze pola i łąki.

Podskakiwałem na kolanach dziadka Blu. Ojciec ojca coraz ostrzej poganiał konie, okładając lejcami brunatne zady. Dał mi prowadzić na prostej. Pędziliśmy jak wiatr, a za nami w bryce cała rodzina obiecująca dziadkowi „że go zaraz wsadzi do Wronek.” Było wspaniale. Pierwszy raz kierowałem końmi i poznałem dziadka z porąbaną głową. Dziadek Blu równieśny Piłsudskiego miło wspominał wyprawę na Litwę, chociaż wrócił do Jutrosina ze szparą w głowie po czerwonej szabli. Jeszcze dzisiaj mógł włożyć w środek czoła grosz albo medalik z pierwszej komunii.

– Cybatego miałem wierzchowca – opowiadał mi zaraz po szaleńczej jeździe. – Potykała się szkapa i potykała, o tak. I potknęła się, kiedy ciąłem kolejnego armiejca. O, tak ciąłem. – Wytargnął szablę z pochwy. Zamigotało w pokoju słońce.

– Codziennie wywija tą brzytwą, aż strach – skarżyła się ojcu babcia. – Kiedy tylko wyjdę z mieszkania, a przecież muszę do sklepu, Blu narzuca kołdrę na poręcz naszego łóżka, nasadza poduchę i z okrzykiem „no, ustaw się, cybaty” wskazuje na rzekomego wierzchowca. Ściskając łydkami dębowe esy-floresy, rusza na Mołodeczno. Musiałam odsunąć łóżko od ściany, żeby jechał, jak lubi. I wyciął Polskę z atlasu Zbinia, Polskę z innymi granicami.

„Powinniśmy być wszędzie”, straszy listonosza szabliskiem.

– Sam generał widział, jak cybaty pogryzł tego armiejca. Zagryzł go, najdroższy, kiedy leżałem pod kopytami – wyszczerzył dziadek zęby i chapsnął mi marynarkę. – Razem dostaliśmy wirtuti.

– Zostaw małego, dopiero przyjechał – oderwała się babcia od mojego ojca, od najukochańszego Ignaca.

– Nie było rozkazu gadać z babami – zachichotał dziadek i już siedział okrakiem na szczycie małżeńskiego łóża. Dosięgnął pamięcią ciepły łeb wierzchowca. Zarżał za cybatego.

Dziadek Blu był tym najważniejszym w Jutrosinie. Był żywym pomnikiem w miasteczku. Walczył z Rosją i Związkiem Radzieckim, z prusactwem i hitlerowcami. Większość życia spędził na koniu, z szablą. Słuchano go, stojąc na baczność, tolerowano starcze wygłupy. Dopiero za nim stał ksiądz-proboszcz, lekarz, aptekarka, wikary. Tę kolejkę zakłócał tylko mój ojciec, kiedy przyjeżdżał do Jutrosina. Na szczęście dla „kolejki”, co kilka lat, na Wielkanoc. Teraz przyjechał ze mną, pochwalić się pięcioletnim mądrasem, który już czyta od roku i rozwiązuje zadania szachowe.

– Po obiadku idiemy na spacer pokazać się wszystkim przed Wielkanocą – powiedział.

Wyszliśmy z przyjemnie chłodnej kamienicy, obrośniętej bluszczem, na taflowany gorącym rynek. W czarnych lakierkach, z czarnymi parasolami, spacerowaliśmy po kwadracie przez dobrą godzinę, witając się z jutrosiniakami. Słońce płynęło ze ścian ratusza. Dobrze, że drzewa podsylały cienie. Przywitawszy się z ważniejszymi w miasteczku, zeszliśmy nad Orlę rozwierzbioną stojącymi nad nią iwami. Szemrała, wpływając pod drewniany most. Zdjąłem buty i odłożyłem na trawę parasol. Popiękniało. Ojciec też ściągnął buty. Położył się pod niebem. Dookoła rozlewały się pola i łąki. Jezioro zielonego i brązowego. Pływały w nim białe-czarne krowy. Stały strachy-charłaki. Daleko, na drugim brzegu, smukliły się wieżyczki kościołka. Usłyszałem ciche dzwonienie. Dźwięk polatywał równiną. Krążył niebieskawo, przysiadł bieluchno. Białe, zaróżowione na brzegach koła. Przez chwilę postrzępione gdakaniem kury. Dzwon brzmiał coraz mocniej, głębiej, niebiesko i żółto. Dzwonił do dalszych wiosek, falował barwami. Zabiło coś w ziemi, pulsowało pod piersią. Słyszałem bicie serca i nadobłocznego ptaka. Dziwna moc uniosła mnie z trawy. Rozkrzyżowałem ręce i leciałem nad Jutrosinem.

– Dziadek jedzie po nas dryndulą – odezwał się ojciec. – O, zauważył, że patrzę, i pędzi jak nienormalny.

Przestało dzwonić. Przebrzmiewające dźwięki-kolory opadły na równinę gasnącymi kręgami. Niebieski spopielał na wierzbie. Przysiadłem na parasolu. Zaszleścił zwyczajnie krzak.

– Na „zajączka” kupiłem ci wierzchowego i siodło – powiedział ojciec do dziadka. – Od Sobańskich. Przyprowadzą po Wielkanocy. Ale pamiętaj, najszybciej truchtem. Co robisz!? Całujesz mnie po rękach?

Nie spałem całą noc. Ten dzień miał tyle obrazów, muzyki. Dziadek udający cybatego. Maczugowata wierzba pochylona ku Orli, odbita w wodzie. Kościółek oblepiony domkami. Rozkolebane dźwiękiem barwy.

Dziadek ściągaający lejce. Pędząca jak ogień dwukółka. Różowy podzwiek dzwonu, różowo-szary. Wiechciowate dłonie strachów-charłaków. Rynek z jutrosiniakami. (Weszła w to naga Indianka i nagi Indianin). Daleko, mrużąc oczy, stado biało-czarnych krów. Dziadek całujący po rękach ojca. Polerowane wiatrem niebo. Ptaki. Dziadek śmigający szablą. Ojciec śmigający szablą. Dziadek i ojciec śmigający szablami.

Rano msza przed witrażem Mehoffera. Niech Bóg ma ciało i głos, niech nie będzie taki nijaki.

A po komunii wszyscy przy święconym stole. Stryjek Jasiu odepchnął chętkę, na któryś tam plaster szynki... e, nie będzie jej dzisiaj odpychał.

Po południu wracałem z ojcem do Katowic, do matki. Dziadek płakał. Żegnaliśmy się „do przyszłego roku”, na zawsze.

Drugi raz przyjechałem do Jutrosina po dziesięciu latach. Z dworca wziął ojciec taksówkę. Sunęliśmy do miasteczka wśród zielonych traw. Słońce płonęło pod powiekami fioletową falą. Popędział konie zmarły dziadek. Zawoził babcię do nieba. Świecił Gusi klingą.

Taksówka zwolniła. Otworzyłem oczy przed ścianą bluszczu. Ukłonił się przechodzący jutrosiniak. Staął. Wziął od ojca walizkę. Wysiedliśmy z parasolami.

W kamienicy powitał nas stryjek Jasiu, stary kawaler ze swoją konkubiną, panią (zapomniałem nazwiska). Zapisał jej wszystko. Sprzedała konie i szable. Sprzedała dziadka ziemię. Nawet pół domu sprzedała. Złości się zmarły dziadek. Krzyczy ze ścian i szuflad. Błyska w lustrze brzeszczotem.

Usiedliśmy jakoś do wielkanocnego stołu. Mnóstwo wędlin, sosów i chrzanu. Żółcone cebulą jaja i czekoladowy baranek. Jemy i rozmawiamy, omijając kilka tematów.

– Zbiniu zgubił dziecko na dworcu. „Kto przyprowadzi do dyżurnego małą Marylkę, dostanie cztery walizki” ryczał do megafonu.

– Poznali się przy sekcji pijaka.

– Pamiętasz Ignac tę szarżę pod Wilnem? Naraz roztrysnęła się ziemia, lecz ja i kilku wiernych pędziło dalej, za tobą, na sowieckie okopy.

– Pamiętam. Podaj mi sól i pieprz.

Posolone i opieprzone jajko.

– A pamiętasz Ignac tę szarżę za Lidą? Poprowadziłeś nas na czerwone tabory. Tańczyła śmierć po głowach żołdatów. Wzięliśmy tyle broni, a ty dostałeś swój pierwszy krzyż.

Ojciec na ostrym koniu, szwadron za nogą szablą ojca.

– To ty tato byłeś bohaterem? A mama powiedziała, że zrzucasz rogi w Warszawie.

– Co u starych Sobańskich? Dalej kładą duże na małe?

– Dalej. Młodzi też. Michał skończył historię sztuki i gospodaruje w PeGeerze. „Żyto nie żyto” zgadują specjaliści ze Śremu. „A gdzie to się pochowały ziemniaki?” szukają specjaliści ze Środy Wielkopolskiej.

Przeistoczyłem się w ojca na ostrym koniu. Pędzę. Rosnąca w oczach kolumna. Wdzieram się żelazem w nienawistną masę. Ten! Już wybrany na śmierć. Mój. Już nie zgwałci, nie spali. Najeżdżam i tnę z góry, i obalam z koniem.

– A pamiętasz Ignac tę szarżę w rejonie Ossowa? Byłeś taki młody, a już dowodziłeś batalionem. Blu, chcąc nie chcąc, od czterech dni służył pod tobą. Chciał się przed synem popisać. Dlatego dostał po głowie. Później zwał na konia.

– I rzy teraz co noc. Ani go wapnem zadusić, ani ukropem sparzyć. Musimy żyć z Blu. Dobrze, że Gusia nie straszy.

– Wszystko pamiętam, a najlepiej ciebie Janek na końcu ataku. Mogłeś pilnować starego.

– Jak miałem pilnować, kiedy był szybszy ode mnie?

– Jacusiu, idź, proszę, na spacer!

– Lepiej mówmy o Zbinu. Liznął Simone de Beauvoir i odwrócił się od narzeczonej. Woli Ostrów Wielkopolski. Dziwny.

Podziękowałem i odszedłem od stołu. Coraz szybciej przebierałem nogami. Przedpokój, kręcone schody, rynek i na prawo na cmentarz, do dziadka, do złotych liter na czarnym granicie. Patrzyłem na żółtego robaka. Wylazł z grobu.

Co krzyż to człowiek. Istnieje w myślach bliskich. Umiera tak naprawdę po ich śmierci. Muszę mieć dużo synów i córek, wnuków, prawnuków. Niech myślą o mnie na starość.

Kilka kobiet opowiadało o czyimś konaniu, o śmiertelnej czkawce. Robak szedł po złotych literach. Dziadek stukał iglicą fajki. Nadleciała czarna chmara wron, może gawronów, zatoczyła koło, rozbiła się o dachy miasteczka.

Nie wrócę do stołu, do tej krzywej Napierały (przypomniałem sobie nazwisko), co tak mówi o dziadku.

Poszedłem drogą do Szymonek. Międzydrzewne obrazy pól. Wiatraki, wiatrak, skrzydlina wiatraka, skrzydlisko. Dziadek na wierzchołku ojca. Słońce w skrzydlinie. Dziadek na kłaczach koloru pleśni. Rozerwana wiatrem

chmura, białe części idące błękitem. Dziadek witający się z charłakami, z przydrożną madonną.

Pokazały się chałupy Szymonek. Kilka zagród pod lasem. Odjechał Blu do Gusi. Położyłem się w bzykającej trawie. Zmierzchało. Wiatraki lawowały pole długimi, niebieskimi cieniami. Jeden z wiatraków zawirował ostro i powoli zatrzymał się. Stanęła śmiga w miedzianym słońcu. Dotykające mnie zewsząd obrazy: niebo, skraj lasu, idąca po ręce biedronka, waliły się w mózgu, łomotały do jakichś drzwi. Wszedłem tak mocno w naturę, aż poczułem Boga.

Nade mną stał ojciec. Wysiadł przed chwilą z taksówki.

– Szukam ciebie od drugiej. Nie przyjedziemy już więcej do Jutrosina – powiedział.

Jacek Durski

Wiesław Mandryka-Bukowiński

JOM KIPPUR. Podróż w nieznane

(fragmenty prozy)

PROLOG

Przed kilkoma dniami Maksymilian Nowosielski obchodził trzydzieste trzecie urodziny. W przyjęciu brało udział dość liczne grono przyjaciół i znajomych. Wśród nich koleżanki, które ciągle miały nadzieję, że Maks się ustatkuje i zwróci na nie uwagę. Zdawał sobie sprawę, że za długo nie może im kazać czekać. W przeciwnym razie zostanie starym kawalerem. Co miał jednak robić – żadna z nich go nie pociągała i jak do tej pory ponad wszystko cenił sobie wolność. Po weekendzie dość mocno bolała go głowa. Liczba pustych butelek po winie, jakie wystawił nad ranem do kontenera na śmieci, przypominała o sownie zakrapianym przyjęciu.

(...)

Osobą, z którą miał się spotkać, był młody pracownik ministerstwa z Warszawy. Umówili się na godzinę 16.00. Czekając na Maksymiliana Nowosielskiego, profesor poprosił kelnera o małą czarną. Do spotkania pozostaowało około dwóch minut. Zaczynał rozglądać się dookoła, wypatrując, czy jego rozmówca nie wychodzi z którejś z wąskich uliczek, zbiegających się z czterech stron świata w sercu krakowskiego rynku.

– Shalom, witam pana, panie konsulu!

(...)

Przez chwilę panowało milczenie. Polak zapalił papierosa.

(...)

Mógł tylko się domyślać, że profesor ... oczami duszy stanął tu wśród swoich. Przeniesiony siłą woli. Tęsknotą serca. Kilkadziesiąt lat wstecz.

(...)

– Panie profesorze... – odczekawszy z taktem, przerwał mu krótką zadumę. – Czy to prawda, że przed wojną w wielu żydowskich domach w Krakowie mówiono po polsku?

– Tak, to prawda. Tak było. W zasadzie tylko w tym mieście.

– Dlaczego? Pragmatyzm czy przywiązanie do miasta i jego mieszkańców? – dopytywał Nowosielski.

– Myślę... myślę, że i jedno, i drugie. Przecież Żydzi osiedlali się tutaj co najmniej od dziesięciu wieków – odparł profesor po chwili zastanowienia.

(...)

...nie dokończył zdania, gdyż nagle osunął się w fotelu na bok. Spod jego obojczyka w stronę Maksa bryznięła struga czerwonej krwi. Nie tracąc głowy, Nowosielski rzucił się na profesora, przewracając go całym ciężarem ciała wraz z fotelem na ziemię. Z hukiem upadli obok kawiarnianego stolika. Kolejna z kul trafiła w lampkę z koniakiem, omijając głowę... o milimetry. Potłuczone szkło i resztki alkoholu trafiły w szyję i ucho Maksa. Następna kula wbiła się w szyld reklamujący kawiarnię *Vis a Vis*.

– *Fuck! Vis a vis ze śmiercią! Też sobie wymyślili!* – zaklął Maks w duchu.

– Zamach? Nigdy w Polsce nie było zamachów tego rodzaju?! – w jednej chwili w głowie kołatały mu różne myśli.

(...)

Bez wahania odsunął na bok drugiego z policjantów i podbiegł pod komisariat. W jednej chwili uruchomił silnik policyjnego motocykla i z maksymalną prędkością puścił się w pogoń za uciekającym snajperem. Ryk silnika yamahy o zwiększonej do 1300 cm³ pojemności na kilka chwil zagłuszył zgiełk dookoła...

1. Błogosławieństwo z St. Gallen

Ludwig de Pontignac, hrabia na zamku Blois, wylądował na lotnisku w Zurychu samolotem linii Air France. Był to lot z Paryża. W drzwiach sali przylotów czekał na hrabiego Serge Agostille, jeden z jego emisariuszy do Polski. Z podróży do Krakowa Serge wrócił wówczas sam.

(...)

Przez salę rozległ się szmer zadowolenia.

– W naszym przypadku dotyczy to prac nad najnowszej generacji komputerem o niezwykłych mocach i wydajności. Na przykład do łamania najtrudniejszych szyfrów. Ale również do produkcji broni laserowej i dronów, a także wielu innych możliwości wykorzystania w przemyśle zbrojeniowym. Przede wszystkim jednak dla...

4. Na rozdrożu

Infiniti FX35 w kolorze metalicznej satyny nadal mu się podobało. Pomimo upływu 3 lat od jego zakupu nawet konieczność płacności

uciażliwych, comiesięcznych rat nie mogła pozbawić pułkownika przyjemności kierowania tym samochodem. Słusznie mówią, że samochód potrafi być drugą miłością mężczyzny. Wincent nie stawiał go jednak nigdy na pierwszym miejscu w hierarchii spraw najważniejszych.

(...)

Nikt mu jednak nie odpowiadał.

– Ej Michael, Michael! Zaczynam cię nie lubić! Pewnie ma słuchawki na uszach – wyszeptał zniechęcony.

Dopił piwo i wszedł z powrotem na górę. Patrycja tkwiła przy komputerze prawie w tej samej pozycji jak wówczas, gdy wrócił z pracy.

– Ach, to ty? Tak, słusznie, mieliśmy porozmawiać – mówiła prawie zdziwiona. – Zaraz, chwilkę... Daj mi jeszcze tylko pięć minut – prosiła.

Kiwnął potakująco głową. Poszedł do sypialni, wziął prysznic, a potem przebrał się w piżamę. Gdy zaglądał przez uchylone drzwi do pokoju biurowego, jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– *Na Zachodzie bez zmian...* – przyszedł mu na myśl tytuł powieści Remarque'a. Jak przez mgłę zaczęły docierać do niego również słowa jednego z dziesięciorga przykazań danych Mojżeszowi na górze Synaj:

„Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną...”

Pomimo założonych na uszy słuchawek docierały do niego słowa piosenki M.J. *Whatever happens*.

5. Warszawskie dzieci...

Gdy opuszczali „Literatkę”, było jeszcze piękne majowe popołudnie. Wskazówki zegara nad bramą wejściową do Zamku Królewskiego wskazywały godzinę szesnastą. Od Rynku Starego Miasta odnowionym Traktem Królewskim w kierunku kościoła św. Krzyża i odwrotnie przewijały się tłumy polskich i zagranicznych turystów. Warszawa wraz z Krakowem, Auschwitz i Wieliczką tradycyjnie stanowiły na turystycznej mapie Europy miejsca, które warto było odwiedzić, przyjeżdżając do Polski. Z pewnością jednak kraj nad Wisłą, Bugiem i Odrą miał i ma do zaoferowania przyby-
szom znacznie więcej.

(...)

– Ale... ale wiesz, tam teraz są objazdy. Ciągłe jeszcze nie skończyli tej kolejnej nitki metra. Możemy dojechać z różnych stron... – tym razem to on spojrzał na nią tak, jakby chciał usłyszeć, że aż tak bardzo to jej się do domu nie śpieszy.

– Zawsze najlepiej z właściwej strony. To znaczy? – spytała, rozbudzając w nim nadzieję.

– Kiedy byłaś ostatnio w Warszawie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To było zaraz po maturze... Dawno, dawno temu.

(...)

Maks zaparkował samochód przy Okopowej. Po chwili obydwójce pieszo ruszyli w kierunku cmentarza. Pomógł dziewczynie otworzyć ciężką bramę i wszedł za nią do środka. Zastanawiał się teraz, czy w tym miejscu powinien do niej mówić Esther, Catherine, czy może nadal po prostu Kasiu. Tuż za wejściem, z boku, stała jeszcze jedna brama. Postawiona na pamiątkę w dawnych czasach. Była nieco niższa, zrobiona z kutych stalowych prętów. Przy bramie znajdowała się zabytkowa mała fontanna i pompa do pompowania wody.

– Proszę, załóż! – wyjęła z torebki jarmułkę.

Założył ją bez sprzeciwu. Kasia stanęła przed tablicą i przez dłuższą chwilę zapoznawała się z rozkładem grobów na cmentarzu.

(...)

Tym razem Maks nie wchodził do środka. Widział tylko, jak stała przez dłuższą chwilę w milczeniu, by później odczytywać zapisane po hebrajsku napisy na tablicach.

Powoli zapadał zmrok. Wprawdzie zza murów sąsiednich kamienic dochodziły jeszcze odgłosy ruchu ulicznego, to jednak ich natężenie słabło. W momencie spotkania wnuczki Chaima Ettingera z przeszłością Warszawa jakby na powrót zamierała w ciszy, zmierzając na spotkanie ku duchom ofiar nazizmu. I tylko setki wyrytych na pomniku imion wołały do niej nieprzemijającym krzykiem rozpacz o pamięć.

(...)

Zaczęli od Nowego Miasta, by po „kamiennych schodkach” zejść na dół nad Wisłę pod podświetlone fontanny. Światło, ogień i woda zawsze fascynowały człowieka, przyciągając i odpychając zarazem. W większości wywoływały miłe skojarzenia. Od wieków potrafiły działać na psychę. Za fontannami ukazał im się widok wolno płynących, ciemnych fal Wisły. W oddali za rzeką kontury stadionu piłkarskiego.

(...)

Wyciągnęła rękę po kieliszek. Nachylając się, przypadkiem otarła pierś o jego ramię. Przez moment poczuł, jak przechodzi po nim dreszcz. Byłby ostatnim kpem i kłamcą, gdyby powiedział, że było to coś nieprzyjemnego lub nachalnego z jej strony. Raczej odwrotnie. Było czymś niezwykle

miłym, podniecającym... Więcej, to w nim coś otwierało. Nagle zaczął żałować, że nie poznał jej wcześniej.

(...)

Zdawało mu się, że trudne sprawy mają już za sobą, że nie będą już do nich wracać, zwłaszcza teraz.

– Pssst! – położył palec na jej ustach, szepnął coś do ucha i delikatnie całował szyję. Potem zaczęli już tylko wibrować w rytm salsy.

6. *Historia vitae magistra est*

Popołudnie i wieczór spędzone z Catherine Esther Ettinger nie pozwoliło Maksowi tej nocy usnąć. Jak dotychczas nikt nie wywarł na nim takiego wrażenia. Coś w nim pękło. Ten zatwardziały kawaler nagle poczuł, że nie może przestać o niej myśleć. Wszystko jedno, czy wtedy, gdy taksówką wracał do domu, czy kładł się do łóżka, czy później, w środku nocy, gdy wstawał i podchodził do lodówki, bez sensu szukając czegoś wyjątkowego na przekąskę. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. W końcu sięgnął po szklanceczkę whisky. A i tak nie spał prawie do rana.

Następnego dnia rano Nowosielski – formalnie w ramach zajęć służbowych, mniej formalnie z powodów natury osobistej – udał się do biblioteki Instytutu Żydowskiego w Warszawie. Przywitał go na miejscu mężczyzna w okularach w trochę więcej niż średnim wieku, z imponującą, ciągle jeszcze czarną, gęstą brodą i wąsami. Broda sięgała mu co najmniej do wysokości ramion. Jego przenikliwe, brązowe oczy i przyjazny uśmiech wzbudzały zarówno respekt, jak i zainteresowanie. Na klapie marynarki nosił małą plakietkę z nazwiskiem dr Edmund Szenkiel. Maks poprosił go o materiały, które mogłyby mu dać, choć skrócone, ale bliski historycznej prawdy obraz osadnictwa Żydów w Polsce. Zamierzał dowiedzieć się czegoś więcej u źródła. Na przykład skąd przywędrowali do Polski? Dlaczego ich losy były i są nierozzerwalnie wplecione w losy narodu, z którego on sam się wywodził? Chciał się tego dowiedzieć przede wszystkim ze względu na Catherine. Chciał poznać od podszewki wszystko, co kiedykolwiek miałyby ciążyć na ich relacjach; wyjaśnić i rozbroić, by nigdy nie mogło stanowić jakiejś niewidzialnej bariery, szklanej ściany, czy rwącej rzeki, nad którą nie da się już przerzucić nawet kładki.

(...)

W każdym razie od czasów Kazimierza Wielkiego poprzez utworzoną w 1569 roku Rzeczpospolitą Obojga Narodów, aż do okresu klęsk

wojennych powstania Chmielnickiego i potopu szwedzkiego w XVII wieku, Polska była jednym z najbardziej tolerancyjnych państw Europy.

– Stała się więc drugim domem dla Żydów?

– Tak można to określić. Domem dla jednej z największych i dynamicznie się rozwijających społeczności żydowskich. Współcześni nazywali wtedy Polskę *paradisus Iudaeorum*, a szesnastowieczny rabin krakowski Mojżesz ben Israel Isserles wielokrotnie powtarzał, że: „Jeśli Bóg nie dał Żydom Polski jako schronienia, los Izraela byłby rzeczywiście nie do zniesienia.”

– Nie przewidział Holocaustu... – wtrącił cicho Maks.

– Nie wszystko da się przewidzieć. Shoah była konsekwencją narastającej już od połowy XVII wieku nietolerancji wobec Żydów.

10. Samotność twardziela

(...)

Był już wieczór, gdy wrócił do domu. W domu nie było nikogo. Patrycja w Stanach. Nie lubił tego uczucia, gdy przekręcał klucz w zamku, a za drzwiami oczekiwała go głucha cisza. Samotność jest dobra tylko na chwilę. Do momentu, gdy nie zaczyna doskwierać. Potem boli, skłania do myślenia, wpędza w kompleksy. I trudno jest ją oszukać. Gorzej, przez nią częściej zagląda się do kieliszka. Rodzi się złość. Ukrywany gniew na cały świat. Potem przychodzi zawiść do tych, o których myślisz, że im się powiodło. Samotność łamie charaktery, kaleczy. W końcu pogrąża w apatii i zobojętnieniu. Czy wówczas można jeszcze się podnieść, powrócić do żywych, wziąć się za losy... żyć?

11. Jom Kippur – podróż w nieznane

Przed wylotem do Polski na spotkanie przybyło około sześćdziesięciu dziewcząt i chłopców. Wszyscy byli tegorocznymi absolwentami szkoły średniej. Za kilka tygodni czekał ich obowiązek odbycia okresowej służby wojskowej w armii.

...Dwa dni wcześniej uczniowie wzięli udział w wycieczce do muzeum w Yad Vashem. Makiety, zdjęcia i sceny z filmów dokumentalnych, pokazywanych w tym szacownym instytucie, wypełniły czarnymi barwami ich młodą, wrażliwą wyobraźnię. Ciągłe to wszystko było jakieś odległe,

nie-dzisiejsze, niepojęte i niezrozumiałe. Obrazy mordowania przez Niemców Żydów w obozach koncentracyjnych na terenie Europy wzbudzały najpierw zdziwienie.

– Jak można było tak postępować z niewinnymi ludźmi? – to pytanie rodziło się odruchowo, bezwiednie, w geście współczucia nad ludzkim nieszczęściem.

Zdziwienie przechodziło w oburzenie, by w końcu stać się źródłem gniewu i złości na oprawców.

– Oczywiście wszyscy jesteśmy pod wrażeniem odwiedzin w Yad Vashem. Gdybyście mogli opisać mi w kilku słowach swoje wewnętrzne motywacje... Co będzie kierowało wami po tej wizycie? Czego oczekujecie od spotkania z historią w Polsce? Jakie macie uczucia? Jaki jest wasz stosunek do katów, a jaki do ofiar? Dlaczego chcecie jechać do Polski? – z tymi pytaniami zwracała się do absolwentów młoda kobieta w mundurze.

Skierował ją do szkoły ministerialny wydział ds. młodzieży. Miała około trzydziestu lat. Z zawodu była psychologiem.

– Może zaczniemy od ciebie? – zachęciła jednego z chłopców.

– Gdy kiedykolwiek moja babcia opowiadała mi o Shoah, zawsze powtarzała: „Nigdy nie możemy zapomnieć! Nigdy nie możemy wybaczyć!” Widziałem ból na jej twarzy, widziałem, co czuła. Sam jednak tego nie czułem. Tego chciałbym właśnie doświadczyć... Bez tego nie mogę zrobić kroku dalej. Chcę poznać samego siebie... – odważnie zabrał głos młody chłopak w okularach. (...)

– A ty, co czujesz? Czy chcesz tam jechać? – powtórzyła pytanie, wskazując tym razem na młodą dziewczynę siedzącą przy ostatnim stoliku.

– Jestem wychowana w tym duchu, że nie wszędzie nas lubią. Ba, nienawidzili nas wcześniej i nadal nienawidzą. Wiem o tym od dziecka, to wzbudza mój gniew do drugiej strony. Tym bardziej chcę tam jechać. To wzmacnia mój syjonizm. Jestem dumna z tego, że urodziłam się Żydówką.

– Rozumiem...

...

Po południu mieli powoli opuszczać Kazimierz i kierować się w stronę hotelu. Na skraju małego placu, na ławeczce pod drzewem siedziało trzech starszych mężczyzn. Wyglądali na emerytów. Dwie licealistki podeszły do nich i zaczęły robić im zdjęcia. Jedna z absolwentek zapytała po angielsku:

– *How are you?*

– A wy skąd, z Hiszpanii? – odpowiedział pytaniem na pytanie stary człowiek.

Nie znał angielskiego. W młodości nie miał kiedy się nauczyć. Prędzej mógłby coś odpowiedzieć po niemiecku.

– Nie, my z Tel Awiwu – odparły po krótkim tłumaczeniu towarzyszącego przewodnika.

– A, ja myślałam, że z Hiszpanii albo z Włoch... – spojrzał jeszcze raz, przyglądając się młodym przybyszom.

– Nie z Izraela? – zapytał, próbując uzmysłowić sobie kraj ich pochodzenia.

Słowo Tel Awiw w każdym razie z niczym mu się nie kojarzyło.

– Co on mówił? – spytała jedna drugą, gdy przewodnik znający język polski odszedł w kierunku grupy.

– On powiedział, że nienawidzi Izraela! – odparła jej koleżanka z pełnym przekonaniem.

– Chodźmy stąd! Dlaczego miałybyśmy z nim rozmawiać.

– Ronnie, chodź! Nie zatrzymuj się! – agent służb specjalnych prawie wziął pod pachy dziewczynę i pociągnął ją za sobą.

– Miłe dziewczyny, ładnie były ubrane... – skomentował jeden z mężczyzn siedzących na ławce.

Drugi pokiwał głową. Wszyscy trzej przyglądali się, jak się oddalały.

– Jak wypadł pierwszy kontakt z tubylcami, Ronnie?

(...)

...Nie wiem, to znaczy nie do końca jestem przekonany, że to ma sens. Jednak nie da się zapomnieć! Nie można pozwolić, by świat o nich zapomniał! – uzupełnił po chwili.

Spojrzeli sobie w oczy.

– W każdym razie podtrzymujemy śmierć. A przecież nie wolno nam naśladować Niemców. Nie wolno, by ktoś mógł tak nawet pomyśleć... – próbował spuentować Adam.

– Sam nie wiem... – zamyślił się Josel.

Adam sięgnął po gitarę i w rytm narastającej w brzmieniu melodii zaczął nucić po hebrajsku:

Gdy patrzę na Twe niebo, dzieło Twych palców,

księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził:

czym jest człowiek, że o nim pamiętasz,

i czym – syn człowieczy, że się nim zajmujesz?

Uczyniłeś go niewiele mniejszym od istot niebieskich,

chwałą i czią go uwieńczyłeś.

Obdarzyłeś go władzą nad dziełami rąk Twoich,

złożyłeś wszystko pod jego stopy...

13. Bet Sze'an – Ogrody Edenu

Podróż do Izraela miała charakter prywatny. W znanym warszawskim biurze podróży Maks wykupił trzytygodniową wycieczkę do Ziemi Świętej, połączoną z tygodniowym pobytem w hotelu nad Morzem Czerwonym. Chciał trochę ponurkować i wykorzystać okazję do windsurfingu. Na wszelki wypadek zarezerwował pokój dla dwóch osób. Pod koniec drugiego tygodnia pobytu był umówiony na spotkanie z Esther.

(...)

– A czy ja coś takiego mówię, panie Nowosielski...? – powtórzył profesor.

– Bogu dzięki. Cóż za szkodę wyrządzilibyśmy młodemu pokoleniu w Polsce i Izraelu, gdybyśmy chcieli utrwać takie przekonanie, pogłębiając stereotypy – wyhamowywał emocje młody Polak.

– Co innego przyznanie się do pewnych ściśle określonych aktów okrucieństwa – dodał jednak...

– Pan wybaczy uwagę, ale akty ekspiacji muszą dotyczyć obu stron, panie konsulu. Niech mi pan wierzy, my nie chcemy konkurować z Żydami o pierwszeństwo w cierpieniu w czasie działań hitlerowskiej i stalinowskiej maszyny wojennej na ziemiach polskich.

– Myślę, że to rozsądne – kiwał głową profesor (...)

14. תור תליגה – Księga Ruth

Esther poprawiała makijaż, przeglądając się w małym lusterku, które wyjęła z kosmetyczki. Za dwadzieścia minut Boeing miał podchodzić do lądowania na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie. Tym razem, lecąc do Europy Esther, kupiła miejsce w klasie biznesowej. To były ostatnie chwile przed zapięciem pasów i przygotowaniem się do wyjścia z samolotu. Pomimo długiej podróży (...) wyglądała zachwycająco. Charakterystyczna, pociągła buzia i nietypowe, jak na Żydówkę niebieskie oczy. Włosy kruczoczarne, lśniące. Chwilę wcześniej, na wyjątkową prośbę stewardessa pomogła jej zapleść je w krótki warkocz i przepiąć niebiesko-białą spinką. Na tle jej lekkiego pulowera w kolorze écru odznaczał się wiszący na łańcuszku przy szyi duży bursztyn. Był oprawiony w białe złoto.

(...)

Maks przystanął naprzeciw drzwi dla pasażerów wychodzących po odprawie (...)

Ciekaw był, czy Esther bardzo się zmieniła od swojego pobytu w Warszawie.

(...)

– No dobrze, ale dajmy już temu spokój!

Broniła się przed nadmuchiowaniem swoich dokonań.

– Zaraz, zaraz. Czy to nie twój witraż został ostatnio wyróżniony i znalazł się w Musée des Beaux-Arts w Montrealu? Czytałem o tym w Internecie.

– Owszem, witraże. A dokładnie tryptyk. Wisi teraz w dawnym budynku nieczynnego kościoła Erskine and American Presbyterian Church. Przynależy do muzeum. Tak, jakoś wyszło... – odparła.

– Oooo, jakoś wyszło... – przedrzeźniał ją. – Jesteś po prostu dobra! Więcej, jesteś bardzo dobra w swoim fachu!

– Robię to, co umiem i jak umiem najlepiej. Ot i cała tajemnica!

– Bez talentu, to i tak byłoby za mało...

Nachylił się nad stolikiem i pocałował ją w policzek.

– A propos, jaką dałaś nazwę tryptykowi? Jeśli można go, że tak powiem, upodmiotowić, kogo lub co przedstawia?

– „The Book of Ruth” – odparła bez namysłu. Przypominała sobie, jak długo pracowała nad tą nazwą.

(...)

– Tak, *mame*. Odjeżdża! – zawołała w stronę matki, słysząc dobiegające z jej pokoju pytanie.

Matka powiedziała kilka zdań do córki po hebrajsku. Mimo, że Maks niczego nie rozumiał, miał wrażenie, że nie brzmiały one zbyt przyjaźnie. Zresztą może się mylił; *sprachmelodie* tego języka ciągle stanowiła dla niego zagadkę.

– Dobrze, dobrze *mame*. Dlaczego koniecznie musi być Żyd? Wiesz, że ortodoksi mnie nie przekonują. Nie jest mi z nimi po drodze – odparła Esther w tym samym, co jej matka języku.

– Coś nie tak? – zapytał Nowosielski.

– Nie, nie! Wszystko jest w jak najlepszym porządku... – odparła, obdarowując go najwspanialszym ze swoich uśmiechów.

– Dziękuję za gościnę. Do widzenia pani Ettinger. *Shalom* i *Mazel Tow* – zakrzyknął głośnie w stronę pokoju.

– *Shavua Tov!* – odpowiedziała beznamiętnie kobieta.

Esther zatrzymała go w drzwiach, jakby nie chciała pozwolić, by odjeżdżał. Wspięła się na palcach. Ujęła jego twarz w dłonie i na pożegnanie ucałowała w powieki.

– Jedź już, taksówka czeka... – wepchnęła go prawie w otwarte drzwi samochodu.

– Lotnisko Ben Gurion! – powiedział zdecydowanym, męskim głosem do kierowcy.

Gdy kończył dopijać filiżankę kawy, w sali odlotów na ekranie telewizyjnym pojawiały się sceny z udanego nalotu izraelskiego lotnictwa na samochód w Strefie Gazy. Jechał w nim przywódca wojskowy Hamasu. On sam i jego obstawa zginęli od wystrzału z naprowadzanej na cel rakiety.

„No, to teraz znowu się zacznie...! Niech dobry Bóg ma ją w swojej opiece!”, pomyślał Maks.

17. Daremne żale, próżny trud...

Upłynęły dwa dni od krótkiej wizyty Wincenta u teściowej. Następnego dnia, późnym popołudniem miał odebrać Patrycję z lotniska Warszawa-Okęcie. Dzień wcześniej kupił butelkę szampana; chłodził się już w lodówce. Pułkownik cieszył się na powrót żony. Przed południem w dniu przylotu całe mieszkanie posprzątała pani Marta; przynajmniej tak kazała na siebie mówić. Była Ukrainką spod Lwowa i pracowała już u nich cztery lata. W zasadzie Patrycja była z niej zadowolona, choć czasami zdarzał się tu i ówdzie niepowycierany kurz na szafce. Winek uważał to jednak za drobne i możliwe do zaakceptowania niedociągnięcia. Być może, jako mężczyzna nie był dla niej zbyt wymagającym pracodawcą.

(...)

Nie zważając na wypitą wcześniej szklaneczkę whisky, z impetem wyjechał na ulicę prowadzącą poza Warszawę. Z początku towarzyszył mu głośny wywiad w radiu. Jak przez mgłę rozpoznawał głos znanej dziennikarki. Co chwila przerywała w pół słowa jakimś politykowi, z którym prowadziła rozmowę.

– Kur...! Żadnej kultury! Ciągłe nie da się wypowiedzieć do końca. Przerywa! Brak szacunku! Jak ona może tak nienawidzić ludzi o odmiennych poglądach! Przecież tu mieszka i przez tyle lat dorobiła się niezłej kasy! Zwykła ustawka... Ze słuchaczy robi idiotów!

Kiedys spotkał ją latem na lotnisku. Leciła na wczasy do Egiptu. Zapamiętał botoks i przykrótką jak na wiek dziennikarki spódniczkę.

„Jak długo jeszcze ludzie dadzą się manipulować jej zakamuflowanej retoryce, przyjmować w czambuł jej narrację...?!”, pomyślał.

Machinalnie przełączył na inną stację.

– *Samochód z otwieranym dachem lub duuuuży telewizor. Wystarczy przesłać SMS ze swoim imieniem pod numer... Przypominamy: samochód z otwieranym dachem lub duuuuży telewizor! Rozruszasz stawy z Vivahap-pyrenem max do 12 godzin...*

„Niech ich wszystkich pokręci! Money, money, money... Kultura posiadania rzeczy! Mieć, nie być! Fuck!”, pomyślał i wyłączył radio.

(...)

– Zawsze jest jakieś wyjście... zawsze jest jakieś wyjście... Nie poddawaj się! Nigdy się nie poddawaj! Przecież to twoje słowa! – nie dawał za wygraną Mario.

– Gdyby tylko... „po nocy chciał przychodzić dzień, a po burzy spokój...”?

– Winuś, a nie przychodzi!? Widzę... Widzę, że musimy zamówić jeszcze jedną kolejkę... Sprawy mają się bardziej poważnie, niż myślałem. Pannie Władku... – ręką dał znać kelnerowi i właścicielowi mazurskiej karczmy w jednej osobie.

– ...tylko prosimy z przerębla! – uzupełniał zamówienie donośnym głosem.

– Z głębokiego przerębla... – pułkownik dodał od siebie ciągle jeszcze przyciszonym głosem.

(...)

Opara mocno zaciągnął się dymkiem. Na pana Władka nawet nie spoj-rzał.

– Winek, będzie ci lżej! Wierz mi! Jak dotąd nikt nie wymyślił nic lepszego...

– Tak sądzisz? – zapytał pułkownik.

Mario ponownie odniósł wrażenie, że w ten sposób postawionym pytaniem pułkownik daje jakiś sygnał. Czy to już SOS? Zaczynał dochodzić do przekonania, że kumpel nie zamknął się jeszcze przed światem na amen. I że w głębi ducha szuka kontaktu z kimś, z kim mógłby podzielić się swymi troskami. Ze ściśniętych płuc wypuścić duszące go powietrze.

– „Daremnne żale...” – Winek dodał po chwili.

– Daj spokój! Zostaw Asnyka... Nie! Wcale nie „próżny trud”! – ripostował Mario – A teraz mów przyjacielu, mów... Zrzuć z siebie wreszcie ten ciężar!

– Czy ja... – zaczął.

21. Ułamkowy kwantowy efekt Halla

Narodowy Instytut Technologii Materiałów Elektronicznych w Warszawie spowijała gęsta, listopadowa mgła. Po ciepłych jeszcze dniach, w nocy temperatura spadła prawie do zera i ziemia zaczęła intensywnie parować, oddając ciepło na zewnątrz.

Przed bramą wjazdową instytutu wyłonił się z mgły osobowy samochód marki Volvo (...)

– Widzi pan, grafen to taki materiał, że potrafi fascynować... fascynować jak nowo poznana kobieta.

– Przyznaję. Obydwie fascynacje zasługują na bezsprzecznie wielką uwagę... – pułkownik poparł tok jego myślenia w sposób typowy dla siebie.

– Weźmy na przykład fizyczne i chemiczne właściwości grafenu – zaczął objaśniać profesor.

Wątku kobiecego nie rozwijał. I tak dobrze wiedział, co Wincent ma na myśli.

– Grafen to płaska warstwa atomów grafitu. Pod pewnymi względami to ten sam związek węgla, jaki występuje w zwykłym ołówku. A jednak po stokroć inny. To świetny przewodnik ciepła.

– Jaka jest jego przewodność, profesorze?

– Od 4840 do 5300 W/mK! Dla porównania, przewodność cieplna srebra wynosi 429 W/mK. Na dodatek grafen posiada bardzo małą rezystancję. Pochłania tylko 2,3% światła. Oznacza to, że praktycznie jest przezroczysty. Grafen odpycha cząsteczki wody, ma też właściwości bakteriobójcze.

– To niezwykle, bardzo interesujące! – skomentował z zapalem pułkownik.

– Powiem panu więcej: grafen jest 100 razy twardszy od stali, przyjmując do testów tę samą grubość obydwu materiałów. Jednocześnie jest niesamowicie elastyczny. Poddaje się łatwo rozciąganiu, nawet o 20-25%.

– Niewiarygodne! – zachwycił się Wincent.

– To w skrócie, jeśli chodzi o właściwości fizyczne. Jeśli chodzi zaś o właściwości chemiczne, to dzięki dużej ruchliwości elektronów w jego strukturze, przy normalnej temperaturze, posiada wysoką pojemność sorpcyjną gazów. Nie przepuszcza dużej ilości atomów. Stąd warstwa grafenu stanowi zaporę nawet dla atomów helu.

– Czy grafen jest w czymś rozpuszczalny, profesorze?

– W zasadzie nie. Chemicznie jest odporny na działanie wody i rozpuszczalników organicznych. Dopiero w wodzie po reakcji H_2SO_4 i HNO_3 daje się rozpuszczać.

– Jest izolatorem czy przewodnikiem?

– Uwodorniony grafen, wtedy grafan, staje się izolatorem. Na utlenionym podłożu zaś jest półprzewodnikiem. Ponadto są możliwe modyfikacje, to znaczy zmiany właściwości magnetycznych.

- Nie do wiary. Prawdziwy dar niebios...
- Jestem podobnego zdania (...)

22. Mekudeszet – Zaślubiny

- Boże, jak ja dawno tu nie byłam...
- Autostradą do Krakowa to teraz żabi skok, Esti...
- (...)

– Znasz tę biblijną opowieść? – zapytała.

– Tylko posłuchaj. Król perski Achaszwerosz miał poślubić piękną Żydówkę – Esterę. W chwili, gdy królewski doradca Haman nakłonił go, by ten wydał dekret nakazujący zgładzić wszystkich Żydów w całym perskim imperium, Estera ubłagała króla, by od tego odstąpił. Achaszwerosz dekret unieważnił, a swego doradcę kazał stracić...

– Ze względu na fakt, że dzień masakry Żydów Haman wyznaczył w drodze losowania, gdzie *pur* oznacza los, na pamiątkę ocalenia Żydzi obchodzą Święto Losów – Purim – dokończyła za niego opowieść.

– Dobrze nam razem idzie, Esti. Daj mi jeszcze trochę czasu, a będę mógł wyklądać w Jesziwie...

Uśmiechnęła się, lecz nic jednak nie odpowiedziała.

– A wiesz, że historycznie nazwa ulicy pochodzi od ukochanej faworyty króla Kazimierza Wielkiego – Estery, Żydówki z pochodzenia. Zwali ją później Esterką.

– W takim razie mamy w historii dwie wybitne żydowskie kobiety o imieniu Esther, Maks. Jedna w historii Żydów, druga w historii Polski.

– Nie mówiłem ci, że mężczyźni rządzą światem, a kobiety mężczyznami...?

– Jeszcze kilka przecznic i dojdziemy do Szerokiej – dodał.

(...)

Zapraszam do lektury. To przecież jeszcze nie koniec.

Warszawa, 29 listopada 2018
Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jacek Pankiewicz

Na motywach własnych

Wy, czy wy mnie wspominiacie?

Ja, ilekroć marzę...

A. Mickiewicz

Taksówkarz powiada:

– Pan jest pisarzem, a ja pana nie znam!

a i z tych, których znam, nie wiem, jak z nimi jest, czy tam było: każdy coś tam miał na koncie takiego... o, jedziemy teraz ulicą Broniewskiego, to czy musiał on, panie, zaraz ten wierszyk o Stalinie napisać, żeby zostać wielkim?

– nie wierszyk, a i poemat cały; jednak przedtem to on umiał i Bierutowi odmówić napisania nowego hymnu Polski! a jeszcze przedtem, w 1920 roku, od Piłsudskiego dostał dwa krzyże *Virtuti Militari*, a dwa dlatego tylko, że więcej Komendant nie miał pod ręką; bo gdyby kapitan Broniewski nie pogonił Sowietów spod Białegostoku, nie byłoby może i cudu nad Wisłą! on w 39., jak tylko Ruscy tu weszli, od razu trafił na Łubiankę, a pod koniec życia polscy ubecy wsadzili go i do psychuszki, lecz nie za to, że rewolucyjnym poetą był, ale że prawdziwym dzielnym Polakiem! to święty człowiek, panie! poznałem go osobiście!

– to rozumiem! bo mnie interesuje, czy pod koniec życia ktoś taki chętnie może sobie spojrzeć w lustro? ... pan też długo żyje już przecież...

– interesuje pana, czy lubię spojrzeć w lustro? może i zaskoczę pana, ale ja lubię, i często patrzę lustro przy goleniu, sprawia mi to przyjemność!

– a innym ludziom w oczy? także wrogom?

– wrogom i jak jeszcze patrzę! a niech się dowiedzą, że nie za swoje zasługi chleb jedzą!

– bo teraz, panie, takich jest jak najwięcej! a z wiekiem – i nie rezygnuje pan?

– a czy pan by się wyrzekł na przykład i tej sztuki prowadzenia wozu na przykład, którą już pan dawno przecie nabył!

– no, chyba nie! a i – opłaciło się to panu?

– panie, zawsze jest jakaś cena, którą się płaci... pan przecież powiedział, że jestem nieznany.

- to przepraszam w takim razie! ... a jakim pan jest pisarzem?
- nieznanym! lecz jak ktoś poczyta, to może i niezapomnianym.

1

Moja śp. Matka chciała podobno, bym został księdzem. Zmarła, kiedy jeszcze byłem niemowlakiem;

gdy mi to powtórzono potem, odpowiedziałem

– i ten celibat? no nie! jak można osądzać uczynki innych – nie poznawszy samemu tak ważnej sfery doznań?

Miałem rozbitą rodzinę, więc towarzystwa szukałem wszędzie.

a o przyjaciół niełatwo; tylko wrogowie zjawiają się sami.

Szukałem, jak to po wojnie, pośród większości reprezentatywnej, czyli przedstawicieli płci przeciwnej.

A kiedy po studiach, już po Październiku, zaczynał się u nas kruszyć komunizm, my młodzi marzyliśmy o zmianie obyczaju przede wszystkim, ze sztywnego, zetempowskiego, na styl zachodni;

wtedy marzeniem ściętej głowy było zdobyć i kąt do mieszkania, i jakąś stałą pracę, bo miało się „niesłuszne pochodzenie”. Przez dwa lata bezrobocia nie byłem zbyt atrakcyjną partią do wzięcia, ale na kumpla kandydatem i owszem! prawie cały czas kręciłem się po mieście, kawiarnie też dostępne były, i dość tanie, mała czarna kosztowała od 1, 80 do 4, 50 złote. I intensywnie szlifowało się bruki, chociaż i tych nie za wiele jeszcze odsłonięto spod gruzów. Tak więc demokratycznie, robili to wszyscy, i za fryko, odgruzowywano; ludzie zaczepieni z ulicy czy przyprowadzeni z biur stawali przy łopacie; i mnie czała się też okazja do zawierania znajomości. Wszyscy byli sobie bardziej bliscy, każdy wiedział, że najpierw to trzeba miasto wydobyć z ruin. I brak uprzedzeń, a do żadnej nienawiści międzypłciowej tym bardziej nikt nie nawoływał; nie było o tym mowy.

Jednak opowiadanie o pierwszym swoim „fachowym” podrywie napisałem niedawno. A zdarzył się on, kiedy już, jako 15-latek, byłem ważnym dziennikarzem miejskim w B., poza chodzeniem do szkoły; tego dnia akurat nudziłem się, z braku tematu, żadna bo jezdni w mieście akurat się nie zapadła, stałem przed budynkiem teatru, który z wojny się uchował, ona też tam stała i nudziła się, nie wiedziałem dlaczego;

– ładny mamy teatr, że się też nam uchował!

– a ładny! a ja gram w tym teatrze! od razu pochwaliła się,

i zaproponowała, bym się pofatygował obejrzeć to ich przedstawienie, nawet mi chciała kupić bilet, na co nie pozwoliłem, podszedłem sam do kasy, wyciągnąłem z kieszeni taką bumagę, że „wszelkie władze proszone są o udzielenie pomocy”, i kasjerka od razu zaproponowała nam łóżę;

zaś następnego dnia dostałem opieprz od Naczelnego, o mało za to nie wyleciałem z Redakcji; a dlaczego? bo mój Naczelnny akurat nie cenił sobie tego teatru, prowadził z nim prywatną wojnę.

Lecz że trzeba żyć bogato, samemu wszystkiego spróbować, szef zaraz i pochwalił mnie za inicjatywę w sprawach międzypłciowych, bo nie można się ograniczać tylko do tych tam michałków codziennie.

Zatem i skacz, młody przyjacielu, w każdą Przestrzeń Nieznaną, jeśli się nadarza.

2

W Warszawie, w moim kręgu koleżeńskim, przyjęliśmy za zasadę, ponieważ i za społeczny obowiązek, by każdy poznał dziennie, wieczorowo, czy tam nocą co najmniej kilka, 3 – 5 nowych dam; i rozliczało się ściśle z wykonania tej powinności.

Jak się to robi?

Sposób musisz wymyślić, chłopie, sam!

Więc każdy się rozwijał i klecił jakąś tam metodę własną; polegać ona miała przede wszystkim na tym, by się nie powtarzać; za każdym razem ma być inaczej! co i nie każdemu się udawało; bo człowiek każdy jest inny, i zawsze obiekt jest inny! Więc trzeba ci się, chłopciu, w mig zorientować, jaka tam ona jest, jaki ma charakter, charakterek – zanim się odezwiesz!

I jasne, że na wstępie każdy też lubił się postawić w roli zwykłego ciamajdy, bo choć to i wstyd, ale działa! wtedy ona powinna odezwać się pierwsza, jako bardziej elokwentna, bo ty akurat zapomniałeś języka w gębie;

i zanim sobie ten materiał do obserwacji przyswoisz, dokonasz analizy, będziesz już ją miał podaną jak na tacy –

nawet i nim spojrzysz – niech ona wpierw spojrzy, zerknie na ciebie, „ach, to jakiś ciamajda!” tam sobie pomyśli, a ty już odczytasz z jej twarzy, jak to się dziś mówi, całą „mapę drogową” do przebycia, teraz rusz się ty – i los już od ciebie zależy!

A jeśli ktoś jest jakiś wrażliwiec zupełny – tym bardziej niech da się wykorzystać jako tło do odkrycia jej w sobie niby to większej wrażliwości, i inicjatywy;

a jak tylko odwzorujesz sobie jakieś tam jej myślątko – uczyni w tej kwestii pierwszą uwagę, choćby głupią – niech ona teraz rozwinie dalszy ciąg, i macie odkrycie myśli, jej i twojej – już na miarę być może i całego dnia! nie daj jej tylko z tej inicjatywy się wyzwolić!

Niezaadługo potem, pamiętam, planowałem już, by wzorem starożytnych założyć stałą szkołę perypatetyczną, takie seminarium dla aktywistów Doświadczenia Interakcyjnego w Przelocie, naszej już psychologii stosowanej!

za wpisowe aspirant miałby wpłacić jedyne 100 złotych, gwarantowałoby mu to w efekcie zdobycie umiejętności zbliżenia się do każdej, na jaką się tylko zapatrzy!

Szkopuł okazał się jednak w tym, choć wielu się zgłosiło, że żaden z kandydatów nie dysponował wymaganą sumą na wpisowe; wszyscy byli tak samo bezrobotni jak ja, więc trzeba im byłoby dawać jakieś rabaty, rozliczać się na raty, a tego nie lubiłem;

zrezygnowałem więc ze szkoły, choć w porównaniu do dzisiejszych kołczy, czyli „przyjaciół za pieniądze, i to tylko na 5 minut”, byłibyśmy wynalazkiem w skali światowej: zarówno co do skuteczności, jak i głębi przetworzenia materiału mentalnego, tak przecież cennego dla w rozwoju całego społeczeństwa.

Więc wciąż w randze samouka chłopaki musieli spisywać się skutecznie, i dzielnie szlifować styl, by zapewnić świetlaną przyszłość nie tylko sobie, ale i dla całego kraju.

Niektóre panie, z tych naszych poznanych, tak szybko odnalazły się w nowej roli, i w roli towarzyskich lwic, zdobywczyń, że z pewnością dziś żadna z nich nie wystąpiłaby wyzywającym marszu ulicznym feministek. Tylko wśród nas rzeczywiście emancypowano się, nie neglżując publicznie starych kompleksów.

3

I popatrzcie na mnie teraz, ile to ja mam lat?
już słabo się ruszam,
nie tak prężnym krokiem idę jak niegdyś,
nie jestem tak zdolny przemierzać Nowy Świat, Chmielną, Trakt Królewski!

zaniechałem i jazdy konnej, szusowania na nartach,
po górach pieszo nie wędruję, nie zdobywam szczytów!

nocami nie fruwać między nimi jako ptak, nie grawituję!
 także i dla celów artystycznych, pisarskich – nie ćwiczę dialogów z nikim;
 bo i z kim tak niby? niegdyś to mogłem poznawać, zdobywać wiele nowych Miejs i Osób; a po drodze najmniejszej Mrówki bym nie skrzywdził, nie rozdeptałem nikogo w lesie, i stałem się psychologiem stosowanym!

A wy, którzy obserwujecie mnie pilnie, do was zwracam się teraz, powiedzcie:

ile i jak, tak według was, w przybliżeniu choćby, przyswoić sobie mogłem tych Miejs i Istot nowych?

okoliczności mi sprzyjały, i owszem;

choć bywały i egzemplarze, jak ta jedna, co to niby jej odmówilem!

więc postanowiła uszczknąć mi wiele z dobrego imienia; i wdarła się na wysoki dach, z poduchą – po czym rozpruła ją, by złe wiadomości niby pierze wydmuchiwać stamtąd, sypała nimi i sypała, aż... sama wyczerpała się – i zeszała!

a ja wciąż jeszcze żyję!

Wy, czy mnie pamiętacie?

4

Wczoraj, gdy nie miałem już po co żyć – zadzwoniła Jedna z tamtych lat! kiedy to umieliśmy ustrzec, siebie i innych, od nienawiści międzypłciowej,

– mówi Adelajda, pamiętasz?

– Adelajda? a jakżeż bym ja, kurna, miał Adelajdy nie pamiętać! razem kiedyś...

– czytałam właśnie twoją książkę „Jak powstaję”; dobrze się czyta; i widzę teraz, że podobnie i ja powstawałam, tak jak ty, trochę później! a wiesz, obdzwoniłam parę wydawnictw, z PIW-em włącznie, tam przecież drukowałeś! i żadne nie umiało mi powiedzieć, co robisz? czy żyjesz? gdzie jesteś teraz? ani podać mi numer twojego telefonu, coś jakby o tobie wszyscy zapomnieli!

– a pamiętasz, jak tam wtedy, nad Wisłą... pamiętasz!?

– to jakżeż bym ja, kurna, miała nie zapamiętać tego! akurat po burzy to było...

– Wisła wylała wtedy! a potem odstąpiła! i poszliśmy na sam środek rzeki, do kępy, by nam nikt nie przeszkodził...

– już nie mów! gdzie jesteś teraz! zaraz stamtąd cię zabiorę!

- jestem teraz, no nie powiem, trochę połamany! nie ruszam się z miejsca...
- to ja do ciebie przyjadę!

5

W Kościele dotąd wciąż obowiązuje celibat, i są kłopoty! na ludziach niewinnych wymusza się ubożenie ich o ważną sferę ludzkich przeżyć, to i jak oni mają potem innych sprawiedliwie osądzać?!

a ulicami coraz częściej feministki maszerują; i wykrzykują najprzeróżniejsze protesty!

Nocą, jeśli mi się uda zasnąć, czuję czasem jakby mi na szyję miał spadać jakiś lód, gilotyna –

– a że mnie nie chciałeś, to masz!

– a że i wystąpić śmiałybyś przeciw zasadzie świętej!

dziś przebaczenia za nic nie ma! i nie za swoje grzechy tortury ci obiecują; bo wymyślności co do tortur to dziś nie brak.

A dobre uczucia gdzie?! ongi sam wieszcz, choćby i u obcych o dobre uczucia prosił! a zwracał się o nie do kogo?

do Przyjaciół Moskali!

19 czerwca 2019

Jacek Pankiewicz

Jan Krzysztof Piasecki

Trzej poeci

Mówiłaś mi, Zuziu, o poecie, który przyjechał i oszukał tutejsze panny – zagailem.

– Taki oszust mały, jak ty.

– Ale...

– Ale co? – roześmiała się Zuza.

– Jak to było, przypomnij mi.

– To był taki człowiek jak Tulipan – tu moja miła wymieniła oszusta matrymonialnego, tytułowego bohatera dawnego serialu TV. – Oszukiwał. Jednych okradał, a drugim dawał.

Stukała naczyniami. Rozmawialiśmy w kuchni.

– U Łońskich było dużo córek – zaczęła opowieść. – Stary Łoński próbował je wydać, a nie miał posagu. Wtedy właśnie przyjechał tutaj młody człowiek, Grzesio. Podawał się za poetę i poetą go nazywali. Był bardzo inteligentny, kulturalny, czytany. Łoński miał dużo córek, więc go wziął do siebie do mieszkania. Brał go do pracy w gospodarstwie i w pracy poeta się wykazywał. Tylko nie brał się za najstarszą córkę, tylko brał się za najmłodszą zawsze. A Łoński chciał najstarszą wydać za niego.

– Co on pisał?

– Nic, tylko się za poetę podawał.

– Widocznie czuł się poetą – powiedziałem.

– Do księdza często chodził – ciągnęła Zuzia. – To był ten ostatni ksiądz, co jeszcze uprawiał ziemię. Miał dużo francuskich pieniędzy, nie pamiętam, jak się one nazywały.

– Franki.

– O, tak, tak, franki. I te franki przepadły i całą winę zrzucili na Bruca. Bruc tu przyszedł w prymaki do Lusi, ożenił się i u niej zamieszkał.

– Nie lubili Bruca?

– Obcych zawsze nie lubią. Jeszcze do tego Bruc był taki bezczelny i taki „Co to ja” ...

– Bruc miał iść do więzienia? – spytałem, bo przypominałem sobie opowiadanie Zuzy sprzed roku.

– Tak, miał iść do aresztu – potwierdziła.

– A poeta dalej u Łońskich mieszkał?

– Mieszkał. Pieniądze zginęły i wszyscy podejrzewali Bruca. Bo jak zginęły, to jeden pieniądz podrzucili do Bruca na podwórko i na tej podstawie ustalono winę.

– To poeta podrzucił?

– Ponoć tak. A on, ten poeta, był niby taki pocziwy, szlachetny, miły dobry! Chodził do księdza, ludzie bardzo jego uważali... Po prostu nikt by nie pomyślał, nie przypuszczał, że on właśnie to mógł zrobić. Aż pan Jabłoński gdzieś tam pojechał do Warszawy, wypytał się...

– Stary profesor?

– Wtedy Jabłoński nie był taki stary. W Warszawie miał znajomości. Dowiedział się, skąd ten człowiek jest, i wyszło, że on sześć razy w więzieniu siedział i pewne sprawy złodziejskie miał obmyślane. U Łońskich były dwa wejścia – od podwórka i przez przybudówkę, a tam jest łazienka. Jak Łońscy oglądali film, to on powiedział, że idzie głowę umyć do łazienki. Oni zapatrzeni w telewizję, a on się zamknął w łazience, wyszedł przez okno, poszedł do księdza, wywalił parę drzwi na plebani, okradł go, wrócił z powrotem, głowę namoczył, poszedł do pokoju i usiadł z Łońskimi przed telewizorem. A jeden zagraniczny pieniądz podrzucił dla Bruca na podwórko, bo to było po drodze, jak wracał z plebani do Łońskich.

Tylko że potem pan Jabłoński zrobił to śledztwo. Pojechał do Warszawy i dowiedział się dużo o poecie. Aresztowali go i podobno w końcu się przyznał. Był sąd nawet. I potem poszedł do więzienia. A te wszystkie Łońskie pojechały na proces i pana Grzesia poetę tak obejmowały!

– Naprawdę! – wybuchnąłem śmiechem. Zuzia też się śmiała.

– Powiedzieli jeszcze, że im wioska namieszała w interesie. Bo może te pieniądze w przyszłości dla nich by były?

– To rzeczywiście on jednym zabierał, a drugim dawał.

– I później dla tej Lidki Łońskiej, co za mąż wyszła, poeta na ślub kupił welon, ponoć bardzo piękny. Z więzienia przysłał, czy może wtedy już wyszedł na wolność... Kupił welon i przysłał tu na pocztę, bo kiedyś na pocztę przysyłali. Nazwiska swojego nie podał. Ale na poczcie dziewczyny przesyłkę otworzyły i było wiadomo, skąd ten welon. Tu ponoć na tej poczcie wszystkie listy otwierali.

– Z ciekawości?

– Tak. Był tu na przykład we wsi taki jeden, co pisał błagalne listy do państwa o pomoc; że jest sierotą, żeby państwo mu pomogło coś załatwić, przydzielić materiały budowlane i takie tam... A wcale biedny nie był.

– Komuniści lubili takie listy – zauważyłem.

– A te dziewczuchy otwierały listy, które on przynosił, czytały i rżały potem i w końcu ludzie we wsi o tym wiedzieli...

– A poeta się brał tylko za najmłodszą?

– Nie wiadomo. Ale wiadomo, co ludzie gadali. A na przykład jak ktoś umrze bogaty, to co wtedy wymyślają! Że albo go zamordowali, albo to, różne podejrzenia, a to tamta miała kochanka, to tamto; jak ktoś zostawi majątku trochę dla żony, to cholery dostają. Prawdę kiedyś moja teściowa mówiła: „Człowiek się rodzi, to obgadują i jak umiera, to obgadują”.

– Ten poeta już więcej się tutaj nie pokazał?

– Nie. Sześć razy siedział w więzieniu, mówił pan Jabłoński. I się tam dobrze podszkolił. Tak podszedł starego Łońskiego i się spodobał mu, bo tak kamienie ciągał na polu i taki był dobry i mieszkał i tak chodził, wszystko robił, i on już chciał go na zięcia. Tylko że ten Grzesio nie brał się za najstarszą córkę, tylko za najmłodszą – powtórzyła. – A później, widzisz, co wyszło. On po prostu, tu siedząc, dowiadywał się o okolicy, bo ludzie rozmawiają...

– Może jeszcze gdzieś chodził kraść?

– No bo skąd się dowiesz? Ludzie w towarzystwie siedzą, rozmawiają w rodzinie, ktoś coś usłyszy... Widzisz, jaką miał smykałkę złodziejską. Ponoć jego jakiś kolega go tu przysłał. Bo któraś z sióstr Łońskich tam gdzieś w Polsce była na wakacjach i poznała tego Grzesia kolegę i tak ten poeta tutaj przyjechał. A Bruc na Łońskiego do dzisiaj mówi „Peta”. Peta, Peta, tak go prześladuje; że on trzymał złodzieja w domu, co księdza okradł, a jego oczernili za to. Bo gdyby pan Jabłoński nie pojechał do Warszawy, to Bruc by siedział.

– Pan Jabłoński lubił Bruca? – spytałem.

– Pan Jabłoński lubił prawdę – odparła Zuza.

– Dlaczego porównałaś mnie do poety Grzesia? – zapytałem.

– Oszukałaś mnie. Nie ożeniłaś się ze mną.

Spuściłem głowę. Jak się jest na wsi z kobietą, to trzeba się ożenić...

Wkrótce Zuza zerwała ze mną. Nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Jak coś ją ugryzie, to znika na parę miesięcy, przeżywa. Jednak czasem przyjdzie pod moje drzwi i na progu położy zapomnianą pożyczoną książkę czy postawi kwiatek w doniczce, który jej kiedyś dałem na przechowanie. Albo po prostu jak zjawą przejdzie bez słowa przez moje podwórze...

Wtedy nie mogę sobie znaleźć miejsca. A nie żenię się z ostrożności: jeszcze mi wolność miła.

Po ostatnim rozstaniu, gdy samotność srodze mi dopiekle, odwiedziłem niewiastę, którą od dawna miałem na oku. Prowadziła ona gminne archiwum. Siedziała tam zazwyczaj sama, poza tym zostawała po godzinach.

– Mam dla pani książkę – zagadnąłem ją na korytarzu i wręczyłem dzieło.

– O! – ucieszyła się. – Wpadnie pan do archiwum w poniedziałek. Zostaję po godzinach, to porozmawiamy.

Owiedziłem ją i przegadaliśmy parę godzin. Była dużo młodsza ode mnie, miała 40 lat. Ale porozumienie dusz było blisko. Pożyczyła mi książkę miejscowego poety. Eee, co też to może być... pomyślałem.

Nazajutrz zjrzałem do chudego tomiku. Na pierwszej stronie była odręcznie napisana dedykacja: „Dla Doroty, koleżanki z ławy szkolnej – od autora”. Przeczytałem całość. Były to wiersze wydane piętnaście lat temu; dobre, niektóre nawet bardzo dobre. Te dobre, było ich kilkanaście, wyrastały z tutejszych krajobrazów i znoju ludzi, sięgały dzieciństwa. Autor, gdy je pisał, miał 20–25 lat. Druga część książki nie wydała mi się już taka ciekawa, było tam trochę wierszy z wielkiego miasta, w którym poeta zaczął pisać inaczej.

Nazwę go „Drugi Poeta” – pomyślałem.

Zjrzałem do Internetu. Znalazłem starą recenzję zamieszczoną również w tomiku i fragment opowiadania: niewiele.

– Kto to jest? – zapytałem moją znajomą na drugim spotkaniu w archiwum.

– Chodziliśmy razem do liceum – powiedziała. – Tu się urodził, doroślał. Wydał dwa tomiki, wygrywał konkursy poetyckie, nawet ogólnopolskie. W Warszawie zaczął studia, a potem wyemigrował. Mieszka w Nowym Jorku, założył rodzinę. Nie wiem, czy pisze. Przyjeżdża tu do Sz. co kilka lat.

Szkoda, pomyślałem. Pisanie było dla niego etapem rozwoju, lub może nie ośmielił się zaryzykować dla poezji wszystkiego, jak ja? Wywiózł swój talent za ocean i nie wiadomo, co z nim zrobił.

Oddałem Dorocie pożyczone wiersze. Chemia, która się między nami rodziła, wyparowała. Cóż, listonosz, który wpadał do archiwum z korespondencją, powiedział jej o Zuzie. Tutaj wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Nie miałem szans na nowy związek w okolicy, byłem przypisany do Zuzy.

Zbliża się zima. Zuza o tej porze roku łagodnieje. Zrobiłem pierwszy krok i wkrótce odwiedziła mnie. Spotykamy się jak dawniej. Też mogłaby pisać, jest bardzo wrażliwa i zdolna. Czasem wspomina, że chciała... Że może jeszcze coś zacznie... Ale nie. Zbyt jest zmęczona, a nade wszystko zajęta, żeby zostać „Pierwszą Poetką”. Gospodarstwo, pole, krowy... do tego gorycz i ciężar opieki nad hulającym synem...

Po cóż ona ma pisać? Wystarczy, że inspiruje mnie. Przy poecie koniecznie musi być jakaś dusza, która rozgrzewa serce i ściera z czoła cynizm.

„Trzeci Poeta” to ja. Przyjechałem na Wzgórza, jakbym spadł z nieba. Wyrąbałem sobie miejsce wśród surowej rzeczywistości, którą oswiam wierszami, a niekiedy – prozą. Siedzę tutaj już dziesięć lat, długo. Wysysam esencje tutejszej przyrody i folkloru, łowię historie, klimaty, drążę istotę samotnej egzystencji, banicji z wyboru.

A „Drugi Poeta”? Czy w Nowym Jorku pisze opowiadania? Czy zanurza się w bezimiennych tłumach miasta w poszukiwaniu istoty poezji?

Gdzie jest teraz „Pierwszy Poeta”? W więzieniu? W noclegowni? W cichej przystani u jakiejś majątnej kobiety? I czy ten romantyczny złodziejasek sięgnął po pióro?

Jan Krzysztof Piasecki

Przekłady Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Ivan Schneedorfer

Z cyklu „Człowiek pod drzewem”

* * *

Niektóre dźwięki
subtelne i oddalone
należą już do sfery ciszy.
Ale i takie, dzięki bogu,
jeszcze słyszymy.
Całkowita cisza
byłaby zabójcza...
Nawet liście drzew
jesienią nie są nieme.
Tylko mewa,
mewa przejechana
na szosie do Langley,
milczy jak grób...

* * *

U schyłku jesiennego dnia
kadłub cedru sąsiada
ułożono w równy stos
Mężczyźni z motorowymi piłami
jak płatni mordercy
idą półwyspem.
Jakże mam widzieć cel
w porzniętym pejzażu,
który jęczy z bólu?
Jakże mam przewidzieć

jutrzejsze historie
w muzyce samych wspomnień,
w muzyce, która odzwierciedla nieskończone zmęczenie
samotnych biegaczy.

Z cyklu „Horyzont jest daleko”

* * *

to nic,
o nic nie chodzi,
tyle że
w domu straszy

z duchami jednak
jesteś bezpieczny

za to na dworze
nagły grzmot
ryk samolotu
o północy

kto jest tak
zdesperowany
że opuścił
swe gniazdo?

* * *

trawa jest zielona
trawa jest obojętna

ocean jest głęboki
głęboki i niebieski

drogą do cichego gaju
idę z moimi zmartwieniami
cierpię przy tym, cierpię
na niedostatek snu

W każdej chwili
czekam na upadek

znajdę siebie
w piasku
obok małży
która właśnie
otwiera usta –
może chce coś powiedzieć

* * *

horyzont
jest daleko

tej linii nie można
dosięgnąć

Czekam tu
noc i dzień
na powrót
wielkich fal

Słyszę lament
żeglarzy
z oddalonych
krążowników

Z cyklu „Kanadyjskie popołudnie”

* * *

Konie idą jeden za drugim.
 W siodłach goście
 jeździeckiego parku.
 Osem koni nad jeziorem,
 osiem koni w jeziorze.
 Piję ten obraz,
 oczom nie wierzę:
 tu wystarczy pójść
 i na konia wskoczyć...
 Tylko, że ja nie umiem.
 Umieć tylko patrzeć.
 Patrzę na słodkie morze
 jaworowych liści...

Ivan Schneedorfer (ur. 1937 w Czeskich Budziejowicach). Poeta i tłumacz czeski. Z wykształcenia technik budowlany. Mieszkał w Pradze do 1968. Po sierpniu 1968 wyemigrował do Kanady, gdzie mieszka na półwyspie Tsawwassen w Kolumbii Brytyjskiej. Większość jego książek ukazała się w wydawnictwach emigracyjnych i w samizdacie. W Czechach ponownie publikowany po 1989 roku. Powyższe wiersze pochodzą m.in. ze zbioru *Básně z poloostrova* (Wiersze z półwyspu) (*Poezie mimo Domov, Monachium*, 1987).

Z czeskiego przełożyła i notą opatrzyła
 Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Przekłady Adama Lizakowskiego

Bob Dylan siedem ballad do czytania, a nie do śpiewania¹

Na krwawy deszcz się zapowiada

A Hard Rain's A Gonna Fall

Oh, gdzie byłeś mój błękitnooki synu?
 Oh, gdzie byłeś mój chłopcze ukochany?
 Włączyłem się po zboczach dwunastu mglistych gór,
 Przeszedłem, przepełzałem sześć krętych autostrad,
 Stałem w samym środku siedmiu lasów smutku,
 Wyszedłem naprzeciw tuzina martwych oceanów.
 Wszedłem tysiąc mil w gardło cmentarza,
 Na krwawy, krwawy, krwawy, krwawy, deszcz
 bardzo krwawy deszcz się zapowiada.
 I co wiedziałeś mój błękitnooki synu?
 I co widziałeś mój chłopcze ukochany?
 Widziałem niemowlę z wilkami wokół,
 Widziałem diamentową autostradę, pustą,
 Widziałem czarną gałąź krwią ociekającą,
 Widziałem pokój pełen ludzi z młotami krwawymi,
 Widziałem białą drabinę w wodzie zanurzoną.
 Widziałem tysiące głów gadających połamanymi językami,
 Widziałem strzelby i ostre miecze w rękach dzieci,
 Na krwawy, krwawy, krwawy, krwawy, deszcz
 bardzo krwawy deszcz się zapowiada.
 I co słyszałeś mój błękitnooki synu?
 I coś słyszał mój chłopcze ukochany?
 Słyszałem głos burzy, który był ostrzeżeniem,
 Słyszałem łoskot fali, która mogłaby świat zatopić,
 Słyszałem stu bębniarzy, których dłonie płonęły.
 Słyszałem tysiąc szepczących, których nikt nie słuchał,

¹ Wszystkie utwory pochodzą z książki *Bob Dylan. Lyrics 1962-1985*. Wydawca: Alfred A. Knopf, New York, USA 1985. ISBN 0-394-54278-9

Słyszałem jednego głodującego, i wielu śmiejących się.
 Słyszałem pieśń poety co skończył w rynsztoku.
 Słyszałem głos klauna, co łkał w ślepej uliczce.
 I tylko krwawy, krwawy, krwawy, krwawy, deszcz
 bardzo krwawy deszcz spadnie na ziemię.
 Oh!!! Kogo spotkałeś mój niebieskooki synu?
 Kogo spotkałeś mój chłopczynie ukochany?
 Spotkałem dziecię przy martwym kucyku,
 I białego człowieka, co wyprowadzał czarnego psa
 I młodą kobietę, ciało jej płonęło,
 I młodą dziewczynę, co dała mi tęczę.
 Spotkałem mężczyznę zranionego w miłością,
 I innego człowieka skażonego nienawiścią.
 I tylko krwawy, krwawy, krwawy, krwawy, deszcz
 bardzo krwawy deszcz spadnie na ziemię.
 I co teraz zrobisz mój niebieskooki synu?
 I co teraz zrobisz mój chłopczynie ukochany?
 Odejdę zanim krwawy deszcz spadnie,
 Pójdę do najgłębszego z głębokich ciemnych lasów,
 Tam gdzie wielu ludzi, ale ich ręce nie mają nic do roboty.
 Tam gdzie pigułki trucizn zatruwają wody rzeki,
 Gdzie dom w dolinie staje się wilgotnym, brudnym więzieniem,
 Gdzie twarz kata jest zawsze dobrze ukryta,
 Gdzie głód jest okropny, gdzie dusze są zapomniane,
 Gdzie kolor czarny jest tylko kolorem, a nikt nie jest numerem,
 Powiem to i pomyślę, wypowiem i nabiorę tchu,
 I przekażę to z góry szczytu, by wszyscy mogli widzieć mnie tu.
 Potem stanę wśród fal oceanu, zanim pójdę na dno
 Dobrze nauczę się swej pieśni zanim zacznę śpiewać ją.
 Na krwawy, krwawy, krwawy, krwawy, deszcz
 bardzo krwawy deszcz się zapowiada.

Oxford Town

Oxford Town, Oxford Town
 Wszyscy kłaniają się nisko tam
 Słońce nie zaświeci wam

Nie jedźcie do Oksford Town
 Pojechał do Oxford Town
 pistolety i pały już czekały
 dlatego że twarz brązową miał
 lepiej się nie pokazuj w Oxford Town
 Oxford Town przy zakręcie drogi
 Za wysokie progi jak na jego nogi
 Wszystko z powodu koloru skóry
 Co o tym sądzisz, mój drogi?
 Ja, moja dziewczyna, i jej syn
 Bombą łzawiącą poczęstował nas sukinsyn
 Nawet nie wiemy po co przychodzimy
 Wracajmy tam, skąd pochodzimy.
 Po południu w miasteczku Oxfordzie
 Wszyscy śpiewają smutną melodię
 Dwóch ludzi zabito w świetle księżyca w Missisipi
 Kto rozwiąże sprawę od domysłów aż kipi
 Oxford Town, Oxford Town
 Wszyscy kłaniają się nisko tam
 Słońce nie zaświeci wam tam
 Nie jedźcie do Oksford Town

Wokół wieży

All Along the Watch Tower

„Musi być jakieś wyjście stąd”, powiedział błazen do złodzieja,
 „Jest zbyt wiele zamieszania, oko me się nie zakleja.
 Ludzie biznesu piją moje wino, oracz orze moje pole,
 Żaden z nich nie jest grosza wart w swoim żywiole”.
 „Nie ma powodów, by się ekscytować”, uprzejmie odezwał się złodziej,
 „Wielu wie, że życie nasze diabła warte, to nie dobrodziej.
 Ty i ja już przez to przeszliśmy, i nie jest to nasze przeznaczenie,
 Nie rozmawiajmy fałszywym tonem, godzina późna, po co to głędzenie”.
 Z wieży książęta łypały okiem jak zwierz,
 kobiety przychodziły odchodziły, służba na bosaka też.
 W dalekiej dali żbik groźnie zamruczy,
 Dwaj jeźdźcy nadjeżdżają, wiatr już huczy.

Odpowiedź zna wiatr

Blowin' in the Wind

Ile człowiek musi przejść dróg,
za nim zrezygnuje ze sług?
Ile mórz musi przelecieć biała gołębia
Zanim minie wielka nawałnica?
Ile jeszcze kule armatnie wywołają burz
Zanim je na zawsze pokryje kurz?
Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
Odpowie wiejący wiatr.

Ile lat istnieć góra może
Zanim rozmyje ją morze?
Ile lat ludzie muszą żyć
Zanim wolnymi będą być
Ile lat trzeba nim z oczu spadną łuski
Udając że nic nas nie obchodzi los ludzki?
Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
Odpowie wiejący wiatr.

Ile razy człowiek musi spojrzeć w górę
Zanim zobaczy nieba chmurę?
Ile par uszów człowiek musi mieć
Zanim usłyszeć ludzki płacz zechce chcieć?
Ilu musi skonać, aby go przekonać
Że zbyt wielu ludzi duszę już oddało?
Odpowie ci mój przyjacielu wiatr,
Odpowie wiejący wiatr.

Hej! Panie Tambourine

Mr Tambourine Man

Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
Nie jestem śpiący ani marzący, nigdzie nie wybieram się.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
W ten buczący, brzęczący poranek pójde za tobą, to wiem.

1

Imperium zmierzchu obróci się w proch,
Zniknie jak zdmuchnięty z dłoni pył,
Pozostawiony wściekły tutaj będę wył.
Znużenie mnie krępuje, poranione stopy mam,
Nikogo nie spotkam jestem sam
A stare wymarłe ulice wzbudzają mój szloch.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
Nie jestem śpiący ani marzący, nigdzie nie wybieram się.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
W ten buczący, brzęczący poranek pójde za tobą, to wiem.

2

Weź mnie z sobą w magiczną podróż statkiem widmo,
Moje zmysły prysły, ręce nie mają czucia.
Nogi mi zdrętwiały, na buty czekały aby do tańca
Je zabrały.
Jestem gotów pójść dokąd chcesz tam mnie bierz.
W tłum mej parady wmieszaj mnie czar na mnie rzuć,
A obiecuję nie będę na to pluć.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
Nie jestem śpiący ani marzący, nigdzie nie wybieram się.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
W ten buczący, brzęczący poranek pójde za tobą, to wiem.

3

Chociaż możesz usłyszeć śmiech, wirujący, szalejący, obłąkany,
Z drugiej strony słońca.
To nie jest on skierowany do kogokolwiek, to tylko ucieczka,
Lotem pod niebem co nie jest ogrodzone płotem bez końca.
A jeśli usłyszysz fałszywe rytmu wybijanie,
na czas twojego tamburyna granie, to będzie klaun obdarty,
nic nie wart, to będzie tylko cień widziany,
przez niego ścigany.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
Nie jestem śpiący ani marzący, nigdzie nie wybieram się.
Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
W ten buczący, brzęczący poranek pójde za tobą. to wiem.

4

Spraw aby ulotniły się pierścienie myśli jak kłęby dymu,
 Poprzez mgliste ruiny czasu reżymu, starych obmarzłych liści,
 Drzew przestraszonych, nawiedzonych, spoza wietrznej plaży,
 Z dala od pokręconego, szalonego smutku.
 Tak, tańcz pod niebem diamentowym, machaj wolną ręką,
 Sylwetce na tle morza, otoczonej piaskiem cyrkowym,
 Ze wszystkimi wspomnieniami i przeznaczeniami pod falami,
 Pozwól mi za pomnąć o dzisiaj aż do jutra.
 Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
 Nie jestem śpiący ani marzący, nigdzie nie wybieram się.
 Hej! Panie Tambourine zagraj mi swoją pieśń,
 W ten buczący, brzęczący poranek pójde za tobą, to wiem.

Spadasz jak kamień na łeb na szyję

Like a Rolling Stones

Dawno dawno temu byłeś jak księżniczka
 Sama fortuna nadstawiła ci złotego cycka
 Żebrakom rzuciłaś drobne gestem pani
 Lecz nim się obejrzałaś nic nie zostało ani ani
 Ludzie mówili uważaj laleczko skończysz kiepsko
 Śmiałaś się do rozpuku nie dając im posłuchu
 Dzisiaj mocno spuściłaś z tonu
 Duma poszła w las
 Zebrania o jedzenie nadszedł czas
 Jak się mała czujesz
 Jak się czujesz
 Niepotrzebna nikomu
 Z dala od domu
 W pustce nieznanej żyjesz
 Spadasz jak kamień na łeb na szyję
 Chodziłaś do najlepszych szkół, Samotna Panno
 Ale czego tam ci nauczyle to tylko picia
 Nikomu nie przyszło do głowy uczyć cię na ulicy życia
 Teraz nie pomogą na głowę zimne okłady
 Mówiłaś, że nigdy nie pójdziesz na układy

Tajemniczy włóczęga to zmienił nie ma sprawy
On nie ma żadnego wytłumaczenia, wyjaśnienie
Widzisz pustkę w jego oczach zamiast olśnienia
Prosisz go, ale na układy nie ma rady
Jak się mała czujesz
Jak się czujesz
Niepotrzebna nikomu
Z dala od domu
W pustce nieznanej żyjesz
Spadasz jak kamień na łeb na szyje
Odwrócona plecami nie widziałaś jak błazny i klauny
Puszczały oko do ciebie, robiąc za ciebie czary mary
Nigdy nie zrozumiałaś że to nie było dobre dla ciebie
Nie powinnaś pozwolić innym twoim kosztem żyć
Jeździłaś jak szalona z twoim dyplomatą na motorze
Z syjamskim kotem na ramieniu, o mój dobry boże
Nie było trudno zgadnąć on nie był dla ciebie
Teraz przez niego jesteś w biedzie
Okradł cię ze wszystkiego, jesteś golas.
Jak się mała czujesz
Jak się czujesz
Niepotrzebna nikomu
Z dala od domu
W pustce nieznanej żyjesz
Spadasz jak kamień na łeb na szyje
Och!!! księżniczko w kamiennej wieży i pięknych twarzy
Co piły i trawiły, myśląc że wszystko to im się zdarzy
Wymieniając się drogimi prezentami
Pozostał ci pierścionek z diamentami, zastaw go kochanie
Kiedyś bardzo to cię bawiło
Ten Napoleon w łachmanach mówiący zgrabnie
Wzywa cię do siebie. Nie iść to nie ładnie
Niczego nie posiadasz, nic nie masz do stracenia
Bez tajemnic, jak szyba przeźroczysta, czysta.
Jak się mała czujesz
Jak się czujesz
Niepotrzebna nikomu
Z dala od domu

W pustce nieznanej żyjesz
 Spadasz jak kamień na łeb na szyje

Tak jak kobieta, cała w swojej krasie

Just like a Woman

Nikt nie czuje żadnego bólu
 Wieczorem jak na deszczu stoję
 Wszyscy wokół wiedzą
 Że kotek nowe ubranka ma
 Ale widziałem jak wstążki i kokardki
 Z włosów loków jej spadały
 Ona pragnie po prostu jak kobieta, a jak
 Oddaje się z wdziękiem, o tak
 I cierpi jak prawdziwa kobieta
 Ale płacze jak dziecko.
 Queen Mary jest moją przyjaciółką
 Tak wkrótce znowu się spotkamy
 Nie trzeba zgadywać
 Że kotek bez błogosławieństwa będzie wygnany
 Dopóki nie zrozumie, że jest jedną z nas
 Zakręcona, z amfetaminą i z perłami.
 Ona tak po kobiecemu potrafi kiwać, a jak
 Oddają się z wdziękiem, o tak
 I cierpi jak prawdziwa kobieta
 Ale płacze jak dziecko.
 Padało od samego początku
 A ja umierałem z pragnienia
 Więc przyszedłem tutaj
 Gdzie twej dawne przekleństwa działają
 Ale co najgorsze
 To ten ból
 Nie mogę tutaj zostać
 Czy to nie jest jasne –
 Nie pasuję tutaj
 Myślę, że nadeszła pora rozstać się
 Kiedy znowu się spotkamy

Przedstawią nas sobie przyjaciele
 Proszę nie wygadaj się że wcześniej znałaś mnie
 Gdy byłem głody a to był twój świat.
 Ah, oszukuje jak prawdziwa kobieta, a jak
 Oddaje się z wdziękiem, o tak
 I cierpi jak prawdziwa kobieta
 Ale płacze jak dziecko.

Czapka w cętki lamparta

Leopard-Skin Pill-Box Hat

Widzę, że masz nowiutką czapkę w cętki lamparta
 O tak, widzę masz nowiutką czapkę w cętki lamparta
 Cóż, musisz mi powiedzieć ukochania
 Jak krew w głowie pulsuje jak się czujesz
 W nowiutkiej czapce w cętki lamparta
 Cóż, naprawdę ślicznie w niej wyglądasz
 Kotku, czy pozwolił mi kiedyś ją założyć?
 Tak, chcę tylko zobaczyć
 Czy z tak drogą rzeczą
 Wiesz, jest ci do twarzy
 Jak w niej wyglądasz
 Czy pasuje ci wół do karety
 Twoja nowiutka czapka w cętki lamparta
 A jeśli zechcesz zobaczyć wschód słońca
 Kotku znam takie miejsca
 Kiedyś się tam wybierzemy
 Usiądziemy, przytuleni i wpatrzenie
 Ja ze wstążką
 Wokół głowy
 A ty
 W swojej nowiutkiej czapce w cętki lamparta
 Cóż, zapytałem się lekarza czy mógłbym cię zobaczyć
 To nie dobre dla twego zdrowia, odpowiedział
 Tak, ale się go nie posłuchałem
 I do ciebie się udałem
 Ale zamiast ciebie jego spotkałem

Wiesz, nie ważne, że mnie oszukuje
 Ale na pewno chciałbym, aby zdjął z głowy
 Twoją nowiutką czapkę w cętki lamparta
 Cóż masz nowego chłopaka
 Wcześniej tego nie wiedziałem
 Cóż, widziałem jak brał cię na stojaka
 Zapomniał zamknąć drzwi od garażu
 Możesz myślisz że coś jesteś dla niego warta
 Ale ja wiem za co naprawdę kocha cię
 Bo masz nowiutką czapkę w cętki lamparta

Przełożył Adam Lizakowski

Od Tłumacza

Ballady Boba Dylana w wolnym przekładzie?

Aby przełożyć Boba Dylana, trzeba być nie tylko dobrym tłumaczem, ale i muzykiem, a jeśli nie muzykiem, to znać się bardzo dobrze na muzyce, bo zrozumieć Dylana bez muzyki jest szalenie trudno. Sam tekst, często balansujący na cienkiej linii pomiędzy grafomanią a geniuszem, rzadko się broni. Można nawet powiedzieć, że bez muzyki Dylan nie istnieje, jego twórczość pisarska wydaje się nierozzerwalnie związana z twórczością muzyczną. Dla Amerykanów *native speakers* – wielokrotnie o tym się przekonywałem, żyjąc w Ameryce przez 35 lat – twórczość barda z Minnesoty sprawia wiele trudności nie tylko w odbiorze, ale i w pełnym zrozumieniu, nie mówiąc już o interpretacji i analizie utworów. Wielokrotnie spotykałem się ze stwierdzeniem, że dopiero po wysłuchaniu wykonania piosenkarki Joan Baez, czy zespołu Peter Paul & Mary ludzie odkrywali Dylana, bo jego samego nie „trawili”. Zrozumienie tego, o czym Dylan śpiewa, wymaga nie lada trudu, a jak śpiewa (becząca koza) to już zupełnie inna sprawa. Teksty utworów poety są więc dla wielu Amerykanów niezrozumiałe, dlatego on sam bardzo się irytuje, gdy dziennikarze pytają, o czym jest piosenka *Blowin' in Wind* albo *A Hard Rain's A-Gonna Fall*. Samo czytanie utworów bez muzyki może wielu rozczarować i wielu nie zawaha się zapytać, właściwie za co ten Dylan dostał tego Nobla?

Większość jego piosenek została napisana „na kolanie” w studiu nagraniowym, gdy pierwotna wersja była wielokrotnie dopasowywana do muzyki (czasem odwrotnie). Rzadko się zdarzało, aby poeta swój utwór (przyniesiony do studia nagrań) od początku do końca akceptował, bez żadnych dodatkowych cięć czy rozbudowy strofy. Piszę o tym, aby Czytelnik mojego wolnego przekładu ballad Dylana wiedział, że laureat Nobla za rok 2016, to nie jest T.S. Eliot, pracujący w słowie jak zegarmistrz, ale raczej Walt Whitman lub błazen Ameryki Allen Ginsberg, piszący pod wpływem chwili, emocji, alkoholu, narkotyków, audycji radiowej lub telewizyjnej albo przeczytanego artykułu w magazynie „Time”, „People” czy „The New York Times”, lub tzw. stream of consciousness, co wcale nie umniejsza jego wielkości, tylko pokazuje, że można pracować i tak, i tak, w sumie jak komu odpowiada.

Nie było dla mnie problemem przełożyć wielu utworów Dylana na język polski, bo nie liczyłem zgłosek, średniówek, akcentów, nie szukałem rymów na siłę, a nawet omijałem je, bo wydawały mi się czystą Częstochową. Dla mnie najważniejsza była myśl Dylanowska, treść jego utworów, o czym pisze lub śpiewa, a nie jaki jest jego warsztat poetycko-literacko-muzyczny, nie zastanawiałem się nad tym, jak zagrać dany utwór. Mogę dodać, że świetnie to zrobił poeta-muzyk Filip Łobodziński.

Rozumiałem Dylanowską ironię, sarkazm, zgorzkniałość lub niezadowolanie. Właściwie jego twórczość pod względem pisarskim nie sprawiała mi problemu w przekładzie, bo figury retoryczne czy stylistyczne zastosowane w jego utworach były klarowne, ale czasem z niemałym trudem szukałem ich odpowiedników w języku polskim. To największy ból: jak przełożyć np. *A Hard Rain's A-Gonna Fall* czy *Like a Rolling Stone* lub *Just like a woman*, gdy rozumie się każde słowo w zdaniu po angielsku i po polsku, ale zdanie po angielsku ma sens, po polsku jednak niestety już nie za bardzo. Natomiast co do muzyki – próbowałem gdzieś utrzymać tylko rytmiczność utworu (utworów), z mniejszym czy większym skutkiem to mi się udawało. Mój wolny przekład nie nadaje się do śpiewania, a nawet i do gwizdania ballad Boba Dylana, za co ludzi muzyki przepraszam, ale mam nadzieję, że tym, którzy chcą wiedzieć, o czym Dylan śpiewa, moja praca w barwny sposób stworzy jakieś o tym wyobrażenie.

Adam Lizakowski, Dzierżoniów, 24 lipca 2019 r.

Przekłady Grzegorza Łatuszyńskiego

Wiersze Milana Orlicia

Ciemny kwiat

Podobny do strzały Zenona: od zawsze w drodze,
ale nigdy przecież
na końcu drogi. Do określonego celu nie dotarł.
Trochę w wiecznym
błądzeniu między niepoprawnie zbłąkanym Ahaswerem
i odosobnionym bibliotecznym
Hyperionem.
Jako pasją dotknięty,
z pewnością gdzieś
kielkuje, wzbiera i rośnie ten kwiat. Dla kogoś,
wierzę, to cały świat.
W życiu moim osiadł jego fatalny
zapach. Wchodzę w sześćdziesiąty
szósty rok i może dlatego każde
spojrzenie w niebo
wywołuje uśmiech na mojej twarzy
i serce grzeje.

O próżności

Ja też dwudziestodwulatkiem byłem, i wrażeniem,
że mogę wszystko, żyłem,
czego zapragnę na szerokim globie,
po wszystko ręką sięgnę sobie,
choćby do nieba, myślałem,
i mocno schwyć dzień.
I że przez zepsucie, co narasta,
przez naturalne bezprawie miasta,
oto wyłącznie ja mam przyzwolenie
na wszelkie zachcianki.

I że moje żadne pragnienie
 nigdy nie wygaśnie. A czas mi da na nie
 dni niezliczenie dużo.
 Wspominam sobie to miłe zauroczenie
 teraz właśnie, kiedy siedząc w ogrodzie
 jak w raju, wśród rozkwitających gladioli
 petunii i azalii, ja tylko cynicznie wędnę,
 stary bon vivant, dla którego
 życie było cudownie łaskawe.
 Wszystko inne buzuje i rośnie.
 Od rana nic mi się nie chce. Nie ma nic,
 czego bym jeszcze nie poznał:
 o sobie i świecie prócz godziny,
 w której wszystko dla mnie zgaśnie.
 Ale
 czego miałbym się bać? Losu. Który drwi?
 Poranka, kiedy nikt już nie zastuka
 do moich drzwi?
 Przykrego uczucia, że coś może
 przepuściłem? Coś, o czym nigdy
 nawet nie śniłem?
 A może
 musiałem to uczynić?

O nowym początku

Zaświtał i ten poranek. Od dawna czułem, że będzie
 to wczesny ranek, świtanie dnia,
 kiedy starzec przeżyje chwilę,
 którą go w życiu straszono.
 Jeśli to wyczekiwanie
 czy odliczanie, można tak nazwać.
 Wyprzedziłem
 własny metabolizm.
 Lecz gdy się nie udało
 siebie poznać, niech więc z własnej decyzji
 zrobię coś dla siebie.

Może to być jakiś rodzaj eutanazji.
Postanowiłem
nie czekać.
Po prostu zamilknę. Stałem przed
lustrem swojego życia i widzę,
iż wszystko już się dawno
zdarzyło i że
z nikim nie mogę tym się podzielić.
Wiem, kto owego
poranka pierwszy przekroczył próg
i drzwi otworzył do mojego pokoju.
I to wystarczy na nowy początek.

Charon mówił łagodnie

Jeszcze tylko westchnienie i to wszystko: Jak kiedyś
we śnie, gdy mnie
przywoływał.
Chodź. Charon mówił łagodnie,
głosem, wspomagany
dyskretną gestykulacją rąk. Lekko przejdź na
drugą stronę,
nie bój się, zostaw wszystko za sobą. Ty i tak
z mgły kosmicznej
tworzyłeś świat. Czas już, żebyś
odpoczął. To jest tylko nowy
początek, nie martw się. Nigdy
nie podnosił
głosu, nigdy się nie złościł. Cierpliwie
zapraszał, żebym przeszedł na tę
drugą stronę. Nie prosił, powiadam, nie
groził. Uważnie słuchałem i, nie wiedząc dlaczego,
coś się we mnie opierało milcząco.
Miałem
dziwne uczucie, że czegoś brakuje. Może tego
żebym się całym sercem tam skierował.
Ale teraz,

gdy siedzę w owej łodzi i sercem
 przechodzę, pamiętam łagodność
 jego głosu. I motyla,
 co lekko zatrzepotał
 swoimi małymi
 skrzydełkami: jakiś świat gościł
 gdzieś
 na końcu kosmosu. Może jaskółka
 przeleciała przez mały rynek miejski
 tuż nad sennym
 spojrzeniem chłopca,
 w którego oku na chwilę zaiskrzyło
 odbicie tamtego trzepotu:
 świata dalekiego kosmosu:
 ogon jaskółki przelatującej
 nad bezgłośnymi uderzeniami serca, co się echem
 odbijały w kosmosie.

Strażnik ognia – Piekielnie atrakcyjny Zawód pisarza

Tak było: zawód pisarza diabelsko atrakcyjny,
 czasami może
 gorzki, gdy się patrzy z zewnątrz. Dawno to minęło,
 dawno uciekł
 czas, kiedy dworski ogrodnik
 oznaczał grzędy
 poety. Trzymał w swoich rękach
 pieczęcie. W czasie długich
 zimowych popołudni w ciepłej berżerze, przy
 ogniu z kominka
 rozkoszował się w pałacu królewskim. Pasjonowało go
 otwarte prześciganie się
 o przychyłność królewską literackich
 garbusów, co się ledwie wydobyli
 z katakumb, które apatycznie

zaludniali na literackich cmentarzach.
 Minęły te czasy, dawno minęły
 te cudowne czasy.
 Albo na turniejach: gdy przybywali
 z dalekich królestw, by konkurować o rękę
 księżniczki uniesieniem miłosnym
 i pięknem.
 Od kiedy zmarł nasz biedny król
 i księżniczkę tanio
 sprzedano do białej niewoli, a dworski ogród
 chwastem i ostem
 obrósł, zawód pisarza przestał być atrakcyjny
 stał się przeklęty.

Milan Orlić, poeta, prozaik, eseista, filozof, urodził się w 1962 roku w Pančevie (Serbia). Studia filozoficzne odbył na Uniwersytecie Belgradzkim, pracę doktorską obronił na Monash University w Australii. Wykładał na wielu uniwersytetach europejskich i światowych, m.in. w Pradze, Brnie, Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu, Opolu, Krakowie i Paryżu. uczestniczył w ponad 30 konferencjach naukowych serbskich i światowych oraz w kilkudziesięciu międzynarodowych festiwalach poetyckich.

Opublikował kilkanaście książek, prezentowany jest w ponad 20 krajowych i zagranicznych wyborach, antologiach i leksykonach. Jest laureatem szeregu prestiżowych nagród literackich, m.in. Nagrody im. Isidory Sekulić, Nagrody im. Milana Rakicia i Nagrody im. Branka Miljkovicia.

O jego twórczości opublikowano ponad sto tekstów krytycznoliterackich w Serbii i w czasopiśmiennictwie światowym. Poezja i eseistyka tłumaczona była na 15 języków, w tym również na język polski.

Jest redaktorem naczelnym czasopisma „Sveske”, które w numerach marcowym i grudniowym 2017 roku opublikowało dwa wielkie bloki współczesnej poezji polskiej (każdy po 15 poetów i ok. 100 wierszy), oraz w czerwcowym 2019 roku, podobnej wielkości, w wyborze Grzegorza Łatuszyńskiego i w jego przekładach na język serbski.

Przełożył i notą o autorze opatrzył Grzegorz Łatuszyński

Przekłady Krystyny Rodowskiej

Arturo Gutierrez Plaza

Saudade

Lubię smutne pieśni
w językach niezrozumiałych.
Dzięki nim poznałem
że smutek
jest śpiewem
którego beztrząsco słuchamy
nie pragnąc rozumieć.

Rybka mojej córki

Akwarium o wymiarach:
50 cm w obwodzie
i 15 cm w średnicy
(mniej więcej pół litra mętnej wody)
do tego sprowadza się universum
Alfonsa (rybki mojej córki)

Jedzenie wrzucamy mu raz dziennie.

Otwiera pyszczek zwyczajnie jak ryby
jak mim który się uczy wypuszczać bąbelki
Patrzę na niego z litością,
z fałszywym współczuciem
i mówię do Gaby: „jaka śliczna rybka!”

W nocy, gdy wszyscy śpią,
wstaję i wchodzę do kuchni:
Alfonso bezsenny
wpatruje się we mnie
(nie tylko dlatego, że nie ma powiek)

badawczo ogromnymi oczyma
 wklęsłymi jak akwarium w którym mieszka.
 Pociesza mnie, uważa się nade mną
 i w roztargnieniu
 zaczyna się kręcić w miejscu
 raz po raz.

Zupełnie jak ja.

Sen

Chyba wczoraj śniłem o tobie.
 Mówi mi o tym zapach mojej skóry,
 jakaś radość przedziwna w ruchach
 zanim jeszcze się przebudziłem.

To nie jest czytelne wspomnienie.
 Brak dokładnych szczegółów.
 Tak naprawdę, nie wiadomo, czy to się zdarzyło.
 Powtarzam ci, mówię, że śniłem
 o tym, co zawsze, może wczoraj, mogło być.

Bóg nie pisze wierszy

Bóg nie pisze wierszy.
 Gdyby je pisał,
 nie byłby Bogiem (tym z dużej litery),
 co najwyżej poetą.
 A gdyby był poetą
 i nie byłoby Boga,
 wówczas poeci pisaliby,
 domagając się istnienia kogoś
 takiego co przynajmniej
 zaprowadziłby trochę porządku w domu.
 Kogoś w rodzaju stróża
 z darem bezbrzeżnej cierpliwości.
 Dlatego Bóg,

mądry i pragmatyczny
 zgodnie z wymogiem tych czasów,
 woli zachować
 tradycyjną hierarchię w pełnieniu urzędu
 i powstrzymuje się od pisania wierszy.

NOTA

Arturo Gutierrez Plaza, 1962 r. – wenezuelski poeta, eseista, wykładowca na wydziale Języka i Literatury na Uniwersytecie Simona Bolívara w Caracas, obecnie profesor zaproszony na wykłady w USA, na Uniwersytecie w Ocklahoma.

Opublikował wiele tomów poezji, w tym *Al Margen de las hojas* (1991, Na marginesie stronnicy), *De espaldas al río* (1999, Tyłem do rzeki), *Principios de contabilidad* (2000, Zasady księgowości), *Pasado en limpio* (2006, Przepisane na czysto) – z którego pochodzą tłumaczone wiersze -, *Cuidados intensivos* (2014, Intensywne starania). W r. 1999 zdobył Hispanoamerykańską Nagrodę Sor Juany Inés de la Cruz. Jego wiersze są obecne w wielu antologiach poezji latynoamerykańskiej, zostały też przetłumaczone na wiele języków.

Jego dykcja poetycka charakteryzuje się dbałością o klarowność i precyzję wypowiedzi, wzbogaconych o ironię i poczucie humoru.

Gutierrez Plaza, kultywując poetykę codzienności, odwołuje się zarazem do możliwości intelektu i wyobraźni.

Maricruz Patino

Czysta miłość

Gdybym pozwoliła ci poznać moje ciało
 i wejść we mnie
 przywiązałabym się do ciebie.
 To co w tobie jest samcze
 owładnęłoby tym co we mnie samicze
 i jak zadowolone zwierzę
 znosiłabym chętnie wszystkie twe kaprysy.
 Zobaczysz: dwa ciała na odległość
 to rzecz zbawienna.
 Wolna w sposobie bycia
 bezwiedna

nie osądzam siebie
 wolno mi być w sobie i z sobą samą
 i patrzeć na ciebie tak jak patrzę na kwiat
 oczami nieskończonej miłości.

Nareszcie mogę cię kochać
 bez ciebie.

A propos Justyny

powiada Dürrel że mężczyzna i kobieta
 to dwugłowe zwierzę
 dlatego ja wolę
 chodzić sama w swoim własnym ciełe
 Wiem że czysta pieśczoła
 doprowadza do szaleństwa drapieżniki
 I to jest piękne

Najlepszym rozwiązaniem byłoby
 jedno ciało bez głowy
 serce promienne i dobre
 co umiałoby oczyścić wspomnienie
 z soli przyszłych łez
 kiedy ciała powrócą każde do swej głowy
 i się pożegnają

Tak, wymyślić lustro
 czterowymiarowe
 i spocząć w nim z otwartymi oczami
 uprawiając miłość w innym świecie

Przebudzenie

Dla Sofii

Ana odkrywa słowa
 Słowa zjawiają się w ubraniu rzeczy

Drzewo	ziemia
Jezioro	woda
Wiatr	powietrze
Życie	ogień

Ana odkrywa że słowo jest tajemnicą
 Tajemnica to jest coś czego się nie widzi
 lecz co się przeżywa, to jak objąć drzewo
 lub włożyć dłoń do jeziora
 albo rozpostrzeć się jak motyl
 gdy głos błyska w powietrzu
 jak ulotna gwiazda

Ana wie że słowa
 potrafią latać najwyżej
 w milczeniu

Meczet

Niewidzialne wrota otwierają się
 łuki zachodzą na inne łuki
 równie nieuchwytnie
 sklepienie w którym odpoczywa niebo
 i głosy tajemne słychać w rzeźbionym kamieniu
 Możesz patrzeć w górę
 zatrzymać się w centrum niech wiruje
 kalejdoskop:

	światła białe
	purpury
	złocenia
lamenty	
pieśni	
cymbały	
sekrety	

tylko wtedy
 może w ekstazie posłyszysz aromat
 nieznanego owocu
 (Meczet w Kordobie)

Dzwony Maryjne

biją dzwony
i obłok śpiewa w ciszy
jak świetlisty skowronek

NOTA

Maricruz Patiño, 1950 – meksykańska poetka, autorka scenariuszy filmowych, eseistka.

Wszechstronnie utalentowana, w młodości śpiewała własne teksty, zajmowała się także tkaniną artystyczną. Studiowała filozofię na Universidad Autónoma de México. Doktorat (maestría) na wydziale Twórczości Literackiej i Krytyki.

Współzałożycielka Meksykańskiej Szkoły Pisarzy, prowadziła warsztaty twórczości poetyckiej. Przez wiele lat była dyrektorką Regionalnego Ośrodka Kultury w Valle del Bravo, organizując konkursy literackie, zapraszając pisarzy z całej Ameryki Łacińskiej.

Opublikowała wiele książek poetyckich, m.in. *La circunstancia pesa* (1979, Okoliczność obciążająca), *Voces* (1984, Głosy), *Prosa de un viaje desesperado* (1992, Narracja o rozpaczliwej podróży), *El timon dorado* (2012, Złoty ster), *Arati* (2012), *La misteriosa voz* (2015, Tajemny głos – wiersze zebrane). W r. 2009 została laureatką prestiżowej w Meksyku Nagrody Efraina Huerty. Razem z poetką Leticią Luną opublikowała monumentalną antologię „Pięć wieków obecności kobiet w poezji meksykańskiej”, opracowując tom, poświęcony poetkom mistycznym.

Osobny, rozpoznawalny głos w meksykańskiej poezji współczesnej.

Przełożyła i notami o autorach opatrzyła Krystyna Rodowska

Przekłady Barbary L. Surowskiej

Wiersze poetów niemieckich

Friedrich Schiller

Wiejska schadzka¹

Bauernstündchen z Antologii za rok 1782

Dziewczę proszę, wyjdź na ganek.
Dwakroć zegar już uderzył,
A ja soję u twych dźwierzy,
Stoją wraz pieseczki.
Deszcz mnie zmoczył, z nieba hen
Leje niby w sądny dzień!
Przemoczone nogawice,
Kurta i płaszczyzna do cna,
Kurta i płaszczyzna zacna!
Wszystko przez tę rozpustnicę!
Ach, na dworze istny zamęt.
Dziewczę, proszę, wyjdź na ganek.

Johann Wolfgang Goethe

Król olch

Erlkönig

Któż gna tak późno co koń wyskoczy
Przez wiatr w ciemności głębokiej nocy?
To ojciec z synkiem swoim w ramionach,
Trzyma go pewnie, tuli do łona. –

¹ Przekład uprzednio drukowany w: *Klasycyzm niemiecki. Życie i twórczość Goethego i Schillera*, ed. Günter Albrecht i Johannes Mittenzwei, Warszawa 1970, str. 150.

Czemu, mój synku, patrzeć się boisz? –
Na drodze, ojczy, Król Olch nam stoi,
Ma tren, koronę, przypatrz się sam –
To pasmo mgły, nic nie ma tam.

»Chłopczy mój miły, chodź ze mną, chodź!
Moim kompanem w zabawie bądź;
W kwiatach się pławić będziemy wonnych,
W strojach mej matki złotych i zdobnych«.

Ojczy, mój ojczy, nie słyszysz tego,
Co mi cichutko szepce miłego? –
Spokojnie synku, ucisz się dziecię,
To tylko wichru poszum się niesie.

»Chcesz, luby chłopczy, zostać się ze mną?
Z jedną z mych córek, piękną królowną,
Korowód wodzić nocą na dworze
Wśród śpiewów, tańców, aż sen was zmorze?«.

Ojczy, mój ojczy, spójrz w tamtej stronie
Królowny w mroku idą już po mnie –
Mój synku, synku, widzę wyraźnie
Wierzb roschatych szare postacie.

»Kocham cię, tak mi twój widok miły,
Że mieć cię muszę, użyję siły!« –
Ojczy, mój ojczy, teraz mnie chwyta!
Ból mi zadaje! Król mnie dotyka!

Ojciec ze zgrozy się nie posiada,
Dziecię w ramionach mu rżęzi blade,
Wpada w podwórzec, sił już ostatkiem;
Dziecię w uścisku swym trzyma martwe.

Pieśń Małgorzaty przy kołowrotku

Gretchen am Spinnrade; z Fausta

Nigdy przenigdy
Mój spokój błogi
Już nie powróci
Do mnie niebogi.

Gdy go nie widzę,
Światem się brzydzę.
Lepiej być w grobie,
Gdy nie przy tobie.

Myśli się mącą
W mej biednej głowie,
Nie wiem, co mówię,
Nie wiem, co robię.

Nigdy przenigdy
Mój spokój błogi
Już nie powróci
Do mnie niebogi.

Jego wyglądam,
Z okienka patrzę.
Do niego biegnę,
Gdy go wypatrzę.

Jego krok lekki,
Szlachetna postać,
Uśmiech na ustach,
Powaga w oczach.

I jego słowa
czułe aż strach,
Jego uściski,
Całusy, ach!

Nigdy przenigdy
 Mój spokój błogi
 Już nie powróci
 Do mnie niebogi.

Serce się w piersi
 Do niego rwie,
 Pragnie go chwycić,
 I trzymać chce!

Całować go
 Dać usta mu,
 Z jego pić ust
 Do utraty tchu!

Joseph von Eichendorff

Lorelei

„Wieczór już chłodny, jest późna pora,
 Sama na koniu jeździsz z wieczora?
 Las jest głęboki, długie w nim drogi,
 Ze mną do domu wrócisz bez trwogi!”

„Znam ja złych mężczyzn język podstępny,
 Złamał mi serce młodzian niewierny,
 Róg się odzywa tam i sam w lesie,
 Uciekaj, nie wiesz, kim jestem przecie”.

„Strojny jest rumak i strojna panna,
 Nadobne lica, postać powabna,
 Teraz poznaję – o zgrozo wielka!
 Lorelei, tyś znana jest czarodziejka”.

„Więc mnie poznałeś – na Ren ze skały
 Spogląda zamek mój okazały.

Wieczór już chłodny, jest późna pora,
Wyjść z tego lasu nigdy nie zdołasz!”

Rainer Maria Rilke

Z cyklu *Neue Gedichte*

Wczesny Apollo²

Früher Apollo

Jak czasami przez bezlistny jeszcze
gąszcz przenika świt, już w wiośnie cały:
tak też i w jego głowie nie ma nic,
co przeszkadzałoby, by blask

poezji wszelkiej dotykał nas niemal śmiertelnie;
bo jeszcze nie ma cienia w jego wzroku,
za chłodna jeszcze skroń na wawrzyn,
później dopiero z łuku brwi

ogród wysokopiennych róż wyrastał będzie,
skąd płatki, poszczególne, luźne
będą spływały na drżące wargi,

milczące jeszcze, nietknięte i jaśniejące,
uśmiechem tylko coś pijące,
jakby chłoneły jego śpiew.

2 Przekład uprzednio drukowany w: *Antyk romantyków – model europejski i wariant polski. Rekonesans*, pod redakcją Marii Kalinowskiej i Bogny Paprockiej-Podlasiak, Toruń 2003, str. 98.

Flamingi, Paryż, ogród botaniczny³

Die Flamingos, Jardin des Plantes, Paris (1907 lub 1908)

Odbicie w wodzie jak u Fragonarda
 zdradzi z ich bieli i czerwieni
 zaledwie tyle, co wieść od kochanka
 o przyjaciółce jego: że ze snu blada.

Bo kiedy wyjdą na zieloność,
 stojąc zakwitną na swej różowej nóg łodydze,
 jak na rabacie kwiat stłoczony, tak zachwycone same sobą,
 uwodzicielskie tak, że gaśnie przy nich piękność Fryne.

Póki ich oczu bladość się nie skryje,
 gdzie czern i czerwień schowana owocu,
 gdy w miękkość swoją złożą giętkie szyje.

Wtem zazdrość ozwie się z woliery;
 zdziwione krzykiem głowy wznoszą.
 Kroczą z osobna w marzeń sfery.

Der Tod ist groß

Wielka jest śmierć
 Nosimy jej śmiejącą twarz. –
 Gdy pełni życia zażywamy,
 Śmie w płacz uderzyć
 W głębi nas.

3 Przekład uprzednio drukowany w: *Poezja polska i niemiecka w przekładach współczesnych. Polnische und deutsche Poesie In moderne Übersetzungen*, red. Ulrike Jekutsch i Andrzej Sulikowski, Szczecin 2002, str. 67 i nast.

Rose, du reiner Widerspruch⁴

Rózo, ty czysta sprzeczności, rozkoszy
Nie bycia snem niczym
Pod tylu powiekami.

Franz Kafka

z Ośmiu notatników

Zapisek bez tytułu

Wreszcie udało się naszym wojskom południową bramą wdrzeć do miasta. Mój oddział zajął pozycję w sadzie na przedmieściu, pod nadpalonymi czereśniami, oczekując na rozkaz. Gdy rozległ się wysoki ton trąb u południowej bramy, nic nas nie mogło powstrzymać. Każdy chwycił za broń, w bałaganie, jak popadło, obłapiał wpół kamrata, i rycząc: „Kahira, kahira”, nasze bojowe hasło, długą tyralierą ruszał przez błota ku miastu. Przy południowej bramie natrafiliśmy już tylko na trupy i żółty dym, snujący się nad ziemią i zasłaniający wszystko. Nie chcąc jednak ciągnąć się na tyłach, od razu skierowaliśmy się ku bocznym, ciasnym uliczkom, nie objętym dotychczas walkami. Drzwi pierwszego domu rozpołowiły się pod moim bosakiem, napaniliśmy tak wściekle, że wpadłszy do środka, obracaliśmy się zrazu wokół siebie. Naprzeciw nas z długiego, pustego korytarza wyszedł jakiś starzec. Dziwny starzec, bo miał skrzydła. Szeroko rozpołowane skrzydła, których końce sterczały mu nad głową. „On ma skrzydła” – krzyknąłem do towarzyszy i my z przodu cofnęliśmy się nieco, tyle, na ile napierający na nas z tyłu pozwalali. „Dziwicie się” – odezwał się starzec, „my wszyscy mamy skrzydła, tyle że się nam one na nic nie zdały i gdybyśmy tylko mogli, to byśmy je sobie wyrwali.” „Dlaczego nie odlecieliście stąd?” – spytałem. „Odlecieć z naszego miasta? Porzucić ojczyznę? Umarłych i bogów?”.

4 Epitafium na grobie poety. Przekład uprzednio ogłoszony w: *Poezja polska i niemiecka...*, op. cit., str. 69.

Arthur Schnitzler

Z tomu *Aphorismen und Betrachtungen*

Parabola 1

W pewnej górzystej okolicy leżałem sobie na jakimś wzniesieniu na porośniętym trawą zboczu. Nadzwyczajna moc wysokogórskiego powietrza sprawiła, że mój wzrok w błękicie nieskończoności sięgał daleko wyżej niż zwykle, a jednocześnie docierał do mnie rozgwar ludzkich głosów z niewidocznych miast leżących gdzieś daleko w dole. I oto spłynął ku mnie z wysoka, opromieniając wszystko wokół delikatnym blaskiem, zastęp niebiańskich postaci, w braterskim uścisku, trzymając jeden drugiemu rękę na ramieniu. Tak przepływali mimo. Spytałem ich: Skąd przybywacie, wspinali? – Od Boga, odparli. – A dokąd droga prowadzi? – Do ludzi. – A wasze imię, niezwykły? – Idee. – Ulecieli, a z nimi uleciał ich blask rozwiewając się z wolna w oddali. Ja tymczasem, wyczerpany tym nadzwyczajnie szczęśliwym spotkaniem, zapadłem w sen. Zdawało mi się, że docierają do mego snu od odległych ludzkich skupisk, przytłumione odgłosy, zrazu radosne, powoli przechodzące w hałas, krzyk, krzyk wściekłości, rozpacz, nienawiści. Niesamowity, dziki harmider począł się wdzierać w moją samotnię.

A kiedy znowu otworzyłem oczy, zobaczyłem w tej samej stronie, gdzie owe cudowne zjawy zniknęły, że znowu wracają. Ale z daleka już dawało się zauważyć zmianę. W ich zachowaniu nie było swobody, nie zwracały się ku niebu, jak wtedy. Nadciągały ze spuszczonymi głowami, jakby przytłoczone czymś przykrym, przynoszącym wstyd. A gdy się zbliżyły, dało się zauważyć, że mają na sobie brudne, poszarpane stroje, zwisające na nich w strzępach. A przecież były to te same zjawy. To były te same oblicza, to samo spojrzenie, choć smutne, to samo. Nie mogłem sobie uprzytomnić, ile czasu upłynęło, odkąd się zjawyły, godziny czy może stulecia? Skąd przybywacie? – spytałem wstrząśnięty. Od ludzi, odrzekli, załamującymi się głosami. Co wam się stało? – Opowiedzieli: Gdy dotarliśmy do miejsca przeinaczenia, przywitano nas wiwatami. Uznano nasze przywództwo i pozwolono się prowadzić. Nie pozostawało nam nic innego jak przyjąć ich wybór. Jednakże ludzie zaczęli się dzielić, tworząc rozmaite grupy. Zaczęły się walki, no i masz okazję się przekonać, jak się z nami obchodzono. – Jak to, przestano odnosić się do was z respektem, do was, noszących imię boskich idei? – Już nie nosiliśmy tego imienia. Nazwano nas inaczej: Poglądy.

– I tak was odprawiono? – Tak, już nas nie potrzebowali. Wymachiwali oberwanymi z nas łachmanami, tłukli się nimi po głowach. To im wystarczyło. My jednak zawsze wnosimy się do Boga, skąd przychodzimy.

I odpłynęli.

(1918)

Parabola 2

Owego pięknego letniego dnia pewien radośnie nastrojony rycerz jadąc sobie wiejską drogą, w pewnej chwili zauważył na jej skraju kapliczkę. Będąc człowiekiem wierzącym, odczuł potrzebę, by tam się pomodlić. Uwiązał konia przy drzewie, wszedł do kapliczki i zaczął wznosić gorące modły do Boga. Jednakże był rozkojarzony. Prerażony, zdał sobie sprawę, że zamiast kierować swe myśli do Boga, nie może ich oderwać od konia, który wprawdzie uwiązany, ale przecież nie pilnowany właściwie, czeka na dworze na swojego pana. Wkrótce też odniósł wrażenie, jakby jakieś podejrzane odgłosy dochodziły z zewnątrz. Szybko podniósł się z klęczek i przekroczywszy próg kapliczki, dojrzał w odległości kilkuset stóp uciekającego gdzieś w dal jeźdźca na swoim koniu. Nikogo innego nie było w okolicy. I gdy wreszcie, posłyszawszy jego wołanie i krzyki, zbiegło się na pomoc kilku wieśniaków, złodziej ze swym lekkonogim łupem dawno już zniknął z pola widzenia. Ograbiony, któremu już zaczęły cisnąć się na usta najgorsze złorzeczenia, powściągnął swój język w ostatnim momencie, bo przyszło mu na myśl, że właściwie otrzymał od Boga zasłużoną karę zanosząc do niego modły bez skupienia. To go wprawdzie uspokoiło, i był nawet gotów pochwalać to, co go spotkało jako przejaw wszechobecności i sprawiedliwości Boga. Doszły go jednakże słuchy, że złoczyńca został pochwycony i powieszony. I w tym momencie ów bogobojny człowiek popadł w rozterkę; mając na uwadze to, że każdy złodziej jest tylko narzędziem Boga w wypełnianiu jego woli, zaczął powątpiewać w sprawiedliwość jego kary. Ale przyszło mu też na myśl, że Bóg za wiele innych przestępstw, które mogłyby się zdarzyć z jego przyzwoleniem, a nawet z jego nakazu, karałby z całą surowością, czy to bezpośrednio czy to za pomocą ziemskich sędziów i że takie kary duchowieństwo, a i inni mądrzy ludzie, pochwaliliby, znajdując w tym dowód wszechobecności i sprawiedliwości Boga. Toteż na jakiś czas rycerz dał tej sprawie spokój. Aż któregoś dnia rozgłoszono, że sędzia, który wydał wyrok śmierci na złodzieja, w godzinę później nagle zmarł. I oto nowe wątpliwości zrodziły się w duszy bogobojnego rycerza. Długo

rozmyślał, jakie wytłumaczenie znajduje śmierć sędziego niemal natychmiast po ogłoszeniu sprawiedliwego wyroku wydanego z mocy prawa, po rozważeniu wszelkich znanych mu okoliczności, i niespodziewanie doznał olśnienia, że niezbadane są wyroki boskie. Ale skąd to olśnienie przyszło? Od Boga.

Przełożyła Barbara L. Surowska

Przekłady Konrada Sutarskiego

Kornél Döbrentei

Jeszcze

Még

Jeszcze spokojnie stoi to drzewo. Zajęte sobą
 w odurzeniu przysłuchuje się drżącemu szmerowi soków,
 nie przeczuwa, z całego boru ono zostało wybrane, by stać się
 straszną przydatnością, narzędziem tortury, wybitni znawcy
 zawodu wkrótce wyciosają z niego
 przemysłne dzieło ekumenicznego okrucieństwa,
 a z ogromniały znak podpisu alfabetów miłości
 znajdzie się na końcu PISMA ewangelii.

Powtarzając się to tradycja, że zwiastun RADOŚCI zawsze
 najpierw zostaje zgładzony. Jeszcze spokojnie stoi to drzewo, gałęzie
 instynktownie w zieleni, u ich czubków kołyszą się powieszone
 na drutach koty: one, skończone właśnie sztubackie dzieła
 z litości nie oblanych, dziewiczo wyzywających, naiwnych
 przedwcześnie dojrzałych nikczemników, mięso usłużnie rozkłada się
 w futerkach, a jednak jego zaduch utrwała zbrodnię jak balsam, choć
 w szpakach

nie rodzi się pieśń nieczysta, ich tryle psują się inaczej,
 aniżeli mięso szepione oczkowaniem iskier

– Kowal spożywa kolację,

to ten, który potem owe barbarzyńskie gwoździe, no i okrutną dzidę...
 Objada się fasolką na golonce, całym swoim bezkształtnym
 istnieniem oddaje się obżarstwu, aż mu oczy zwilgotniały z rozkoszy,
 żona przygląda się dysząc z podziwu, ujarzmia ją ta dzika
 zachłanność, w misie widzi już i siebie, jak gdyby mąż
 każdą łychę ją właśnie wchłaniał, na skórze czuje przejmujące
 lubieżne draśnięcia jego wąsów, ciężka ręka mężczyzny
 leniwie spada na kark kręcącego się ucznia,
 nicpoń nie posprzątał warsztatu, gdzie nieprzerwanie
 pełnią wartę obcگی czujne żarem i gdzie dźwięcznie
 radosne kowadło posępnieje u podstaw, bo mrok spowija się w coraz

grubsze futra
ponad błyskami światła pomrukując.

Zdrętwiały, siny po kolana
wyplatacz koszy wycina na zalewisku jędrne pędy wikliny
– bazie, palmy nie posiadały jeszcze swego przeznaczenia – i nie szuka
brutalnie ciernistych gałęzi na koronę szczutą,
by kasała, nie przygotowuje tej roślinnej protezy mającej zadawać
okrutne męki, zamówienie jeszcze nie nadeszło, brak jest
owego jedyne wiarygodnego wymiaru głowy -, nowy, powszechny
system tortur przygotowywany jest bez jego wiedzy,
wzdycha więc sobie prostoduszny wyplatacz, bo chciałby skończyć
pewien

niewielki kosz, wygodną siedzibę węża, z której głos fujarki,
pachnąca ślina orfejska drażnić i wywoływać będzie zakodowaną
kobrę, domowe zwierzę szatana, niecierpliwie przemieszcza się więc
od bytu do niebytu, gdzie każde widowisko jest intensywne.
Wmieszany w targowy tłum Barabasz też jest dopiero dalekim
projektem.

Świat wegetuje tumaniąc sam siebie, próbuje wierzyć nieprzydatną
piękną wiarą: znowu zostało zlepione to, co rozbito
jako CAŁOŚĆ, bo na przepustce jest akurat żołdak, co z litości zada
cios ostateczny...i nie będzie mdleć w pokorze, nie wstrząśnie nim to,
iż z rozerwanego ciała kilka kropel krwi na głowę
mu tryśnie, strząśnie je z czupryny, nie przeniknie go ta
wyjątkowa łaska chrztu jakże intymnego,
nie oświecą go kaganki stygmatów, bo jego zbiór
składa się z większej ilości ran, aniżeli pięć –

teraz oparty
na broni stoi na wzgórzu, wstydliwie, z lękiem, syna
przytula do serca, jak gdyby tarczę trzymał przeciw
ostatecznej zagładzie, szczególna to chwila, czas kruszy się
dla nich, rozdrabnia, zespalają się: Ojciec i Syn zjednoczeni
krążą w bezpiecznej idylli przed-przyszłości.

Jeszcze spokojni są WSZYSCY, wszak on dopiero DZIŚ się narodził.

Śmierć bałwana

Hóember halála

Wzniesiony srebrny schowku zimnicy
urno naszych osypujących się prochów

Stamtąd rządziłeś istnieniami
sybryjski namiestniku
zimy,

długie było twoje
panowanie, wierzyłeś, utrwalał cię
diamentowe smarki mrozu,
teraz pryszczaty pączkami młody czas
tętni w gałęziach wiśni,
już nie żarzy się twój nos z marchwi,
ptasio zwisła lufa karabinu
mająca pustoszyć grzbieity
barykad samej wiosny –
na lufie pogrywa południowy wiatr
o płucach herosa, podniecając
zasiewy i choć w węglach twych oczu
stacjonuje ciemność o stopach tyrana
słońce wyzwala się z cieni chust
rzucanych przez wiedźmy
i rozbija twój odwłok
tę wsysającą światy
wszechotchłań lodową.
Miotła oderwana od twej ręki
pnie się jeszcze ku chmurom, aby
oczyścić z rozprysłych się tam
twich brudów niebieskie przestworza –

Z ziemi wykluwają się już wiersze
pogrzebne pod twoimi stopami,
zaś pusty, wyzbyty twej głowy
czerwony gąkołacz jak westchnienie.

Lata tłuste, lata chude?

Poezja Kornéla Döbrenteiego

Ubiegłe lata obfitowały w śmierci poetów uważanych za wybitnych. W Polsce byli to Zbigniew Herbert (1998), Czesław Miłosz (2004), Wisława Szymborska (2012), Tadeusz Różewicz (2014), na Węgrzech Nagy Gáspár (2007), Juhász Ferenc (2015), Csoóri Sándor (2016)... Każdy z nich został lub mógł zostać laureatem nagrody Nobla. Jak gdyby były to biblijne lata tłuste, po których muszą nastąpić lata chude. Czy to rzeczywiście musi tak być? Kto może ich zastąpić teraz? W Polsce Adam Zagajewski, Krzysztof Karasek, Jarosław Rymkiewicz, Ewa Lipska, Urszula Kozioł? A na Węgrzech Döbrentei Kornél, Buda Ferenc, Tornai József?

Węgryw przybliżę poprzez postać pierwszego z nich, Kornéla Döbrenteiego. Poeta ten urodził się w roku 1946, w Budapeszcie, w przedwojennej rodzinie oficerskiej. Jak wyraził się kiedyś: „Odziedziczyłem po nich narodową odpowiedzialność oraz może i trochę rycerskości”. W 1965 roku po uzyskaniu matury został marynarzem (Węgry dostęp do morza, do Adriatyku, miały tylko do końca I wojny światowej – przyp. KS). Wtedy – „wykorzystując niedołęstwo dyktatury” – ukończył oficerską akademię żeglugi morskiej i objechał świat. Nie zdecydował się jednak na kontynuowanie tego atrakcyjnego zawodu, „bo gdybym tam został, nie stałbym się poetą”. Wiersze publikuje od 1966 roku, a pierwsze tomiki wierszy (od razu dwa) od 1972 r. Był wówczas dziennikarzem różnych mało znaczących pism, ale po zmianie ustroju stał się redaktorem liczącego się miesięcznika „Hitel” (Zaufanie). W nim pracował do przejścia na emeryturę.

Jest autorem ponad dwudziestu tomów, głównie poetyckich. Jeden z krytyków literackich tak pisze o jego twórczości: „Co od razu rzuca się w oczy w poezji Döbrenteiego, to rzadki dynamizm jego wierszy, ich niesłychana intensywność (...) Jednocześnie jest w nich kondensacja, a równocześnie nie uznająca przeszkód przestrzeń”. Po zmianie ustroju Döbrentei został laureatem wielu nagród, m.in.: najwyższej węgierskiej nagrody literackiej im. Józsefa Attili (1991), Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Węgier (1994), alternatywnej nagrody im. Kossutha (2004), zaś w roku bieżącym nagrody Liścia Laurowego Węgier.

Wiersze przełożył i notą opatrzył Konrad Sutarski

BIESIADY LITERACKIE

ZAZWYCZAJ W OSTATNI WTOREK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Też: trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach **Warszawskiej Szkoły Pisania** zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej**, na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne wraz z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: *Piotr Müldner-Nieckowski*
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



Piszemy

Trzecia antologia Stajni Literackiej SPP

„Piszemy”
Trzecia antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2019

RODZINA, RODZINA

Rodzina! Rodzina! Rodzina, ach, rodzina!
Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest –
lecz kiedy jej ni ma –
samotnyś jak pies!

Miał willę z ogródkiem –
miał garaż i auto –
że każdy, co nie ma,
zaraz by mieć chciał to.
I wizję, i fonię, i pralkę, i frak ...
Więc czego, ach, czego, ach, czego mu brak?

Rodziny! Rodziny! Rodziny, ach, rodziny!
Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest –
lecz kiedy jej ni ma –
samotnyś jak pies!

Pięć lat dostał skutkiem
tej willi z ogródkiem.
Spokojnie mijają
mu w celi czyściutkiej.

Lektura, spacer, wikt niezły ma smak.
Więc czego, ach, czego, ach, czego mu brak?

Rodziny! Rodziny! Rodziny, ach, rodziny!
Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest –
lecz kiedy jej ni ma –
samotnyś jak pies!

(1962)